

Małgorzata Lisieńska

CZAROWNICA



Spis treści

Bestia
Chatka
Trzy życzenia
Piękna
Sny
Rodzeństwo
Szaty
Tryton
Złotowłosa
Wiedźma
Las
Złoty dąb
Klucz
Karta redakcyjna

mojej córce

I

Bestia

Zacinający deszcz bębnił w dach, hałasując bardziej niż zawodzący przy ogniu bard. Chudy młodzian co rusz podnosił piskliwy głosik, żeby przekrzyczeć nawałnicę. Niestety, bogowie nie obdarowali go stosownymi umiejętnościami i zaśpiew bardziej przywodził na myśl konające w męczarniach dzikie zwierzę niż pieśń biesiadną.

Krasnolud krzywił się coraz bardziej z każdą kolejną wysoką nutą. Z żałością zerkał to na siedzącego obok Yasę, to na nienaturalnie milczącą Likal. I chociaż cierpliwość Sodiego Yudherthardere podziwiana była w całej Krainie, nie zdzierzył wreszcie i powiedział głośno:

– Rzućcie no, panie Yasa, jakie zaklątko, co by szczyłowi jaja wróciły. Noż człek ma ochotę skoczyć po jaki sznur do stajni i zadyndać u powały. Żem kiedyś miał kundla, co we wnyki wpadł. Toż niech mi ruda więcej paluszkami nie... – Zawahał się, dojrawszy chłodne spojrzenie maga. – Znaczy nieważne, grunt, że jak ta psina zdychała, to melodyjniejsze dźwięki wydawała.

– Może po prostu wrzucie mu w miskę dwa talary i poproście, żeby ścichł? – grzecznie zaproponowała Likal, nie podnosząc wzroku na krasnoluda.

– Ogłupiałaś, panna? – sarknął Sodi. – A za co ja mam tej sromotnej porażce, barda udającej, płacić? Jakbyśmy jeszcze blisko jakich lasów byli, to i wart byłby talarka za wystraszenie bestii, co by nam zagrażać mogły. Ale w grodzie? Cielątka wystraszy, mleko skwaśnieje, kury nieść przestaną. Same szkody.

W tej samej chwili śpiewak zamilkł. Przez chwilę cisza pieściła uszy obecnych. Krasnolud zamrugnął zaskoczony, a później westchnął błogo. Rozparł się na ławie, sięgnął po kubek miodu i już miał wygłosić jedną ze swych pełnych mądrości mów, gdy bard ponownie otworzył usta. Z pierwszym słowem nowej ballady przysła wszelka nadzieja, że tym razem młodzian nie przypomni Sodiemu utraconego zwierzaka.

*Dobry król dwie córki miał
Lecz syna nade wszystko chciał
I szukał wciąż nowej żony
By zostać nim obdarzony
Wydawał więc wielkie bale
Nie bawiąc się na nich wcale*

I dzień za dniem poznawał damy...

– Zanim ten wielce szanowny król dojrzał do nocy poślubnej, niniejszy krasnolud słuch stracił z kretelem – warknął Sodi. Odstawił kubek i wstał od stołu. – Idę się, kurwa, przejść.

Yasa uniósł brew i w milczeniu spojrzął w okno, za którym deszcz bynajmniej nie ustawał.

– Kilka kropelek jeszcze nikomu nie zaszkodziło. – Wzruszył ramionami Sodi.

– Nie jesteście ciekawi królewskiej historii? – zaczęła słodko Likal. – Toż król, z tym jego... hmm, umiłowaniem panien, znać rodzina wasza być musi.

Krasnolud nie skomentował, najwyraźniej pragnąc jak najszybciej opuścić zacne towarzystwo. Prawie biegnąc, dotarł do drzwi. Otworzył je gwałtownie. Ściana deszczu, wzmocniona zawodzącym wiatrem, cofnęła nieco krasnoluda. W tejże chwili jednak postanowił sprawdzić, jak wysoko zdoła unieść głos. Pieśń zadrzała, załamała się i przeszła w dźwięk żywo przypominający tarcie szkłem o szkło.

– Na piekielne czeluście! – jęknął Sodi i wyszedł w wicher.

Młodzieniec śpiewał dalej, niezbyt przejęty wyjściem słuchacza:

I skonał król w żony ramionach

A władzę po nim przejęła ona

Bestii oddała swe pasierbice

By za czas jakiś zabrać im życie...

Krasnolud zatrzasnął za sobą wierzeje. Dopiero wtedy Yasa spojrzął na śpiewaka. Naraz rozpaczliwe zawrodozenie nabrało miękkości, słowa zaczęły ze sobą współgrać, a melodia popłynęła gładko, pieszcząc uszy słuchaczy. Mag przymknął oczy i oparł głowę o ścianę, wsłuchując się w balladę.

Bez względu była młoda królowa

Ginęli ludzie nawet za słowa

Wstęgami ulic krew przepływała

Śmierć wielkie żniwo w kraju zbierała...

Wiatr szarpał odzieniem stojącego przed gospodą krasnoluda, a deszcz kompletnie je przemoczył. Wichura zagłuszyła jednak wszelkie inne dźwięki, więc Sodi stał wśród wycia żywiołów z niezwykle zadowoloną miną. Mrużył oczy, bo lodowata ściana wody trochę go oslepiła, ale i tak wyglądał – jak na Sodiego de Gra Yudherthardere, rzecz jasna – bardzo radośnie.

Po kilku chwilach wszakże radość zaczął zakłócać dość nieprzyjemny chłód. Kurtka, która kosztowała mnóstwo talarów, bo handlarz dawał uroczyście słowo honoru, że wykonana jest ze specjalnie wyprawionej skóry delghartowskiego smoka i w żadnych

warunkach wody nie przepuści, przemokła i wraz z równie wilgotną koszulą lepiła się do ciała. Sodi błyskawicznie rozważył opcje.

A potem ruszył biegiem do stajni.

Przywitał go półmrok, przyjemne ciepło i...

– Niech ja ranka w ramionach tłustej dzierlatki nigdy nie doczekam, ale smród! Zesrał się któryś czy jak? – Rozejrzył się nerwowo po niewielkim pomieszczeniu. Konie stały obok siebie, przeżuując obrok i nie zwracając uwagi na gościa. Jedyne jego kuc zastrzygł uszami i na moment odwrócił głowę. – Nic to, przywyknę. I tak żaden nie będzie mi tu trelami ścian kruszyć, więc jakoś się dogadamy. Ciepłuchno tu jak w pościeli Szczerbatej Justy... a i, kurwa, aromaty podobne... Ech, stęskniłem się za dziewczuchą. Będzie ze trzy lata, jakeśmy... – reszta zdania utonęła w ściąganej przez głowę koszuli. Krasnolud okrył się derką i siadł ciężko w kącie stajni na wyściełanym słomą klepisku. Pokręcił z niechęcią nosem i kontynuował: – W karczmie mnie przygotowali izdebkę, zacną i woniejącą. A i pościel pewnikiem bieluchną... może nawet haftem zdobioną... Dziewki bym się nie doczekał. Pan Yasa zabronił dupy brać na postoj. Taaa... – sarknął, przewracając oczyma. – Jakby on nigdy nie chędożył, kiedy Likal w sąsiedniej komnacie. Się, kurwa, naraz świątobliwy zrobił, by kto pomyślał. Eeech, koniki, wam to łatwiej... – Przekręcił głowę, żeby zerknąć na zwierzęta. – No, ja tu żale swoje wypłakuję, a wam jaja poobcinali, to nawet nie wiecie w czym rzecz.

Zamilkł, przymykając oczy. Bębniący w dach deszcz łagodnie kołysał Sodiego do snu. Mężczyzna był już na jego granicy, ledwie kilka uderzeń serca od momentu, w którym kontury rzeczywistości tracą ostrość, a ograniczenia znikają... Ledwie kilka oddechów dzieliło go od pełnego zatracenia, gdy czyjeś podniesione głosy przywróciły mu pełną świadomość. Niechętny towarzystwu, wcisnął się głębiej w cień, licząc, że nikt go nie zauważy.

– Ostawcie! – W wejściu pojawiła się wysoka, zwalista postać. Kaptur osłaniał włosy, a twarz tonęła w półmroku. Niski, jękliwy głos wydawał się męski, ale odzienie gościa było zdecydowanie kobiece. – Ostawcie!

– Widzieliście takie dziwadło?! – Za kobietą wpadło do stajni trzech mężczyzn. – Ani to chłop, ani baba... Rozdzielę i obaczmy, nie?

Pozostali zarechotali i zrobili krok ku uciekającej. Ta wrzasnęła, próbowała odskoczyć...

I runęła jak długa kilka kroków od schowanego w kącie Sodiego.

Pieśń barda wciąż malowała barwne obrazy w wyobraźni słuchających z ekstatycznym zachwytem. Jedyne Likal, chociaż i na nią działała magia ballady, nie patrzyła na śpiewaka. Przez długą chwilę po wyjściu Sodiego, podobnie jak Yasa, dziewczyna

siedziała z zamkniętymi oczami. Kiedy wreszcie je otworzyła, spojrzała na opiekuna. Mag wydawał się drzemać z obojętnym wyrazem twarzy.

– Jesteś zmęczona? – zapytał, gdy się poruszyła.

– Trochę.

– Chcesz, żebym cię odprowadził?

Nie odpowiedziała. Zapewne gdyby to Sodi zadał takie pytanie, rzuciłaby jakąś złośliwość albo przynajmniej parsknęła niechętnie. Yasy pytanie zmilczała. Poczekala, aż opiekun otworzy oczy, i pokręciła głową. Mag uśmiechnął się łagodnie.

Czuła jego spojrzenie, kiedy wychodziła z izby. Czasami marzyła, że zdoła wejść w umysł Pierwotnego, by poznać jego myśli. Nigdy jednak nie próbowała tego robić.

Wzmocniona magią ballada towarzyszyła jej na poddaszu gospody. W blasku jednej płonącej głowni nabierała mrocznej barwy. Budziła w Likal tęsknotę, której dziewczyna nie potrafiła zdefiniować. Pragnienie graniczące z bólem. Młoda czarownica westchnęła, zacisnęła pięści, odetchnęła głęboko i wyszeptala zagłuszające zaklęcie. Miała nadzieję, że Sodi z Tropicielem są na tyle daleko, żeby nie podrażniła go taka mała, bardzo osobista magia.

Pieśń zamilkła, ale tęsknota wciąż drażniła duszę. Dziewczyna postąpiła w stronę izby, którą wynajął dla niej Yasa, a potem zatrzymała się. Stała tak, nie mogąc podjąć decyzji, aż wreszcie wahanie przerwały kroki na schodach. Drewniane stopnie skrzypiały głośno pod ciężarem gospodarza prowadzącego kolejnego gościa. Piękna kobieta okryta elegancką peleryną stanęła obok Likal i spojrzała na dziewczynę wyniośle. Młoda czarownica cofnęła się odruchowo.

– Tędy, pani. – Mężczyzna wskazał kobiecie otwarte właśnie drzwi.

Podopieczna Pierwotnego zacisnęła pięści i przygryzła wargę. Zazdrość tylko na moment zawładnęła jej myślami. Mgnienie tak krótkie, że wściekłe zaklęcie ledwie błysnęło pod zmrużonymi powiekami. Uciszyła je błyskawicznie. Nie jej to rzecz, kogo pan Yasa kazał sobie sprowadzić do łóżka. Nie jej, nie jej...

Odetchnęła głęboko, by krwawa mgła opuściła myśli, nie mogąc jednocześnie oderwać wzroku od zamykających się drzwi izby Pierwotnego. Złość minęła dość szybko, uciszona rozpaczliwie powtarzanymi słowami. Razem z nią minęła tęsknota i bolesne pragnienie. Likal stała w półmroku, ogłuszona nagłą pustką.

A potem powolutku ruszyła schodami w dół, do wyjścia.

Upadek zerwał z głowy kobiety kaptur, a wciśnięty w kąt Sodi z niedowierzaniem zagapił się w jej twarz. Wiele rzeczy można było rzec o zacnym krasnoludzie, jednakowoż rzadko brakowało mu słów. W tejże chwili jednak, nawet gdyby chciał coś powiedzieć, chyba by nie zdołał.

Rzec o leżącej, że nie grzeszyła urodą, byłoby zdecydowanym niedopowiedzeniem.

Zapewne rozmyślałby nad tym znacznie dłużej, gdyby nie owych trzech drabów, którzy pragnęli sprawdzić, co ich ofiara ukrywa pod odzieniem. Rechocząc głośno, rzucili się spełniać groźbę. Kobieta czołgała się rozpaczliwie, zawodząc przy tym błagalnie, ale oprawcy bynajmniej nie zamierzali jej słuchać. Dwóch złapało za kończyny, a trzeci zabrał się do zdzierania sukni.

Sodi de Gra Yudherthardere jakoś nigdy do wojowników zaliczać się nie chciał, a i specjalną odwagą zasłynąć w Krainie nie zamierzał. Często też powtarzał, że nie jemu się wciskać między miodzik a zakąskę. Lubił jednak normalny porządek rzeczy: miodzik powinien być ciepły i pachnący, a zakąseczka smakowita i chętna. A kobita, nieważne jak brzydka, dupy dawać miała prawo temu, komu chciała. Ot, co!

Toteż Yudherthardere podniósł się powolutku w swoim kąciku, zrzucił derkę z ramion i zza paska wyrwał oba toporki, by przywrócić normalny porządek rzeczy. Że zaś mądrym krasnoludem był i liczyć potrafił całkiem dobrze, wiedział, że trzy to więcej niż jeden, więc nie ma co po próżnicy gęby drzeć, kiedy mus trzech osiłków położyć. Kiedy musiał, Sodi potrafił całkiem skutecznie trzymać język za zębami. A i poruszać się niemal bezszelestnie umiał całkiem sprawnie. Błyskawicznie oszacował odległość. Przez moment ważył toporki w potężnych dłoniach, aż wreszcie podjął decyzję. Z niejaką niechęcią ustawił toporki obuchem do celu...

Drab trzymający ręce leżącej padł od pierwszego uderzenia. Drugi cios pozbawił przytomności tego, który gorliwie zrywał z kobiety odzienie. Trzeci mężczyzna zdążył się poderwać i z wrzaskiem rzucił do ucieczki. I pewnie by mu się udało, bo Sodi bynajmniej spragniony krwi nie był, gdyby niedoszła ofiara, wyrwawszy z dłoni oszołomionego krasnoluda toporek, nie cisnęła nim w plecy uciekającego oprawcy. Ostrze wbiło się ze straszliwą siłą między łopatki mężczyzny, uciszając go na zawsze.

Yudherthardere przez chwilę stał, gapiąc się z rozdziawionymi ustami na trzonek broni podrygujący w rytm ostatnich drgawek konającego.

– Się panna nie obraż, ale, kurwa, łapkę to ty masz, niech bogowie chronią. Jakbyś w mordę dała, to zębów by człek chyba w Zachodnich Łądach szukał – wyszeptał z podziwem, odwracając się wreszcie.

Kobieta wciąż siedziała na klepisku. Przesunęła się tylko jak najdalej od oprawców. Poprawiała nerwowo suknię, nie podnosząc wzroku. Długie potargane włosy nijakiego szarego koloru opadały w nieładzie na ramiona. Na jednym z kosmyków smętnie zawisa różowa kokarda, która zapewne miała dodawać urody. Jaskrawość barwy tylko podkreśliła nienaturalną brzydotę właścicielki ozdoby.

– A bo i nie malutkaście – pokiwał głową Sodi, który, stając obok siedzącej brzyduli, przewyższał ją ledwie o szerokość dłoni. – Chcecie wstać czy coś? Nie, pewnie, że nie. Ja też chyba usiądę. – Sięgnął ponownie po derkę i okrył się. Dopiero wtedy opadł na

klepisko, dość daleko od kobiety. – Człekowi, jak się tak pogiba gwałtownie, to i słabość członki zbiera. A i noc prawie nadchodzi, to i senność jakowaś... Nijakiej potrzeby ni ma, cobyśmy stali, kiedy i usiąść można. Co nie? Macie jakieś imię, panna? Głupio tak w zacnym towarzystwie siedzieć, a nazwiska nie znać. Mnie zwą Sodi.

Kobieta wciąż milczała, intensywnie patrząc na mnące suknię dłonie. Knykie niemałych pięści pobielwały, a palce podrygiwały nerwowo. Co rusz zerkała na obu nieprzytomnych, zaciskając szczęki.

– Nic się, panna, nie martw – pocieszył ją krasnolud. – Jakem pierdolnął, to aż cosik tam trzasnęło. Znaczy szybko się nie podniosą. A i jakby, to się, kurwa, poprawi. I już. To jak? Macie jakie imię?

– Bela – odpowiedziała krótko, podnosząc wreszcie wzrok.

I tak Sodiemu drugi raz mowę odjęło. Oczy jego rozmówczynie nijak nie pasowały do brzydkiej twarzy. Mieniły się wszelkiego rodzaju odcieniami złota, od jasnego miodu, przez ciepły bursztyn, aż po ciemny, acz połyskliwy stary metal. Uwodziły głębią. Nie było w nich magii, nie miały żadnej czarodziejskiej mocy – Tropiciel drzemał nieprzywołany, a przecież trudno było oderwać od nich spojrzenie, trudno pamiętać o szpetocie, która je otaczała.

– O kurwa – wyszeptał wreszcie z nabożnym zachwytem.

Kobieta podniosła się powoli. Wyprostowana sięgała prawie do belki stropowej. Niejeden rycerz krański pozazdrościłby jej postury. W myślach Sodiego zamajaczyło pytanie, ale nim zdołał się na nim skupić, nim zdążył je sformułować, Bela zrobiła krok ku niemu i powiedziała:

– Przykro mi.

– Dlaczego...? – zaczął krasnolud.

I więcej nie zdążył, ogłuszony potężnym uderzeniem.

Bard wciąż śpiewał, a ballada, wzmocniona magią, niosła Yasę w świat marzeń. Nic to, że sam go sobie tworzył. Był w tym mistrzem. Przez setki lat żył ułudą, nauczył się czerpać z niej przyjemność. I chociaż dawno tego nie robił, tego wieczoru, w niewielkiej gospodzie na rozstaju dróg, tuż przy krańskiej granicy, postanowił na chwilę wymarzyć sobie doskonałą rzeczywistość. Poczuć dotyk palców, które nigdy nie zechcą go pieścić. Zobaczyć uśmiech, który nie będzie przeznaczony dla niego. Wyimaginowany świat, niesiony słodyczą magicznej melodii, mógł być tak samo realny jak ten, który czekał na niego tuż za granicą królestwa. Miłość w urojonych odbarwionych tęczęwkach smakowała prawie... prawie...

Uniósł powieki, zawstydzony swoją słabością. Bard zamilkł w tym samym momencie. Nikt jednak tego nie zauważył. Ostatni goście w gospodzie spali zmożeni magicznym snem, niepotrzebni świadkowie gorączkowych pragnień Pierwotnego Maga. Yasa

westchnął i wstał od stołu. Nie czuł zmęczenia ani senności. Czekala ich jednak długa i trudna droga do Itru, powinien więc odpocząć. Krasnolud pewnie śpi w stajni, a i Likal położyła się już dawno. Na myśl o młodej czarownicy ostre rysy Yasy złagodniały. Uśmiechając się, otworzył drzwi do izby, którą wynajął na nocleg.

Stojąca przy oknie kobieta drgnęła. Z całą pewnością nie była panną lekkich obyczajów, chyba że przygraniczne nierządnicę miały zwyczaj nosić aksamitne odzienie, klejnoty i spoglądać z wyższością. Bez cienia uśmiechu podeszła do ławy i sztywno wyprostowana usiadła, składając dłonie na podolku.

Yasa uniósł brew i bez słowa przyglądał się gościowi.

– Zamknijcie, proszę. – Rozkazujący ton przeczył słowom. – Nie chcę, żeby ktoś nas zauważył.

Mag grzecznie wykonał polecenie, a potem oparł się o ścianę i czekał. Kobieta westchnęła. Poruszyła nerwowo skrzyżowanymi palcami.

– Chcieliśmy was prosić o przysługę, Pierwotny Magu – powiedziała cicho. – Nasze królestwo potrzebuje waszej pomocy.

– Zawsze gdzieś jest królestwo, które potrzebuje pomocy. – Mężczyzna wzruszył ramionami i usiadł na łóżku. Zzuł buty, rozparł się na poduszkach i wyciągnął nogi. Patrzył spod na wpół opuszczonych powiek, uśmiechając się leniwie.

– Nie zapytacie, skąd wiem, kim jesteście?

– Nie zapytam.

Zmarszczyła brwi. W ciemnych oczach błysnęła irytacja.

– Mówiono mi, że Pierwotny Mag dba o ludzi, że obchodzi go ich los i nie zostawi ich na łasce potwora. Dlatego przybyłam w tajemnicy przed doradcami, właściwie wbrew nim, aby prosić o pomoc dla mojego ludu.

– Dobrze wam mówiono – potaknął Yasa. – Widzę, że powiedziano też, że czytam w myślach.

– Dlaczego...? – Uciekła spojrzeniem.

– Bariery w waszym umyśle nie zrodziły się naturalnie. Jak by to rzekł mój przyjaciel, cuchniecie mocą. Ten, który założył blokady, nie wystarczy, żeby uratować królestwo?

– Nie. – Pokręciła głową. – Zabiła go bestia.

– To bardzo kiepsko, wasza wysokość, bo nam akurat dość spieszno.

– Zapłacę wam!

– Jak? – Uśmiechnął się chłodno.

– Złotem? – zawahała się.

– Sądycie, że go nam brak?

Wstała i zaczęła nerwowo przemierzać pokój.

– Jeśli odmówicie, ona będzie dalej zabijała. Jest zła. Okrutna – mówiła szybko, nie patrząc na rozmówcę i nie przestając chodzić. – Lubi to. Cierpienie sprawia jej przyjemność. Cierpienie innych. Wielu próbowało. Moc ją strzeże. Nikt nie wrócił. Nikt więcej nie pójdzie. A ona się o nas upomni. Kiedyś, już wkrótce. Nikomu nie daruje. Zabije wszystkich. – Z każdym kolejnym zdaniem podnosiła głos, balansując na granicy hysterii. Mrugała szybko, oddychała spazmatycznie, to zaciskała, to rozprostowywała palce, przemierzając przy tym izbę długimi krokami. – Obiecała mi śmierć. Obiecała ją wszystkim. – Zatrzymała się gwałtownie, by wreszcie spojrzeć na Yasę. – Potrzebujemy waszej pomocy. Zapłacimy każdą cenę.

Mag usiadł z westchnięciem.

– Przychodzisz do mnie, pani, ukrywając myśli i wspomnienia. Wysyłasz barda... Na przyszłość szukaj kogoś obdarzonego talentem, mój przyjaciel ma wysublimowany smak muzyczny.

– Ten... krasnolud? – niemal wypluła pytanie.

– Sodi de Gra Yudherthardere – głos Pierwotnego stwardniał – jest księciem, wasza wysokość. I to nie takim jak wy, córka władcy z nadania Króla Królów. Jego szlachectwo sięga dziesiątek pokoleń. To, co wasz śpiewak zrobił muzyce... powiedzmy, że raniło duszę mojego przyjaciela.

– Skąd wiecie, że ja go wysłałam?

– Moja droga, jeśli chciałaś, żebym nie wiedział, trzeba było zabezpieczyć również umysł barda.

Pochyliła głowę.

– Odpowiem na każde wasze pytanie – wyszeptwała.

– A ja nie uwierzę w żadną z odpowiedzi. – Wzruszył ramionami. – Straciliście moje zaufanie już przy balladzie o złej macosze.

– Ona była zła – powiedziała cicho księżniczka. – Uwięziła nas. Gdyby nie... moja siostra, zginęłybyśmy.

Yasa uśmiechnął się krzywo, ale nie skomentował. Na rzęsach kobiety zdrzały łzy.

– Nie pomożecie? Nie wierzycie w bestię?

– W nią akurat wierzę – potaknął, wstając. – Macie ją wypaloną pod powiekami.

– Więc? – zapytała ponaglająco. Zrobiła krok w kierunku mężczyzny. – Zapłacę każdą cenę... Naprawdę – dokończyła prawie szeptem, opuszczając wzrok.

– Tego – podkreślił Yasa z lekką kpina w głosie – też mi nie brakuje. Nie chcę waszej zapłaty, jakakolwiek by była. Nie wiem, czy wam pomożemy. – Usiadł z powrotem. – Ale skoro już zechcieliście zaszczycić nas swoją obecnością, wypada poprosić, byście spoczęli i opowiedzieli, z czym przybywacie. – Wskazał miejsce obok siebie.

Księżniczka zamrugła zaskoczona nagłą zmianą tonu czarodzieja. Zawahała się, ale przyjęła zaproszenie.

Nie zdążyła jednak rozpocząć opowieści, bo w tejże chwili rozległo się pukanie.

– Wasza miłość! Wasza miłość! Wiadomość mam! Wasza miłość!

– Wybacz, moja droga. Wejdźcie, dobry człowieku.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Wasza miłość! – Gospodarz zerknął szybko na księżniczkę i Yasa już wiedział, komu zawdzięcza jej wizytę. – Bo panna wasza kazała was wołać!

Yasa błyskawicznie spoważniał.

– Gdzie ona jest?

– No, w tym rzecz, wasza miłość. Na kobyłce w las pogalopowała! Rzekła, że jakiś olbrzym krasnoluda porwał i że gonić go będzie. I jeszcze... no, żebyście...

– Mów, człowieku!

– Żebyście dupę ruszyli, a nie babami się zajmowali – dokończył gospodarz, chociaż Yasa i tak go już nie słyszał, biegnąc w stronę stajni.

Sodi obudził się przekonany, że głębokie dudnienie rozsądzi mu czaszkę. Przez chwilę leżał w bezruchu, ale hałas nie ustawał. Dopiero wtedy pojął, że banda szalonych bębniarzy nie urządziła sobie koncertu tuż przy jego głowie, ale właśnie w niej. Nie miał jednak czasu, by to roztrząsać, bo rozbudzony wraz z krasnoludem Tropicielem zawył żałośnie, wyrывая się na wolność. Kąsał i drapał. Szarpał ciało i umysł nosiciela. Yudherthardere zacisnął pięści i wyszeptał zaklęcie wstrzymujące. Osłabiło stwora, ale go nie zatrzymało. Nadal wył, wściekle wgryzając się w umysł Sodiego. Ten ponowił czar, oplatając go zaklęciem wzmacniającym.

Zabolało.

– Kurwa! – wyszeptał z jękiem krasnolud. Tropiciele cofał się, piszcząc rozpaczliwie. Dudnienie trwało.

– Obudziliście się? – Głos pytającego wydał się Sodiemu dziwnie znajomy, ale jakoś brakło mu energii, by się nad tym zastanowić.

– Nie, kurwa, tak se ino przez sen lubię pogwarzyć – odpowiedział, nie otwierając oczu. – Bo co?

– Trochę się turbowałam, bo dawno nie biłam tak, żeby nie zabić.

Taka odpowiedź warta była otwarcia oczu. Sodi zamrugął, tak z powodu jasności, jak i zaskoczenia. Spojrzał w kierunku głosu. Mocne, nienaturalne światło osłepiło go na moment, ale zaraz nieco przygasło i krasnolud dojrzał, kto do niego mówi. Poderwał się gwałtownie, by równie szybko opaść na legowisko.

– Nie wstawajcie tak, bo się wam...

– Niech ja więcej nie zobaczę babskiego cycka! To ja wam dupę ratowałem, a wy mnie po łbie...?! Tak się w waszym, kurwa, świecie wdzięczność okazuje?! – krzyczał Sodi, krzywiąc się przy każdym słowie, bo dudnienie wciąż trwało. Odetchnął głęboko raz i drugi. Nie po to, żeby się uspokoić, bo przecie wściekły krasnolud to zdrowy krasnolud, a po to, by uciszyć bębny.

Kobieta nie wyglądała na zawstydzoną. Szpetna twarz pozostała niewzruszona. Sodi przyglądał się jej i naraz ostatnia myśl, która prawie się wykluła przed spotkaniem z pięścią Beli, wróciła.

– Ożeż, niech mnie stary ogr wydyma, wam wcale ratunek nie był potrzebny – zauważył cicho. – Z takimi łapami to możecie jednym trzaśnięciem wołu dupę jego pokazać. Ino tera nie pojmuję... po co ta cała komedyjka?

– Różnie o was mówią. – Kobieta wzruszyła ramionami. – To i chciałam się przekonać.

– I po to żeście tego tam utłukli? Żeby się przekonać?

– Zasłużył – warknęła. – A jakby uciekł, albo i nie daj bogowie w ślad za nami ruszył, to mogliby się o mnie zwiedzieć tacy, co to ich zapraszać do dom nie zamierzam.

– A mnie ten wątpliwy zaszczyt spotkać musiał, co? – Rozejrzał się rozeźlony. Tropicieł piszczał, spętany zaklęciami. – A wiecie, że to wasze przeurocze siedlisko jedzie mocą jak przyportowa tawerna szczynami?

– Dlatego was przywiozłam.

– Dlatego... – Sodiego aż zatchnęło ze złości. – Rozum wam odjęło?! Wiecie, co się stać mogło z Tropicielem wybudzonym w takim miejscu?!

– Ale nic się nie stało.

– Bo zem... – zamilkł. Odetchnął głęboko. – Ech, głupie te baby. Głupie jak nic. Ładne czy brzydkie, jedna w drugą głupie. Nie mogliście to, panna, po ludzku zaprosić? Uprzedzić grzecznie, żeby Tropicieła na uwięzi trzymać? Nie dało się?

– Tak szybciej. – Ponownie wzruszyła ramionami. – A że drogi nie znacie, to nie muszę was zabijać, jak już zrobicie, co trzeba.

– Że co?!

Bela pochyliła się nad gościem. W ostrym świetle rozbłysły złociste tęczęwki.

– Straszna z was gorączka. Kiedyś wam to zaszkodzi.

– Kurwa, te wasze oczyska... – sapnął krasnolud. – Smocza w was krew płynie jak nic. Dziwne nie jest, do Itru niedaleko, pewnikiem sporo tu takich mieszańców żyje.

– Pewnie mój wygląd też smokom zawdzięczam, co? Nie uważacie, że wyglądam jak zmiennokształtny w połowie przemiany?

– No, aż tak bym nie powiedział...

– Byli tacy, co powiedzieli. – Machnęła ręką i usiadła na łóżku obok Sodiego. – Ale większości już nie ma. – Uśmiechnęła się, a grymas ten wywołał ciarki u krasnoluda. – Nic to. Nie... ekhm... zaprosiłam was, żebyście moich żali wysłuchiwali. Ino żebyście pomogli klątwe zdjąć.

Tak, krasnolud wiedział, że tego pytania zadawać nie powinien. Nie potrafił się jednak powstrzymać.

– Jaką klątwe?

– Ano tę – odpowiedziała.

Płomienie dziesiątek świec w komnacie zachybotwały i przygasły. Moc przemknęła w powietrzu niczym powiew lodowatego powietrza. W ciszy zabrzmiał chrzęst kości przestawiających się w stawach. Towarzyszył im niski rozpaczliwy jęk. Kobieta stoczyła się z łóżka i upadła na kolana. Chrzęst się nasilił. Jęk ustał. Kości czaszki przesuwwały się szybko, zmieniając brzydkie oblicze w koszmar. Z dolnej szczęki wysunęły się kły, a wargi obnażyły dziąsła i garnitur zębów mogących mury kruszyć. Nos się cofnął i prawie znikł w kudłatej mordzie.

Stwór wyprostował się, sięgając powały. Zwalisty i potężny, trochę przypominający niedźwiedzia, trochę psa. Oczy w straszliwym pysku wciąż połyskiwały złociście. Nie było w tym blasku jednak nawet cienia łagodności.

– No, panna – wyszeptał Sodi drżącym głosem, wciskając się w kąt – mam nadzieję, że masz tu gdzieś jakie galoty, bo, kurwa, jak nic trza mi je zmienić.

W odpowiedzi bestia zawyla nisko i chrapliwie. Opuściła łeb, niemal dotykając twarzy krasnoluda. Mężczyzna wciągnął gwałtownie powietrze. Cofnąłby się bardziej, gdyby nie ściana za plecami. Zacisnął więc tylko pięści, zanosząc szybkie modły do każdego ze znanych bogów i opiekuńczych przodków. Stwór tymczasem warknął gardłowo, a szerokie nozdrza poruszyły się powoli. I gdy krasnolud zaczął, nie pierwszy w swym życiu, rachunek sumienia, powtarzając w duszy, że przecie żadnym poważnym grzechem się nie skalał, to i przodkowie zapewne zechcą go przyjąć w swoje szeregi... Właśnie w tym momencie ponownie zachrzęściły stawy i Bela wróciła do ludzkiej postaci, a potem opadła ciężko na łożo obok gościa.

– Po to właśnie was zaprosiłam – wycharczała, dysząc ciężko. – Żebyście mi pomogli cofnąć klątwe.

– Znaczy co? Ochajtać się mam z wami czy jak? – Sodiemu błyskawicznie wracał rezon. – Bo tak zwykle w bajaniach bywa. Ino na ogół nadobny książę i przecudna królewna... Niby ze mnie okaz nie lada, a z was... kawał kobity, ale żem mamusi obiecał krasnoludzkiej krwi nie mieszać.

– Nie – warknęła wściekle – nie was mi trzeba, ale Tropicielea. Znajdzie źródło klątwy. Czujecie magię, prawda? Opasała całą okolicę, zniewoliła mnie i zmienia w

to... coś. Wiecie, jak boli? Każda zmiana jest jak konanie. Przekleństwo i śmierć. Tylko to mi zostaje.

– I chcecie, żebym... żeby Tropiciel znalazł źródło magii? I co wtedy? Bo chyba macie jakiś plan? Wiecie, że żaden ze mnie czarodziej? Znaleźć to jedno, zniszczyć... Nie wiem, czy poradzę.

– Tylko je znajdźcie – powtórzyła, acz już mniej pewnie. – Resztą się nie martwcie.

Sodi podrapał się po czuprynie. Zmrużył oczy i przyglądał się swojej gospodyni. Głowa wciąż go bolała, a dudnienie nie ustawało. Tropiciel popiskiwał... Yudherthardere wciągnął gwałtownie powietrze, kiedy dotarł do niego ów dźwięk. Niezmienny od chwili, w której spętał alter ego. Błyskawicznie pojął, co to znaczy. Nie zamierzał jednak dzielić się tą myślą.

– Dajcie mi trochę czasu – powiedział, patrząc kobiecie w oczy. – Muszę zebrać siły.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Podeszła do drzwi, ale zamiast wyjść bez słowa, zatrzymała się i wbiła wzrok w krasnoluda.

– Nie wiem, jaką macie moc, panie Yudherthardere, ani jakie więzy łączą was z czarodziejami. Lepiej jednak, byście ich nie wzywali. Ta sama magia, którą wyczuliście, chroni okolicę. Niejeden chciał ją pokonać. Najlepsi książęcy magowie próbowali się tu wdrzeć. I wszyscy skonali u moich wrót. Szkoda byłoby tej dziewczuszki, która wam towarzyszyła. O młodzieńcu nie wspomnę. – Uśmiechnęła się strasznie. – Wam też uciekać odradzam. Znajdę bez trudu. Każdy kamień w okolicy powie mi, gdzieście są. – Odwróciła się i wyszła, zostawiając Sodiego z głośnym przekleństwem na ustach.

Czarne, pozbawione gwiazd niebo rozpięte nad drzewami pogłębiało nienaturalność leśnego mroku. Likal zatrzymała klacz, tracąc z oczu potężną postać i przewieszzonego przez siodło krasnoluda. Chociaż nie miała pod skórą Tropicielea, młoda czarownica doskonale wyczuła potęgę chroniącą gąszcz. Śmiertelne niebezpieczeństwo, znaczone żywotami tych, którzy próbowali je pokonać, zmusiło ją do ściągnięcia wodzy. Zeskoczyła z konia i wpatrzyła się wściekle w niewidoczną dla zwykłego śmiertelnika barierę. Moc falowała jak nagrzane powietrze, to odsłaniając, to skrywając kontury drzew. Czar wyciszył wszystkie dźwięki dobiegające z lasu. Dziewczyna nie słyszała szelestu liści, trzasku gałązek, odgłosów zwierząt. Absolutna, prawie bolesna cisza zdawała się wychodzić młodej czarownicy na spotkanie. Likal tupnęła nogą ze złości i przygryzła wargę. Gniew buzował w żyłach, ale wiedziała, że sama nie zdoła pokonać zaklęcia. Nie mogła jednak usiąść i czekać. Chodziła więc tam i z powrotem, zerkając to na las, to w kierunku, z którego przybyła. Kiedy dojrzała Yasę, zatrzymała się. Stała, tupiąc niecierpliwie nogą, właściwie nie wiedząc, dlaczego jest taka zła na Pierwotnego.

Mag wstrzymał gwałtownie klacz. Zeskoczył i w milczeniu spojrzął na dziewczynę. Żadne nie powiedziało słowa. Yasa podszedł do magicznej bariery. Na tyle blisko, że potężna moc podrażniła mu skórę. Powoli wyciągnął dłoń. Długie palce przemknęły po niewidzialnej zasłonie. Falująca ściana mocy rozjarzyła się odcieniami złota i czerwieni. Posypały się skry, a czarodziej syknął cicho. Poparzone opuszki zagoiły się błyskawicznie, ale zabolowały paskudnie.

– To Pierwotny? – cicho zapytała Likal, której złość na opiekuna właśnie minęła.

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Potężne zaklęcie, ale...

– Ale oprócz was tylko Uri ma taką moc, prawda? A przecież ona nie wie, że ją ma. Zadbaliście o to z Zakonną.

Yasa potaknął bez słowa, wciąż wpatrując się we wrota lasu.

– Dobra. – Likal podeszła do opiekuna. – Potem się zastanowimy kto i jak. Teraz trzeba nam pana Sodiego ratować. Kto wie, co tamten olbrzym chce z nim zrobić.

Pierwotny wyciągnął dłoń. Młoda czarownica ujęła ją. Wzmocnili uścisk. Energia przepłynęła pomiędzy złączonymi rękami. Najpierw pieszczotą, delikatnym, łagodnym muśnięciem, które po ledwie dwóch uderzeniach serca zmieniło się w wichurę. Magia połączyła oboje, spłynęła z dusz, wprost w splecione palce.

I naraz otaczający ich półmrok rozświetlił nieziemski blask. Pierwotna moc, wsparta siłą młodej czarownicy, uderzyła w niewidzialny mur. Jasny płomień rozczepił się, natrafiając na przeszkodę. Zapłonął mocniej. Część świetlistych sztyletów odbita zawróciła do Yasy i Likal. Mag błyskawicznie pociągnął dziewczynę na ziemię i przygniótłszy, osłonił przed uderzeniem. Zaraz też podniósł głowę i spojrzął na las. Bariera płonęła, ale wciąż trwała.

– Jeszcze raz – szepnął do Likal.

I ponownie uderzył.

Mrok za oknem zafalował, magiczna rzeczywistość otaczająca domostwo zadrżała. Stojący przy oknie krasnolud krzyknął z bólu i upadł na kolana. Gwałtowna ofensywa na skraju lasu szarpała trzewiami Sodiego, boleśnie drażniąc spętanego Tropiciele. Stwór wył, rwąc wiążące go zaklęcia.

Kolejny atak. Sodi zwinął się, wbił palce w ciało, zacisnął usta... i wypuścił Tropiciele.

Setki wielobarwnych wstęg targnęło leżącym i rozprostowało jego członki, niemal wrywając je ze stawów. Kolory tańczyły, wzmocnione blaskiem dobywającym się z ciała krasnoluda, a potem, nagle, rzuciły się, by szukać źródła. Rwały przed siebie, błyskawicznie przemierzając każdy zakątek domostwa. Przeszukiwały zakamarki, sunęły przez otwarte pokoje, wciskały się do tych zamkniętych. Sprawdzały miejsce po

miejscu, żadnego nie opuścili. Gdy zaś nie znalazły tego, czego szukały, pomknęły dalej, między konary. W mrok.

Płomienie trawiły osłonę, nie niszcząc jej. Bariera płonęła niespalającym się ogniem. Yasa wpatrywał się ponuro w mrok za płomieniami, a Likal stała obok, wciąż zaciskając palce na dłoni Pierwotnego. Poprawiła włosy spadające na oczy i starła pot z czoła. Przeniosła spojrzenie na opiekuna, czekając, aż ten popatrzy na nią. Yasa skinął głową.

Już mieli ponownie rzucić czar, gdy dziewczyna dojrzała połyskującą między drzewami smugę barwy. Szarpnęła rękę maga.

– Widzę – odpowiedział spokojnie.

Poczekali, aż Tropiciel się zbliży, a gdy wstęga prawie dotykała bariery, gdy już muskała ogień... uderzyli. Zwielokrotnione zakłęcie z jednej strony, macki Tropicieła z drugiej. Czar Yasy przerwał barierę i wbił się w barwne światło. Na chwilę, krótszą niż mrugnienie powieki, świat zamarł.

A potem wybuchł.

Ból minął nagle, ale Sodi wciąż leżał, kontemplując przyjemność ulgi. Najpierw powolutku przyciągnął do ciała ręce, potem złączył nogi. Przez jakiś czas, w sumie niedługi, acz wydawał mu się wiecznością, Yudherthardere wpatrywał się w belki stropowe i uśmiechał do własnych myśli. Wreszcie uznał, że wystarczy. Podniósł się szybko.

– Trza się brać – wyszeptał, bo cisza jakoś go drażniła. – Yasa z gówniarą magię rozpieprzyli, to tera chyba nikt nie doniesie pannicy, zem dał nogę, nie? – Szarpnął okiennicę, a kiedy ta otworzyła się z minimalnym skrzypnięciem, zerknął na zewnątrz. – No, wysoko nie jest, se poradzę. I dobrze, bo mnie do rajskiego ptaszka daleko. Chociaż jedna taka, ech... ta to potrafiła... – mamrotał, przekładając nogi przez okno. Skoczywszy, gadał dalej, wspominając z rozrzewnieniem ładacnicę. Wylądował gładko, na ugiętych kolanach i błyskawicznie rzucił się do ucieczki.

Nie ubiegł daleko. Po kilkunastu krokach poczuł szarpnięcie. Coś uniosło go za kurtkę na karku ponad ziemię. Majtał jeszcze chwilę nogami, bardziej z rozpędu niż świadomie.

– A wam dokąd tak spieszno? – zapytała Bela, trzymając, potężnego przecież, krasnoluda jedną ręką.

– Ano gościna przednia, ale kamraci czekają – odrzekł Sodi, szarpiąc się na uwięzi. – Weźcie mnie, kurwa, puście! Co ja, gówniarz jaki, że mnie tak dzierzycie?

– Mówiłam, żebyście nie uciekali, prawda?

– Ano, panna, mówiłaś. Ale magii już u was nie ma, kamienie gęby nie otworzą, to zem uznał, że to taka... ekhm... wskazówka jeno była, nie polecenie.

Zamrugnęła gwałtownie i puściła krasnoluda.

– Jak to nie ma magii?

– Ano nie ma. – Sodi uśmiechnął się krzywo, odsuwając jednak nieco, by gospodyni nie mogła go dosięgnąć. – Ale coście tak zmarkotnieli? Przecież tego chcieliście, co nie?

– Nie ma magii? – powtórzyła rozpaczliwie. Zamknęła oczy, zwarła szczęki... najwyraźniej próbowała przywołać bestię, ale bez skutku. – Jak to nie ma magii?! – wrzasnęła wściekle, rzucając się ku Sodiemu. Krasnolud próbował uciec, ale kobieta była szybka. Złapała go za kurtkę na piersi i, ponownie poderwawszy z ziemi, przyciągnęła ku sobie. – Coście zrobili?

– No, przecież chcieliście się pozbyć klątwy, co nie? – Yudherthardere rozglądał się nerwowo, a gdy pośród drzew zamajaczyła wysoka sylwetka, naraz się uspokoił. Rozciągnął usta w czymś, czego, prócz niego, nikt uśmiechem by nie nazwał, i kontynuował: – Nie po to żeście mnie... ekhm.. zaprosili?

– Mieliście źródło znaleźć, nie wyłączyć – warknęła, a Sodi pomyślał, że tej nocy kolejny raz trza mu będzie galoty zmienić.

– Ale przecie mówiliście... – zaczął.

– Kłamałam! Cholera, kłamałam! – Potrząsała wściekle krasnoludem. Naraz uspokoiła się i, skrzywiwszy w przerażającym uśmiechu, wyjaśniła: – Potrzebuję tego źródła. Moja mała siostrzyczka dogadała się z jednym szczyłem... cholera, potężny z niego mag. Rzucił klątwę i uwięził mnie tutaj. Nocami mogłam wychodzić, ale gdybym nie wróciła przed świtem... – zawahała się, luzując uchwyt – zostałam... tym czymś na zawsze. Nie zrozumcie mnie źle. Bestia mi się spodobała. Jak się wygląda tak jak ja, każda moc jest fascynująca. Potęga strachu. Piękna rzecz. Dobrze jest jednak, choćby czasami, mieć ludzkie oblicze. Nawet takie.

– To się powinniście radować, nie? – Sodi wyszczerzył zęby, chociaż wiedział, do czego kobieta zmierza.

– Chciałam klątwę wyłączyć – warknęła Bela – ale kiedy już opanuję źródło. A tak nie będę już bestią. Nie poczuję... – Głos kobiety zadrżał. Zamilkła na moment, a potem ponownie zacisnęła dłoń na kurtce krasnoluda. Przyciągnęła go ku sobie i wyszeptwała: – Odwróćcie to. Jeśli chcecie ranka doczekać, odwróćcie.

– No, z tym może być niejaki problemik, panna. Chyba że jego poprosicie. Może zechce. – Sodi wskazał Yasę, który właśnie stanął dwa kroki od nich. – Ino wiecie, panna, chyba nie bardzo mu się widzi, że jego przyjacielowi bebechy wytrząsnąć chcecie.

Bela spojrzała we wskazanym kierunku i zaryczała wściekle. Rzuciła krasnoludem z taką mocą, że przeleciał, mając nogami, kilkanaście kroków i trzasnął ciężko o

ziemię, a potem skoczyła ku magowi. Yasa uśmiechnął się zimno. Odsunął się, umykając szarżującej pannie. Ta jednak błyskawicznie zawróciła. Mężczyzna westchnął. Uniósł lekko rękę i naraz niewidzialna siła uniosła Belę. Nieistniejący sznur skrzypiał kobietę i delikatnie posadził u stóp Pierwotnego. Yasa przez chwilę uśmiechał się okrutnie, a potem minął kobietę i podszedł do Sodiego.

– Cali jesteście? – Podał rękę krasnoludowi.

– Ma dziewczuszka parę w łapach, niech ja więcej gęby Szczerbatej Justy nie zaznam – mruzczał Sodi, gramoląc się powoli. – Dobrze, żeście Likal nie zabrali. Życ by mi nie dała, jakby takiego dyndającego zobaczyła. To gdzie nasze dziecię ukochane?

– Wróciła do koni.

Mężczyźni spojrzeli na Belę. Wierciła się, wrzeszcząc wściekle.

– Toście narobili, panie Yasa – uśmiechnął się szeroko krasnolud. – Belcia chciała se tutejszą moc zagospodarować, a wyście... pstryk... i wyłączyli. Ktoś tu pannę czarem z bestią związał. Tak się dziewczuszka radowała, że jej źródółko wskażę, że z niego zaczerpnie i bestią wreszcie porządzić będzie mogła. Oj, joj, joj, aście narobili, panie Yasa. Tera to ona tylko żywym dowodem na owocność pochędóżki ludzi z ogrami pozostanie. To co robimy? Trza nam wracać, miodu popić, barda posłuchać...

Yasa nie odpowiedział. Patrzył na wiercącą się kobietę w zamyśleniu. Przestała już krzyczeć, a ze złotych oczu wyzierała czysta nienawiść.

– Znaczy ja wiem, że wy nie lubicie kobit krzywdzić, ale chyba jej nie puścimy, nie? – zaniepokoił się Sodi.

Mag odwrócił się, by odpowiedzieć. Nagle leśną ciszę przerwał tupot kopyt. Spomiędzy drzew wypadł oddział zbrojnych. Dowodząca nim postać wydała się Yasie dziwnie znajoma...

– Ty!!! – wrzasnęła Bela, zobaczywszy księżniczkę. Próbowwała się poderwać na nogi, wykrzykując przekleństwa. Daremnie. Zaklęcie trzymało ją na ziemi.

Zbrojni zbliżali się. Obnażyli ostrza.

– Co tu się, kurwa...?! – krzyknął Sodi.

Yasa miękko poruszył dłonią. Broń jadących i czar wiążący Belę opadły w tej samej chwili.

– Chodźmy, Yudherthardere. – Mag pociągnął przyjaciela za ramię. – Siostry poradzą sobie i bez nas.

– Siostry? – Zdumiony Sodi zerknął przez ramię. Zdażył jeszcze dojrzeć Belę powalającą kolejnego woja i księżniczkę mierzącą do niej z kuszy. – No rzeczywiście, uderzające podobieństwo. – Odwrócił się i spojrzał na przyjaciela. – Coś się mnie widzi, że jakem do stajenki uszy ratować umknął, to wyście se w karczemce całkiem nieźle poczynali. Co?

– Nie uwierzycie, Yudherthardere, ale głównie słuchałem muzyki. – Uśmiechnął się Yasa. – Nie wyobrażacie sobie, jakich rzeczy można się wtedy dowiedzieć.

– Muzyki?!– Sodi aż przystanął z wrażenia. Zaraz jednak pobiegł za przyjacielem. – I niby w tym słuchaniu pannę od zbrojnych poznaliście i wam rzekła, że siostra jej, kurwa, najmilejsza w lesie w bestię się zmienia i trza ją potraktować żelastwem jakim? Nic tak przecie nie pomaga na klątwę jak porządny sztylecik. Rzekłby, że ostatecznie pomaga... Iście jeszcze tejże pannie nadobnej gnać za sobą ze zbrojnymi pozwolili, co? Przecie nie będziecie mnie ciemnotę wciskali, żeście tych tam nie zauważyli? Taaa, znów nic nie powiecie? Niech będzie, pomilczmy se trochę. Co to szkodzi, gęby nie otwierać. Po ciemku fajnie iść w ciszy, co nie? Chociaż, z drugiej strony, znałem kiedyś jedną taką... Och, ładniutka z niej była dziewczuszka, ino języka nie umiała na uwięzi utrzymać. Wyobraźcie sobie, że nawet kiedy robiła dobrze... Czekaście, to wasza kobyłka przy drzewie, nie? A mówiliście, że gówniara do koni wróciła? To niby gdzie ona?

II

Chatka

Nawałnica przetaczająca się wieczorem nad lasem ustała i tylko pojedyncze krople deszczu spadały z liści na drogę. Klacz wyciągała długie nogi w galopie, ale amazonka wciąż ją poganiała. Koń dyszał ciężko, rozdęte chrapy z trudem łapały powietrze, a na pysku pojawiła się piana. Likal leżała na karku zwierzęcia, wtulona w grzywę i zaciskała palce na wodzach. Co jakiś czas podnosiła głowę, nie żeby spojrzeć przed siebie, ale by poczuć na policzkach gwałtowne uderzenie wiatru, a może nawet smagnięcie liści... Kiedy jednak dostrzegła wiszące nisko gałęzie, odruchowo pochyliła się w siodle. Była wściekła, rozczarowana i trochę nieszczęśliwa, ale nie aż tak, by ryzykować życiem.

Trakt skończył się nagle. Ubita ziemia zastąpiła drogę. Splątane korony drzew zasłoniły niebo i oświetlający okolicę księżyc. Konary wokoło zgęstniały. Pochylając gałęzie, chłostały boki pędzącego zwierzęcia i zahaczały o suknię dziewczyny. Materiał wytrzymał kilka szarpnięć, by w końcu poddać się z trzaskiem. Pociągnięta przez drzewne ramię Likal ledwie utrzymała się w siodle. Zacisnęła palce. Gniew pałący żyły zelżał ostudzony strachem. Dziewczyna przestała poganiać klacz. Odetchnęła kilkakrotnie. Nie odrywając głowy od końskiego karku, próbowała w ciemności dojrzeć cokolwiek. Nie zdoławszy, wyszeptała zaklęcie. Nieskuteczne.

Zaskoczona wciągnęła gwałtownie powietrze. Prosty, rozjaśniający czar powinien zadziałać błyskawicznie. Coś było nie tak... bardzo nie tak. Pociągnęła gwałtownie wodze, żeby zatrzymać wierzchowca...

Klacz zarżała rozpaczliwie. Posłuszna woli jeźdźca próbowała zwolnić. Naraz przednie kopyta trafiły w pustkę. Zwierzę, straciwszy oparcie, poleciało do przodu. Siła upadku wyrwała Likal z siodła.

Lecąc, dziewczyna pomyślała, że jednak nie powinna uciekać od Yasy...

Noc ponad Lasem Spalonej Czarownicy zawsze wydawała się mroczniejsza niż gdzie indziej. Tutaj nie docierał blask księżycy, a i nieboskłon z granicą drzew robił się nieprzenikniony, kompletnie czarny, bez najmniejszego śladu wszechobecnego, ledwie kilka kroków dalej, gwiazd. Pyri nie lubił tej okolicy. Wolałby ją ominąć, tym bardziej

że odwlekłoby to spotkanie z Zerderanem. Tak, choćby dlatego warto by było. Nie żeby nie lubił kuzyna. Kiedyś, lata temu, spędzał mnóstwo czasu w jego domu. Bawił się z córkami Zerderana, ścigał z jego synem... Dawno temu, nim jednak kuzyna zginął zabity przez elfa, a jego ojciec w zemście wyrzwał trzy elfie wioski. Potem wszystko się spieprzyło. Pyri rozejrzył się nerwowo. Nie powinien przeklinać. Nawet w myślach. Siostra wyszorowałaby mu jęzor ługiem, gdyby słyszała. Na szczęście była daleko. Mógł więc powtórzyć, z małym tylko zawahaniem, że potem wszystko się spieprzyło. Uśmiechnął się kwaśno. Teraz wizyty u Zerderana zawsze kończyły się tak samo: wiecznym narzekaniem na niewdzięczne syrenki, marudzeniem na ucieczkę najstarszej, wyrzekaniem na młode pokolenie i wreszcie, dla ukoronowania, nakłanianiem Pyriego do ożenku z najmłodszą latoroślą syreniego władcy. Nie żeby mała Titr nie była atrakcyjną panienką. W syrenim rodzie dawno nie przyszła na świat tak wielka piękność, a przecież nie z rozumu słynie kuzynostwo. Tak, Titr przewyższała urodą wszystkie znane Pyriemu syreny. Westchnął z niejakim żalem. Niestety, nie dość, że małej marzył się, jak starszej siostrze, jakiś człowiek, to i młody smok jakoś nie garnał się do żeniaczki z syreną. Z takich związków nieodmiennie rodziły się syreny, a Pyri miał obowiązek zadbać o własny gatunek.

Machnął potężnymi złotymi skrzydłami, zakręcił się wokół własnej osi i pofrunął ku mrocznemu niebu.

Mało jest rzeczy piękniejszych niż złoty smok na tle bezgwiezdnego horyzontu.

Leciał przez chwilę zanurzony w mroku i odrobinie samozachwyty, przystającego najpiękniejszemu ze wszystkich żyjących stworzeń. Wciąż wyżej i wyżej, jakby miał nadzieję, że wreszcie dotrze do ukrytych w czerni gwiazd. Naraz zatrzymał się. Rozprostował skrzydła, ogromne, piękne i połyskujące mimo braku jakiegokolwiek źródła światła. A potem powoli i z nieukrywaną niechęcią obniżył lot, kierując się na wschód, ku królestwu Zerderana.

Deszcz znów zaczął zacinać. Pojawił się nagle, grube, ciężkie krople w kompletnej czerni. Lodowata woda wciskała się w oczy i nozdrza smoka. Drażniła i oślepiała. Przez chwilę Pyri walczył z nawałnicą, prac przed siebie z uporem. Wreszcie poddał się i zanurkował pomiędzy drzewa, licząc na to, że zbite korony osłonią go przed ulewą. Rzeczywiście, gdy tylko znalazł się pod rozłożystym baldachimem liści, znów mógł otworzyć szeroko oczy. Niewiele niestety mu to dało, bo ledwie zdołał dojrzeć kontury drzew i krzewów. Mroku w lesie nie stworzyła natura. Z takim smoczy wzrok poradziłby sobie bez problemu. Ten tu był magiczny.

Pyri parsknął wściekle. Nienawidził czarów. On, dziedzic królewskiego rodu z Itru, sam władający tajemną mocą praprzodków, szczerze nienawidził wszelkiego czarodziejstwa. Zwłaszcza ludzkiego. Ludzie nigdy nie pamiętali o konsekwencjach.

Bawili się magią, trwoniąc jej potęgę na głupoty, nie myśląc, do czego taka zabawa może doprowadzić. Żywym albo raczej martwym przykładem Las Spalonej Czarownicy...

Zadumał się tak głęboko, że byłby nie usłyszał rozpaczliwego rżenia. Dobiegło go w ostatniej chwili, kiedy zamierzał ponownie ulecieć ponad wierzchołki. Zwolnił zaskoczony, by po chwili zawisnąć w pół drogi między poszyciem a szczytem drzew. Nie spodziewał się żywych stworzeń w tym miejscu. Cóż, skoro on mógł tu być... Rozejrzał się, ale że ciemność była absolutna, niczego nie dostrzegł. Nie chciał ryzykować poszukiwań w mroku, więc... odkaszlnął. Ogień rozświetlił noc i zgasł. Płonął jednak wystarczająco długo, żeby Pyri zobaczył okolicę i źródło dźwięku. Smok opadł powoli na twardą, wyjąłowioną glebę. Wyczuł pod łapą suche gałęzie i podpalił je, splunąwszy.

Klacz leżała w niecce między drzewami, zakleszczona w pułapce z naostrzonych patyków. Połamane kości porozrywały grubą skórę zwierzęcia, a ciało podrygiwało z bólu. Cierpiące stworzenie wbiło wzrok w smoka, a duszę Pyriego zalała fala straszliwej męki. Odetchnął kilka razy głęboko, żeby zapanować nad współodczuwaniem.

– Już dobrze, maleńka – wyszeptał wprost w myśli klaczy, nie spuszczać z niej wzroku. – Już jest dobrze. Wszystko znika. Jest ciepło, wygodnie, miękko. Śpij, maleńka, śpij. – Słowa płynęły bezdźwięcznie, przynosiły ulgę i zapomnienie. Łagodny, chociaż nakazujący zaśpiew otoczył umysł zwierzęcia i wreszcie pograżył je we śnie.

Niewielkie ognisko wciąż oświetlało konia. Mięśnie rannej nadal drżały spazmatycznie, nie poddawszy się woli smoka. Gniew na ludzi, którzy zastawili pułapkę, ale i na nierozsądnego jeźdźca targnął Pyrim. Zacisnął szczęki. Przez chwilę zastanawiał się, czy użyć zaklęcia uzdrawiającego. W przeciwieństwie do tych, którymi tak gardził, Pyri zawsze rozważał ewentualne konsekwencje czarów. Tym razem uznał jednak, że magia jest uzasadniona. Zmrużył więc oczy i wyszeptał w myślach.

Nic się nie zmieniło.

Powtórzył na głos, znów bez efektu. Zaklął głośno i szpetnie. Tym razem siostra zrozumiałaby. Bo skoro moc smoczych przodków nie działała, nie miał innego wyboru niż ulżyć zwierzęciu w cierpieniu. Znał zaś tylko jeden sposób. Zaklął ponownie.

Potężne smocze szczęki zacisnęły się na końskim karku, niemal miażdżąc go jednym kłapnięciem. Klacz zadrżała, ale nie obudziła się. Zanim Pyri rozerwał jej gardło, wyszeptał jeszcze, wprost w myśli stworzenia, łagodne pożegnanie. A później szarpnął. Gorąca krew ochlapała smoka. Nie cofnął się jednak. Stał przy konającym koniu, towarzysząc mu w ostatniej drodze.

Dopiero potem rozejrzał się za głupcem, przez którego musiał dobić klacz.

– No, to gdzie to nasze dziecię najśłodsze? – Sodi rozglądał się niespokojnie. Kiedy nie zastali Likal przy koniach, byli pewni, że wróciła do gospody. Tymczasem nie było tam ani jej, ani klaczy, której dosiadała. – Jakaś, kurwa, epidemia porwania czy co? Po panie bym się nie spodziewał. Przecie starczy, że smarknie, a gościowi zęby polecą jak te perełki, com kiedyś, całkiem bez przypadek, jednej damie zerwał i podłogę nimi zaścielił. Znaczą jakby kobita mnie od kurdupli nie wyzywała, to i przypadku by nie było... Taaa, nie patrzcie tak. Dyc' wiem, że się o smarkatą turbujecie. I mnie strach o gówniarę, ale co wiem, to wiem. Szczyl ma taką moc, że nawet Pierwotnemu nie zawsze się z nią mierzyć. Se poradzi.

Yasa rzeczywiście wyglądał na zmartwionego. Zmarszczył brwi i usiadł ciężko na ławie. Na zewnątrz znów szalała ulewa, deszcz bębnił w ściany, okna i dach z podobną siłą jak kilka godzin wcześniej. Jedynie bard nie zawodził już smutnych pieśni. Goście opuścili gospodę, a karczmarz pogasił kaganki. Jedynym źródłem światła pozostał dogasający ogień w palenisku. Krasnolud krążył wokół niego nerwowo.

– I co teraz zrobim, panie Yasa? Nie żeby mi spieszno było dupę w siodle obijać, a i odzienie coś się od tego ciąglego moczenia kurczy ostatnio... Wiem, że gówniara mówiła, że to od żarcia tłustego i nadmiaru miodu, ale... no, niech ja więcej piezzonego dzika między zęby nie wsadzę, jakiego nadmiaru? Jak w ogóle może być miodu za dużo, ha?! Przecie miód samo zdrowie, a na zdrowiu oszczędzać ni ma co! – Uśmiechnął się błogo, zaraz jednak spoważniał. – To jak, panie Yasa? Jedziem szukać pannicy?

Pierwotny, zapatrzony w dogasający płomień, nie odpowiedział.

– Panie Yasa?

– Musicie wypuścić Tropiciela – odrzekł wreszcie niechętnie mag. – Tylko tak znajdziemy Likal.

Sodi zatrzymał się gwałtownie.

– Ożeż! Dopiero co...! Wicie, jak to, kurwa, boli?!

– Wiem.

Zapewne dyskutowaliby dalej, gdyby akurat nie podszedł karczmarz. Przesząpił z nogi na nogę i ukłonił się głęboko.

– Podać coś, szanowni panowie? – zapytał grzecznie, acz ze słabo ukrywanym strachem.

– Taaa, polewki jakiej ciepłej – odpowiedział Sodi. – Naszej panny u was nie było? Znaczą nie wróciła?

– Nie, panie.

– Pewnie w las pognęła. – Krasnolud pokiwał głową. – Może się jej pomyślało i zamiast zawrócić, pchnęła kobyłkę między drzewa. Ech, trza będzie szukać. No! Czego tak stoicie? Polewki mieliście zapodać.

– Bo, wielmożny panie – karczmarz ponownie, drepcząc nerwowo, zerknął na Yasę – bo ja...

– I czego się tak jąka, jakby mu rozum odjęło? Co tak oczyska w najmilejszego naszego przyjaciela wgapia, ha? Dyć chłop z niego na schwał, ale w czym innym gustuje. Ni ma się co wstydząć, każdy lubi, co lubi...

– Yudherthardere – łagodnie przerwał Yasa – dajcie człowiekowi dokończyć.

– A czy ja co mówię? Uprzedzam jeno grzecznie, że dupy mu nie dacie, no...

Karczmarz poczerwieniał raptownie, potem pobladł i znów poczerwieniał.

– Ja nie... Panie, no co wy?! Ja...

– I znowuż. Wyduście, chłopie, wreszcie!

– Kiedy mi nie dajecie! A mnie o waszą pannę idzie! Bo jak ona w Las Spalonej Czarownicy wlaźła, to nieszczęście być może! Stamtąd nikt nie wraca!

Pyri znalazł dziewczynę kilka kroków od truchła konia. Przez chwilę myślał, że jest martwa, bo wisiała twarzą w dół, nabita na dwie wystające z ziemi gałęzie. Rozsypane jasne włosy ścieliły wyschniętą leśną ściółkę, a z ramion wystawały końce naostrzonych żerdzi. Zdecydowanie wyglądała na martwą. Ale żyła. Słyszał powolne tętno i cichy szmer oddechu. Przede wszystkim jednak czuł delikatny zapach. Lekki, słodki aromat, dziwnie znajomy, acz Pyri nie mógł sobie przypomnieć skąd. Gdyby dziewczyna nie żyła, zapach zmieszałby się z odorem śmierci i drażnił smocze zmysły. A na razie Pyriego irytował tylko fakt, że nie może sobie przypomnieć, skąd zna tę woń.

Przestał nad tym dumać, kiedy dziewczyna jęknęła cichuteńko. Deszcz ponad koronami drzew przybierał na sile i coraz więcej kropli przeciskało się przez liście. Woda najwyraźniej otrzeźwiła ranną. Chciała się poruszyć, ale gałęzie trzymały ją w miejscu.

– Przestań, zrobisz sobie większą krzywdę – nakazał smok.

Z trudem odwróciła głowę i spojrzała na niego.

– Nie ruszaj się. – Próbował wsunąć się w myśli dziewczęcia. – Nawet nie drgnij. Nie boli. Czujesz? Już jest dobrze, już...

– Na mnie to nie podziała – wycharczała, a potem straciła przytomność.

Przez moment Pyri stał zaskoczony. Nie spotkał jeszcze nikogo, kto byłby odporny na smocze spojrzenie. Podobno niektórzy czarodzieje... i jeszcze potomkowie

pewnego krasnoluda posiadali ten dar, ale osobiście nie poznał żadnego. Zamiast rozmyślać dłużej nad tym fenomenem, podszedł do rannej. Jeszcze niedawno kusilo go, żeby zostawić głupca, przez którego musiał dobić klacz. Nie spodziewał się jednak kogoś takiego. Ślicznej, interesującej panny... Przede wszystkim jednak młodej, bardzo młodej.

Deszcz przybierał na sile. Nabita na żerdzie dziewczyna wisiała jak zepsuta lalka, nieprzytomna i coraz bardziej wyziębiona. Płomień rozpalony uprzednio przez smoka właśnie zgasł, ponownie pograżając okolice w kompletnej ciemności. Pyri wsunął łeb pod ciało dziewczyny. Kiedy się upewnił, że wystające z jej ramion badyle stanowią jedyny problem, szybko podjął decyzję. W smoczej formie nie bardzo mógł pomóc. Odetchnął powoli. Zmiennokształtność i spojrzenie były częścią jego natury. Nie potrzebował do nich magii. Zapewne dlatego nie miał problemów z przemianą. Robił to tak, jak oddychał, gładko i naturalnie. W obu formach nie należał do ułomków, więc bez trudu podniósł szczupłą dziewczynę i zsunął z trzymających ją gałęzi. Następnie delikatnie ułożył na ziemi. Oderwał rąbek koszuli rannej i przewiązał ramię, żeby zatrzymać krwawienie. Potem zrobił to samo z drugim.

– I świetnie, tylko co teraz? – wyszeptał, łagodnie odsuwając włosy z twarzy dziewczyny. – Nie poniosę cię do traktu. Szlibyśmy ze dwa dni. Mógłbym spróbować polecieć, ale jeśli oprzytomniejesz w powietrzu, może być niewesoło. Ech, dzieciaku, aleś nawywijała. I co ja mam z tobą zrobić?

Dzieciak milczał, więc Pyri rozejrzał się, bez nadziei na odpowiedź. Zaskoczony zobaczył połyskujące światelko w głębi lasu, ledwie zauważalne, maleńkie i chybotliwe. I, tego był prawie pewien, całkiem nowe. Błyskawicznie podjął decyzję.

– Dobra, mała, spróbujemy. – Podniósł ranną i ruszył w kierunku blasku. Stąpał powoli, z zastanowieniem stawiając stopy, bo w lesie nadal panowała kompletna ciemność, a on był bosy. Raz stanął na czymś ostrym i syknął gniewnie. Nie zachwiał się jednak.

Przez jakiś czas dziwny płomyk nie zmienił natężenia ani rozmiaru. Pozostawał maleńki i słaby, mimo iż smok zbliżał się do niego. Pyri już zamierzał zawrócić, bo przecież słyszał o zwodniczej magii. Co prawda opowieści mówiły o bagnach, a nie wyschniętym mrocznym lesie, ale kto tam wie? Może ognik wiódł go w pułapkę? Może...

Nagle drzewa rozstały się, a migoczące światelko rozblęsnęło i rozszczepiło się na dziesiątki innych. Te zaś skoncentrowały blask wokół jednego miejsca. Pośród mroku, w nieprzeniknionej ciemności, w której nie można było dostrzec nawet zarysu drzew, wyrosła chata. Jasna, rozświetlona i kolorowa. Wyglądała jak te, które Pyri widział u

handlerek w dzień targowy, z ciasta i cukierków. Niczym słodki piernik ozdobiony lukrem i marcepanem, kusiła i zapraszała.

Smok spojrział na ranną. Nauczono go, że to, co zbyt piękne, nigdy nie jest prawdziwe, że należy obawiać się cudów. No i Pyri nie znosił magii, a ten domek pośrodku czarnej nicości z całą pewnością był zaczarowany. Niestety, przemoczona dziewczyna potrzebowała ciepła i porządnego opatrzenia ran. Mężczyzna westchnął. Uniósł głowę, rozejrzał się i powiedział twardo:

– Jestem Pyriedntestate Anhe Hredhertgherre, syn królewskiego rodu z Itru. Kimkolwiek jesteś, wiedz, że jeśli skrzywdzisz to dziecko, skrzywdzisz mnie. A jeśli skrzywdzisz mnie, skrzywdzisz cały mój ród. – Odczekał chwilę, żeby ewentualny przeciwnik zrozumiał groźbę, a następnie powoli wszedł do bajkowej chaty.

– Była tam kiedyś taka mała wioska. Ot, dwa tuziny domostw, nic wielkiego – kontynuował karczmarz, zerkając to na jednego, to na drugiego z gości. – Ludzie żyli z tego, co dawał las, a co im zostało, sprzedawali w mieście. I do nas czasami zaglądali. Ojciec miody od nich brali, bo przednie mieli, a i dziczyzna zacna... Czasami zaglądała też do nas ichnia zielarka. Dobra była z niej kobita, zawsze pomocą służyła, a jak kto chory, to tak pomogła, jakoby czary jakie... Z najgorszych chorób wyprowadzała. A i urodziwa była. Gołowąs był ze mnie jeszcze, ale pamiętam, że piękniejszej w okolicy nie znalazłby.

Wielu w konkury próbowało. Oj, wielu. Nawet ci, którzy mocy czarodziejskich się obawiali... Nawet tacy próbowali o względy zielarki stawać. Wszystkim odmawiała. Jednym grzecznie, innym mniej, ale wszystkim. A potem na jakiś czas wyjechała. Nikt nie wiedział dokąd ani po co. Pojechała i tyle. A jak wróciła, przywiozła dzieciaki. Malutkie takie, ledwie zrodzone. Chłopca i dziewczynkę, bliźniaki. Mówiła, że jej, a mąż został daleko. Ale baby w wiosce, co to zawsze je zazdrość o zielarkę brała, orzekły, że czary jakowe. Że dzieci albo małe demony, albo jakie zło... i że zielarka to się z tym złem pewnie pokładała. Chłopy najsamprzód to wiary nie dali, ale wiadomo... zazdrość brała... i z czasem coraz więcej miejscowych od kobity się odwracało. Nie minęło ze cztery miesiączki, a wszystkie we wsi źle patrzyli. I wtedy umarło dziecko kowalów... No i wioskowe ogłupieli całkiem. – Karczmarz pokiwał głową ze smutkiem. – Podpalili dom zielarki, razem z kobitą. Ponoć krzyczała, strasznie krzyczała...

– A dzieci? – cicho zapytał Yasa.

– Kowal wcześniej zabrał dzieciaki. Wyrwał z rąk zielarki. Podobnie powiedział, że wilkom rzucą. Pewnie dlatego tak strasznie krzyczała. Nikt nie wie, co się z dziećmi stało. Że w domu nie spłonęły to pewnik, bo jak już żar zgaś, poszlim

pogrzebać bidulkę. I tylko jedno spopielone ciało żeśmy znaleźli... – Zamilkł na chwilę, wspominając. – A potem się okazało, że kobita prawdę mówiła. Znaczący mąż wrócił. Pamiętam, jak tu przyszedł, w drodze do wsi. Zabawki jakoweś na grzbiecie konia wioził i inne takie. Taki był ucieszony... Nie wiedzielim, jak mu powiedzieć. Taki był ucieszony... Nikt się nie spodziewał, że to taki mocarz. Taki... Wreszcie pojechał, a ojciec za nim. I z daleka tylko patrzył. Ponoć bidulka taka żałość wzięła, taki gniew i żałość... Człtek słyszy o czarodziejstwie, ale wiecie, myśli se, że to bajdy jakowe. Takie, co dzieciakom ku nauce... A tamten bidulek jednym ino zaklęciem... Jednym zaklęciem całą wioskę w popiół obrócił. Nikt nie przeżył. Kobity, dzieciaki, chłopcy, wszystkie stracił. Jednym ino zaklęciem. Możecie se to wyobrazić?

Yasa i Sodi spojrzeli na siebie. Tak, potrafili sobie to wyobrazić. Bardzo łatwo. Wystarczyło wspomnienie.

– Chłopiec i dziewczynka, mówicie? – zapytał krasnolud. – A ile to wiosen minęło?

– Czekajcie... Będzie z osiemnaści.

Krasnolud ponownie zerknął na przyjaciela. Porozumieli się bez słów.

– Co dalej? – zapytał Sodi.

– Ojciec pognali do dom, a za nim las czerniał. Martwił jak ta wioska, co to niewinną kobitę spaliła. I od tego czasu, kto wlezie między tamte drzewa, nie wraca. – Zamilkł. Przesząpił z nogi na nogę i, opuściwszy głowę, dodał: – Tak że lepiej, żeby wasza panna tam nie wchodziła.

– A czarodziej? – dopytywał krasnolud.

– Też nie wiadomo. Mówią, że siedzi w środku i każdego, kto wlezie, ubija czarami.

– Kto mówi? Przecie nikt z lasu nie wrócił? – prychnął krasnolud. – Idźcie no po tę polewkę. My tu z przyjacielem naszym najmilejszym pogwarzyć musimy.

Gospodarz pokiwał głową i ruszył do kuchni. Przy drzwiach zatrzymał się. Przygryzł wargę i zapatrzył się w maga.

– Czego zaś? – warknął krasnolud.

– Bo, wasza miłość – karczmarz nie odrywał wzroku od Yasy – ja o księżniczkę chciałem... Bo wiecie, co? Wiecie? Nie miejcie za złe, panie.

Pierwotny machnął ręką.

– O czym on...? – zapytał Sodi, kiedy zostali sami.

– Doniósł siostrze waszej oblubienicy, że gości Pierwotnego – odpowiedział mag. – I zdaje się, że niepokoi go, że się zorientowałem.

– Jakiej, kurwa, oblubie... Aaaaa, wy o Belci prawicie. Sprzedał was? To i nie dziw, że mu w gaciach miękko. – Usiadł obok czarodzieja. – To jak? Wypuszczamy Tropicieła, czy pogwarzym o tatusiu naszej najmilejszej dzieciny?

Dwie śliczne kołyski pełne kolorowych poduszek kolebały się powolutku pod ścianą, tuż przy płonącym palenisku. Napędzane niewidoczną siłą, poruszały się w niezmiennym rytmie. Jakby nieistniejąca piastunka nieustannie usypiała nieistniejące niemowlęta. Łagodne skrzywienie uniosło włosy na karku smoka. Drgnął lekko, ale nie cofnął się. Położył ranną dziewczynę na dużym łóżku. Stało w centrum izby, zasłane haftowanym atłasem, kompletnie niepasującym do małej chaty w środku lasu. Dziesiątki świec, jak atłas niedostających do miejsca, płonęło w lichtarzach, oświetlając pomieszczenie, ale ich blask koncentrował się na tych trzech punktach: kołyskach i łóżku. Światło igrało w załamaniach zdobień, połyskiwało w metalu i odbijało się od lustrzanej powierzchni pościeli. Takie piękno powinno zachwycać, a wywoływało niepokój. Było coś przerażającego w tej ciszy, w doskonałości wnętrza, w wyidealizowanym obrazku rodziny bez jej członków.

Pyri potrząsnął głową. Później się nad tym zastanowi. Teraz musiał zająć się ranną. Prowizoryczne opatrunki nabrały już czerwonej barwy, a odzienie kompletnie przemokło. Jeśli się nie wykrwawi, to zachoruje na zapalenie płuc. Odsunął splątane włosy z pobladłych policzków dziewczyny i zawahał się. Nie żeby nigdy nie rozbierał kobiety. Dotychczas jednak wszystkie były przytomne.

Delikatnie rozwiązał szmatki. Krew wciąż sączyła się z obrażeń, ale najwyraźniej z wolna zaczynała krzepnąć.

– I dobrze – powiedział, zdejmując z dziewczyny koszulę. – Przynajmniej się nie wykrwawisz, panienko. Jeśli jeszcze nie złapiesz jakiegoś zakażenia, będzie cudnie. Niech to licho, mam nadzieję, że nie wpadnie tu zaraz jakiś ojciec albo, co gorsza, mąż. Jeszcze by co głupiego pomyśleli... O tak – wyszeptał, przykrywając dziewczynę prześcieradłem – teraz nagotuję wody i oczyścimy rany. Ze dwa dni i będziesz jak nowa.

Zrobił krok do tyłu i dopiero wtedy zauważył, że ranna patrzy na niego. Uśmiechnął się więc i odsunął jeszcze bardziej, żeby dziewczyna nie czuła się skrępowana.

– Witaj, panienko. Jestem Pyri. Nie mam złych zamiarów. Nie bój się...

– Nie boję się – powiedziała cicho. Spróbowała usiąść, ale tylko syknęła z bólu.

– Nie ruszaj się, zaczniesz mocniej krwawić.

– Jesteś smokiem – zauważyła spokojnie.

Zamrugnął zaskoczony.

– Skąd wiesz?

– Masz takie oczy. – Odetchnęła głęboko i przez chwilę milczała, zaciskając zęby. – I głos twój pamiętam. Złoty smok, co? Pewnie z królewskiej rodziny z Itru.

Nie od razu odpowiedział. Patrzył długo, w ciszy, którą przerywało tylko powolne skrzypienie kołysek.

– Nie męcz się po próżnicy – ostrzegła. – Nie odczytasz mnie. Na mnie smocza natura nie działa.

– Jesteś czarownicą? – zapytał z nieukrywaną niechęcią.

Zamknęła oczy.

– Takem myślała, ale tutaj to chyba nie – odpowiedziała po chwili. – Nie mogę... Nadal jesteśmy w lesie, prawda? Próbowałam zatrzymać konika i mrok rozświetlić, ale nie dałam rady. Co z nią? Z koniem? Pamiętam, że się potknęła...

– Dobiłem ją, cierpiała.

Dziewczyna drgnęła.

– Nie mogłeś...?

– Moja magia też tu nie działa. Nie zostawiłbym cię w takim stanie, gdybym mógł użyć zaklęcia.

– Mimo że nie lubisz czarownic? – Spróbowała się uśmiechnąć, ale za bardzo bolało.

– Wtedy nie wiedziałem, że nią jesteś. – Wzruszył ramionami. – Ale tak, mimo to. Poszukam czegoś, żeby oczyścić i opatrzyć twoje rany. Chociaż, szczerze powiedziawszy, nie bardzo mnie cieszy ruszanie czegokolwiek w tym strasznym domu.

– Strasznym? – Rozejrzała się, na tyle, na ile mogła. – Kiedy on ciepły. Taki... pełen miłości. – Urwała zaskoczona własnymi słowami. Zamrugowała lekko. – Może... ale jest tak miękko, tak dobrze – wyszeptwała, opuszczając powieki.

– Panienko...?

Otworzyła oczy. Zdezorientowana patrzyła na pochyłającego się nad nią młodzieńca.

– Dziwny ten dom, masz rację – powiedziała wreszcie. – Przydałby się pan Sodi, on by wiedział, czy to czary. Bo chyba czary, prawda? Co tak cały czas skrzypi?

– Kołycki. Stoją pod ścianą i bez przerwy się kolebią. Nie, nie podnoś się. Znowu ci krew leci. Czekaj, poszukam czegoś.

– Jak to bez przerwy?

Pyri stanął przy palenisku. W zawieszonym nad nim kociołku bezgłośnie bulgotała woda. Mężczyzna powoli przybliżył dłoń, sprawdzając, czy bezdźwięczny wrzątek parzy, bo przecież w tym domu wszystko było możliwe. Kociołek jednak był gorący

– Jak to bez przerwy? – powtórzyła.

– Kołyszają się w tym samym rytmie, odkąd tu weszliśmy – wytłumaczył, sięgając po kubek z lekkim zawahaniem. Jakoś nie miał pewności, czy może cokolwiek ruszyć w zaklętym domu. Od dzieciństwa powtarzano mu, że każda magia niesie za sobą konsekwencje, a to miejsce wydawało się kompletnie nierealne. Równie dobrze, jeśli przesunie garnek o długość palca, cały dom może spłonąć. Zaciśnął zęby i powoli ujął

kubek. Nic się nie stało. Pyri odetchnął głęboko. Z uśmiechem odwrócił się do dziewczyny. Blask dziesiątek świec oświetlał jej pobladłą twarz, sprawiając, że była nierzeczywiście piękna. Przez moment smok nie mógł oderwać wzroku od rannej, potem potrząsnął głową. Taaak, wszędzie czary.

– Ja się przedstawiłem – powiedział, zanurzając kubek w kociołku – a jak ciebie zwa?

– Likal – odpowiedziała cicho.

Nagle świece przygasły. Zaraz jednak zapłonęły spotężniałym blaskiem. Kołyski zawisły w połowie drogi, zatrzymane tą samą nieistniejącą siłą, która poprzednio je rozbijała. Przez chwilę w kompletnej ciszy rozbrzmiewały tylko oddechy dwojga gości. Nierówne, przyspieszone i płytkie. Coś błyskawicznie wsunęło się w myśli obojga. Coś przerażającego i atawistycznego, nad czym nie mogli zapanować. Wdarło się w umysły i mknęło krwią ku sercu...

A potem miękki głos cicho powtórzył:

– Likal. Likal. Likal. Moja Likal, moja córeczka...

Do szeptu dołączył kolejny i następny, i następny. Chór potężniał, skandując imię, coraz głośniejsze i głośniejsze. Słowa uderzały w powałę, a odbiwszy się od niej, wbijały w smoka. Krzyk za krzykiem, jak smagnięcie bata, cięły skórę mężczyzny. Magiczny wrzask sparaliżował Pyriego. Nie próbował uciekać ani uwolnić się spod władzy czaru. Raniony padł na kolana, osłaniając głowę. Jęcząc, zwinął się na podłozie.

Ta sama moc szarpnęła dziewczyną, a potem uniosła ją z łóża. Zamiast jednak ranić, otuliła łagodną pieśczołą. Niewidzialne ramiona objęły Likal z czułością i kołysały kilka stóp nad ziemią. Fala ciepła przemknęła po ciele, lecząc wszystkie skaleczenia, stłuczenia i rany. Troskliwy głos szeptał wprost w duszę. Dziewczyna odetchnęła głęboko. Było jej dobrze. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się tak kochana. Zamknęła oczy, pogrążając się w tym uczuciu. Poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie zaznała nawet przy opiekunach, słodką bezradnością obezwładniało uleczone ciało.

I wtedy usłyszała jęk Pyriego. Rozpaczliwy i cichy. Obudził ją w jednej chwili. Zacisnęła zęby, zmrużyła oczy i szarpnęła się. Czar wciąż ją paraliżował. Nabrała powietrza, odetchnęła powoli, a potem zaczerpnęła mocy. Sięgnęła po nią do krańców pamięci, do wspomnień Yasy, do jego mocy. Przebiła się przez mroczny las, przez żal i gniew, który go chronił.

– Zostaw! – krzyknęła, uwalniając czar.

Fala pierwotnego zaklęcia przetoczyła się przez chatę. Zdmuchnęła świece, ponownie rozbijała kołyski, przygasiła palenisko, by wreszcie uderzyć w niewidzialną siłę raniącą smoka.

Ból zniknął tak szybko, jak się pojawił. Krzyki ucichły. Strach i żal, który jeszcze przed momentem rozrywał duszę, zgasły. Mimo to Pyri nie wstał z klepiska.

Świadomość wracała dużo wolniej, niż znikąło obezwładniające zaklęcie. Serce wciąż szalało w piersi, a oddech się rwał. Gdzieś, na granicy jaźni, nadal tańczył strach, nie pozwalając zebrać myśli. Dopiero delikatny dotyk na ramieniu sprawił, że smok podniósł głowę i otworzył oczy.

W półmroku, rozjaśnianym chybotliwym płomykiem jednej tylko świecy, zawinięta w prześcieradło Likal z troską pochylała się nad mężczyznę.

– Chyba... – odchrząknął i usiadł powolutku – chyba rzeczywiście jesteś czarownicą.

Skinęła bez słowa, a potem usiadła obok niego. Podciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich głowę.

– I tak się mnie zdaje, że nie pierwszą w rodzie – wyszeptała cichutko, patrząc na kołyski.

Macki Tropicielea pędziły przez las, szukając śladów mocy. Splatały i rozplatały się, dzieląc, by dotrzeć w najmniejszy zakamarek. Zadrzały u wrót zaklętego lasu. Uderzyły w ścianę zaklęcia, próbując wdrzeć się do wnętrza, ale magiczny mrok skutecznie bronił wstępu. Wreszcie zawróciły, wezwane przez nosiciela.

Kiedy jednak mijały dwór bestii, poczuły znajomy aromat. Mocny i gorzki. Tak pachniała potężna magia. Młoda i nieokiełznana. Szperające wstęgi stanęły jak zaciekawiony drapieznik, który zwęszył ofiarę. A potem skoczyły w kierunku źródła. Przez kamienne ściany, przez drewniane podłogi, w dół, ku podziemiom domostwa. Dotarły do małej, ciemnej komórki i do czarodzieja uwięzionego w niej.

Jękliwy szepot krzykiem odbił się w umyśle Tropicielea.

Macki wróciły.

III

Tr w w c e n i a

Mięśnie długich nóg dziewczyny zadrżały, a uda zacisnęły się wokół pasa Zerderana. Tryton poruszył się wolno, sprawiając, że kochanka jęknęła. Jej oddech przyspieszył. Przyłgnęła gwałtownie do mężczyzny i wbiła palce w jego umięśnione ramiona. Uśmiechnął się. A potem przycisnął rudowłosą do materaca. Szybkimi, głębokimi pchnięciami prawie pozbawił ją tchu.

Doszedł, kiedy zaczęła śpiewać.

Nieporównywalny z niczym, wysoki, czysty ton, jaki wydawały tylko syreny i tylko w tej jednej chwili, odbił się od zdobionych aksamitami ścian. Drżał, to wysoki, to opadający, w rytm kurczących się mięśni kochanków. Najpiękniejsza z syrenich pieśni trwała, zmieniając jedynie natężenie, niemal bez końca. Gdy wreszcie umilkła, dziewczyna opadła kompletnie wyczerpana na prześcieradła. Syreni władca usiadł obok, kontemplując nagość kochanki. Była piękna, jak każda syrena. Jak setki, które już miał, i setki, które jeszcze na niego czekały. Bo Zerderan lubił dobre chędożenie. I piękne syreny. Miał ich tak wiele, a tylko jedna obdarowała go synem.

Westchnął ciężko, wspominając cudownego chłopca, którego odebrały mu elfy. Teraz miał tylko córki. Głupie smarkule, marzące o ludzkich kochankach albo płodzące nic niewarte półludzkie pomioty... Sarknął wściekle, uświadamiając sobie kolejny raz, że będzie musiał prosić. Tak jak kochał chędożenie, tak nienawidził żebrać o pomoc. Nienawidził słabości i bycia zależnym od innych. Fakt, że musiał błagać rodzinę... Gniew zapłonął w żyłach, przyspieszył oddech, a szukając ujścia, zrodził gwałtowne podniecenie.

Syrenka uniosła ociężałe powieki i przesunęła spojrzeniem po królu. Uśmiechnęła się ze zrozumieniem i, przewróciwszy na brzuch, uniosła pośladki.

Świtało. Zawinięta w prześcieradło Likal stała przy oknie, obserwując wstający dzień. Kołyska u jej boku kolebała się powolutku, poruszana od czasu do czasu dłonią dziewczyny. Łagodne skrzypienie mebla kołysło zmysły młodej czarownicy, przynosiło spokój i poczucie przynależności. Była w domu. Nie pamiętała go, nie pamiętała rodziców, którzy najwyraźniej kiedyś ją kochali, ani miejsca, w którym spędziła

początek życia. Nie wiedziała, kto i dlaczego ją stąd zabrał, ale to niczego nie zmieniało. Była w domu.

Za oknami las odzyskiwał kontury. Szarość poranka wsuwała się pomiędzy drzewa, wydzielając pojedyncze konary spośród czarnej ściany. Pierwsze nieśmiałe promyki igrały w kroplach rosy drżących na liściach. Przez szpary w deskach do wnętrza wciskał się poranny chłód wraz z szumem lasu i śpiewem budzących się ptaków. Magia odeszła, uwalniając las.

Cisza i spokój udzieliły się i czarownicy. Zateśkniła naraz do opiekunów. Zapragnęła powiedzieć im, co ją spotkało, przyprowadzić do małej chaty pośród lasu. Odetchnęła głęboko, zamierzając użyć zaklęcia połączenia...

– Nie możesz spać? – wyszeptał Pyri, podchodząc do dziewczyny.

Zamrugła nerwowo i przerwała czar.

– Nie bardzo – odpowiedziała.

Nie dopytywał. Usiadł na zydlu między kołyskami, uważając, żeby żadnej nie dotknąć. Był potężnym mężczyzną, kiedy stał, sięgał powały, ale otoczony dziesiątkami ręcznie haftowanych poduszek i dziecięcych zabawek sprawiał wrażenie zagubionego, a nawet wystraszonego chłopca. Likal uśmiechnęła się odruchowo.

– Nie podziękowałam ci jeszcze.

Rozejrzał się i, po chwili zastanowienia, dotknął kołyski, wprawiając ją w ruch. W milczeniu patrzył na kolebiące się dziecięce łóżeczko, a potem delikatnie je zatrzymał.

– Trochę to straszne, nie sądzisz? – zapytał.

– Kiedyś, za wiele, wiele lat, kiedy będziesz już dużym smoczkiem, przestaniesz się bać rodzicielstwa.

– Pyskata z ciebie panienka.

– Ano tak mówią. – Wyszczrzyła ząbki. Wyjęła z kołyski szmacianą lalkę i powoli przesunęła palcami po długich czerwonych warkoczach zabawki. Posmutniała, poczuwszy chłód jedwabistych włosów. – Chyba mogłabym tu mieszkać. Być częścią tego domu... Częścią rodziny. Nie pojdziesz. Oni by pojęli. Yasa by zrozumiał – szeptała, patrząc przez okno, w szarość drzew. – Głupio zrobiłam, uciekając, ale tamta panna... Kiedy ją zobaczyłam... Staram się. Naprawdę się staram, ale czasami zapominam, że powinnam... Powinnam uciszyć żal. Nie wolno mi tak czuć. Kiedy się gorączkuję – zerknęła na smoka, ale on wiedział, że tak naprawdę nie patrzy na niego – kiedy się gorączkuję, robię... mogę robić straszne rzeczy. Więc uciekłam. Tak było lepiej. Nie rozumiem, dlaczego tak mnie to zabolowało. Wiesz? Wcale nie rozumiem. Yasa o mnie dba. Cóż z tego, że... – zamilkła. Zacisnęła palce na brzegu kołyski i zatrzymała jej powolny ruch. Odetchnęła głęboko, a potem ponownie spojrzała na

Pyriego, tym razem w pełni świadomie. – Przepraszam. Pan Sodi mówi, że gęba mi się nie zamyka, że kiedy zacznę, mogę zagadać na śmierć.

– Masz całkiem przyjemny głos – uśmiechnął się mężczyzna – a ja wciąż żyję.

Pokiwała głową.

– Chcesz do niego wrócić? – zapytał łagodnie. – Do tego twojego Yasy?

Roześmiała się w odpowiedzi. Krótko i ponuro. Potem zacisnęła usta i w zastanowieniu kontemplowała widok za oknem.

– Nie – odpowiedziała wreszcie. – Jeszcze nie. Znaczący chcę. Ale źle nie będzie, jak na trochę ich zostawię.

– Zostaniesz tutaj?

Rozejrzała się wokoło, po małej chatce pełnej wspomnień, których nie miała.

– Może powinnam. Dowiedzieć się, kim jestem. Kim byli... i co się stało z tą drugą – wskazała na kołyski.

– Nie sądzę, żebyś tu poznała odpowiedzi. To pusta chata w środku lasu. Jeśli nie chcesz wracać, może polec ze mną?

Zaskoczona Likal odłożyła lalkę.

– Nawet mnie nie znasz. I nie znosisz czarownic.

Uśmiechnął się szeroko.

– No i właśnie dlatego powinnaś polecieć. Wyobraź sobie to wyzwanie: zmusić smoka, żeby polubił czarownicę. Toż dopiero byłaby magia. Poza tym – dodał, poważniejąc – znam kogoś, kto może odpowiedzieć na twoje pytania. Jeśli wrócisz ze mną do Itru, zaprowadzę cię do niej.

Dziewczyna milczała przez chwilę, rozmyślając.

– Dlaczego? – zapytała wreszcie.

– A dlaczego nie? Tu nie zostaniesz, do nich nie wrócisz... A ze mną polatasz – mrugnął figlarnie. – I, pomyśl sama... – Pochylił się nad nią i wyszeptał miękko: – Twój głos mnie nie zabije, więc możesz gadać do woli.

Likal roześmiała się, a potem pokiwała głową.

– Racja, dlaczego nie? Polecę z tobą do Itru.

– To dobrze. Po drodze odwiedzimy mojego krewniaka... – Ruszył ku drzwiom. Położył dłoń na skoblu i naraz się zatrzymał. Długo i w milczeniu patrzył na dziewczynę. – Chociaż nie, lepiej nie. Zerderan ogłupieje, kiedy cię zobaczy.

– Zerderan? – Usta Likal drgnęły, nieznacznie pogłębiając uśmiech.

Mężczyzna skinął głową.

– Ano, mój kuzyn. Żadna chluba mieć trytona w rodzinie, zwłaszcza takiego. – Westchnął głośno. – Nic to, Likal. Założ suknię. Poczekam na zewnątrz.

Kiedy wyszedł, czarownica usiadła na łóżku, ale zamiast się ubierać, przymknęła oczy i wypowiedziała zaklęcie...

Wiosenne słońce odbijało się od złotych łusek, mieniając połyskliwe. Likal stanęła w drzwiach, podziwiając potężne stworzenie stojące przed chatą. Pyri rozprostował skrzydła, a blask przemknął pomiędzy błonami i, odbiwszy się od nich jak od lustra, rozświetlił szarość poranka. Zaiste niewiele jest rzeczy piękniejszych od smoka z Itru, a dziewczyna jeszcze nie widziała żadnej z nich. Stała więc, ledwie oddychając, oczarowana doskonałością magicznej istoty. Bała się choćby drgnąć, żeby cudny obraz nie zniknął.

Cudny obraz tymczasem, świadomy reakcji Likal, prężył się i przeciągał jak przebudzone kocię. Powolutku kręcił łbem, by światło igrało w łuskach, a potem skrzyło w zielonych oczach. Przeształ z łapy na łapę i poruszał lekko ogonem. Nie spuszczał przy tym wzroku z młodej czarownicy, upewniając się, że poświęca mu odpowiednio dużo zainteresowania. Wreszcie uznał, że wystarczy zachwyków. Podszedł do dziewczyny i spróbował wejść w jej umysł. Nie udało się.

– Wpuść mnie, Likal – powiedział więc na głos. – W górze łatwiej będzie rozmawiać myślami.

– *Mnie tam trudno nie jest* – wyszeptła w umyśle smoka. Drgnął zdziwiony, a Likal uśmiechnęła się figlarnie. Poklepała Pyriego po karku, a potem wyszeptła, tym razem używając ust, do jego ucha: – Mogę wejść i odczytać twoje niegrzeczne pragnienia. Straszne, prawda? – Wskoczyła na grzbiet stworzenia, objęła za szyję i wtuliła głowę w łuski. Były przyjemnie chłodne, jak prawdziwe złoto. – *Skoro jednak tak ci zależy, zapraszam* – rozbłysło w myślach Pyriego.

Przez chwilę smok stał kompletnie zaskoczony. Naraz wybuchnął głośnym śmiechem i wzbił się ku niebu. Machał potężnymi skrzydłami, nie przestając chichotać. Dziewczyna na jego grzbiecie zaciskała ręce i nogi, żeby nie spaść. Czuł jej rozbawienie przez grubą skórę. Pozwoliła mu wejść w myśli, więc doświadczał też szczęścia. I zachwytu. Wypełniały umysł Likal, a przynajmniej tę jego część, do której dała Pyriemu dostęp.

Wznosił się jakiś czas, a potem wyrównał lot. Szybowali w ciszy, ponad wierzchołkami drzew, aż opuścili las. Pod nimi pojawiły się zabudowania, potem pola, aż dotarli nad brzeg jeziora. Pyri zniżył lot i ślizgał się tuż nad spokojnym lustrem wody. Zerknął na swoje odbicie, a potem, poruszając leniwie ogromnymi skrzydłami, zmącił nieruchomą taflę. Wczepiona w kark smoka Likal chichotała głośno w trakcie tej zabawy. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy. Pyri czuł ich miękki jedwab, gdy muskały

niewielki nieosłonięty łuskami odcinek smoczej szyi. Delikatne łaskotanie sprawiło, że smok zmrużył oczy. Naraz łagodny powiew zerwał z ramion dziewczyny chustę i, zarzuciwszy ją na nos Pyriego, podrażnił nozdrza. Smok kichnął. Drgnął przy tym gwałtownie, strącając młodą czarownicę ze swojego grzbietu, a ta wpadła, wciąż chichocząc, w odmęty i zniknęła pod powierzchnią.

– Likal! – Pyri zanurkował za nią, gdy właśnie się wynurzała. – Cholera, wystraszyłaś mnie!

– Trzeba nie smarkać bez potrzeby, o! – Zaśmiała się, ocierając twarz. – Takim kicholem mógłbyś pół lasu położyć.

– Jesteś cała?

– Nic mi nie... – Bulgocząca woda zagłuszyła dalszy ciąg. Wir, rosnący z każdą chwilą, spiętrzył spokojną dotychczas taflę i zakręcił uwięzioną w nim dziewczyną. Uniósł ją, by zaraz pociągnąć w dół, pod powierzchnię. I, nim smok zdołał zareagować, jezioro wygładziło się, a po młodej czarownicy nie pozostał ślad.

Kuc zwolnił i wreszcie stanął, strzygąc nerwowo uszami, a dosiadający go krasnolud, który od dłuższego czasu nie przestawał wiercić się w siodle, westchnął głośno. Pochylił się, by zachęcić zwierzę do dalszej drogi, a gdy to nie pomogło, zsiadł z konia i pociągnął go za uzdę.

– No chodźże, głupie bydlątko. Dyc wiem, że cuchnie czarnymi czarami. I mnie Tropiciel zre skórę od środka, a dupę tak strach zwarł, że nie wiem, jak gównu przecisnąć się zdoła. Ale jak trza, to trza, a pan Yasa rzecze, że trza. No, rusz kopytami, chłopie. Panna nasza po lesie się włóczy, a tam różności na takie pacholeta czyhać mogą. Jeszcze ją jaki ogr dopadnie i będziemy musieć ogrzątką chować. Z jedną podopieczną ledwie sobie radzim, a co dopiero jak nam się rozmnoży. Niepewny los takich mieszańców.

– Yudherthardere. – Yasa również zwolnił, odwrócił się do Sodiego i powiedział podejrzanie łagodnym tonem: – Przymknijcie się.

– Kiedy nie mogę. Zwierzak pobudliwy jakiś, a gadanie moje melodię ma takową, że się konik zara spokojniejszy robi. Patrzcie, już nawet idzie grzeczniuchno. Znać, że lubi, kiedy mówię.

Uniesiona lekko brew maga wyraźnie sugerowała brak wiary w stwierdzenie przyjaciela.

– I co się tak krzywicie? – kontynuował Sodi. – Wie bydlątko, co dobre, nie? A że wyczulony na moce, to i nerw ma. Się nie dziwcie. Cuchnie tu resztkami mroku, że Tropiciel kąsać nie przestaje. Pewnie nawet wy czujecie, co nie? Zupełnie jak wtedy,

kiedy nasza najmilejsza dziewczynka Bertho w popiół obróciła. Znać, że ta sama krew, nie?

– Tego nie wiemy.

– Tam, nie wiemy. Może i żeśmy pewni zrazu nie byli, ale teraz? I rzeknijcie mi, czego nie jedziem najpierw tego drugiego dzieciaka ratować, co to go bestyjka w lochach trzyma? Przecie wiecie, że trza, nie? Nie żeby się mnie paliło, oj nie. Ledwie se z Likal radzimy, a jak tamten, z tą jego smrodliwą potęgą przy Tropicielu stanie, galotów zmieniać nie nadążę. Wiem, bo żem poczuł. No, ale ratować gówniarza trza. W końcu Likalowy braciszek prawie jak rodzina, co nie? Ino się zdecydować nie mogę, który z nas za matulę, a który za tatka robić będzie. Chocia jak na młodą patrzę, to tak se myślę, że ona to nie rodziciela w was widzi.

– Yudherthardere...

– No co? Przecie wiem, jak mnie zwa, i wypominać nie musicie. Dziewczątka oczy za wami wypatruje, a wyście nie ślepi.

Yasa milczał, ale spał konia, przyspieszając. Sodi też ponownie dosiadł kuca, żeby nadążyć za magiem.

– No? To czego nie jedziem po młodziaka? Ino mnie tu oczu nie mydlcie, że się o pannę naszą lękacie. Likal by jednym bąkiem każdego, co ją tknąć by chciał, w perzynę obróciła. A i myślę, że zdjęcie czaru z lasu też nie jakiegoś przypadkowego czarodzieja dzieło, jeno nasze dzieciątko łapkę do tego przyłożyło. Mocarna z niej panna, da se radę. Jak od nas uciekła, znaczy miała ku temu powód, ot co. Tak się mnie widzi, że jakbyśmy jej braciszka przygarnęli, to i chętniej by wróciła, nie?

– Najpierw Likal.

– Taaa, już żeście mówili. Ino jej nic nie jest, a młodziakowi trochę tak.

Yasa spojrział na krasnoluda chłodno.

– Co żeście się tak uparli?

Sodi podrapał się po rudej głowie.

– On prosił – odpowiedział wreszcie, prawie szepcząc – bał się i cierpiał. No i...

– Tak?

– Wyglądał jak Likal – dokończył niechętnie. – Jak Likal w tamtej gospodzie, jakeśmy ją znaleźli. Chudy, wystraszony, z tymi wielkimi niebieskimi oczyskami. Jakby czas zawrócił.

Mag pokiwał głową ze zrozumieniem. W tej właśnie chwili las rozstał się i wjechali do wioski, a właściwie miejsca, które kiedyś ową wioską było. Na rozległej polanie pozostało kilka samotnych palenisk z kominami, pozbawionych ścian i dachów. Te znikły, jakby ktoś wybudował tylko piece, zapominając o domostwach wokół nich. Las z wolna zaczął odzyskiwać swoją własność i między paleniskami wyrosły młode

drzewka i krzewy, a mimo to kamienie budowli połyskiwały niczym świeżo wyczyszczone. Całość sprawiała nieco przerażające wrażenie, pogłębione jeszcze przez jedyny ocalały dom – wielobarwną chatę, jak z sennego marzenia łasucha, o ścianach z ciastek, a szybach z lukrecji.

– O kurwa – szepnął krasnolud, zaciskając palce na wodzach.

Yasa tylko zacisnął usta. Zsunął się z siodła i powoli podszedł do kolorowych drzwi. Ledwie położył dłoń na skoblu, a Tropiciel pod krasnoludzką skórą zawył przeraźliwie. Sodi krzyknął i, zgiąwszy się w siodle, przywarł do końskiego karku.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, a w progu stanęła Likal.

Sala tronowa w królewskim pałacu Zerderana była kamienistym placem otoczonym drzewami na niewielkiej wyspie pośród oceanu. Lubił tę drobną oznakę swojej dominacji nad wodami. Dawni syreni magowie stworzyli wyspę ze skał z samego dna mórz. Wypiętrzyli je zakłęciami, a potem w ten sam sposób wyczarowali każdy skrawek zieleni na magicznym lądzie. Nie znalazłby się nawet okruch w syrenim pałacu, który stworzyła natura. To też odpowiadało Zerderanowi. Wszystko, co go otaczało, miało być absolutnie doskonałe i nieosiągalne dla innych morskich stworzeń.

Mógł, rzecz jasna, przyjmować poddanych wśród fal. Mógł tam rozstrzygać spory, żyć wśród innych morskich stworzeń. Mógł, ale najzwyczajniej nie chciał. Lubił nie tylko chędożenie i piękne istoty. Lubił podkreślać swoją wyższość. Dlatego jego magiczny pałac podróżował wodami, niczym ogromny, wiecznie zielony statek, a sala tronowa unosiła się kilka stóp ponad taflą. Każdy morski byt, pragnąc spotkania z władcą wód, musiał najpierw zlokalizować wyspę, a potem patrzeć w górę i zebrać uwagi Zerderana.

Oczywiście najbliższa rodzina zawsze wiedziała, gdzie pałac akurat się znajduje.

Toteż potężny cień, który naraz zawisł nad Zerderanem i towarzyszącymi mu syrenami, bynajmniej nie zdziwił trytona. Za to wrzask wypełniający jego umysł i owszem.

– Zerderaaaan!!! – Niski, głęboki i pełen wściekłości zaśpiew najpierw pojawił się w myślach trytona, a dopiero potem rozbrzmiał poza nimi, słyszalny dla wszystkich obecnych. Złoty smok przemknął ponad wodami i opadł na kamienną posadzkę, tuż obok Zerderana. Olbrzymie szczęki kłapnęły dwa razy, rozszerzone nozdrza zadrgały gwałtownie, a wściekły Pyri popchnął kuzyna. Tryton ledwie utrzymał równowagę. Zaniepokojony odsunął się o krok.

– Co się stało, kuzynie? – zapytał. Zwykle lubił celebrować powitanie, zwłaszcza mając widzów, ale gniew smoka kompletnie go zaskoczył.

– Oddaj mi ją! – Pyri zrobił kolejny krok i znów popchnął trytona.

– Kogo?

– Likal! Oddaj mi Likal! Tylko mi tu nie łżyj, że jej nie masz!

– Obrażasz mnie, mój drogi. – Zerderan błyskawicznie odzyskiwał rezon. – Przybywasz do mojego domu, nie zmieniasz formy, chociaż dobry obyczaj nakazuje, byś to zrobił, a na dodatek obrażasz mnie przy mojej... naszej rodzinie, w moim domu.

Głuche warknięcie było jedyną odpowiedzią.

– Och, jasne, że ją mam. – Tryton wzruszył ramionami. Minał kuzyna i rozsiadł się wygodnie na wyściełanym atlasami tronie. Uśmiechał się przy tym, chociaż wiedział, że irytuje Pyriego. Smok wciąż pozostawał w magicznej formie, powarkując z cicha. – Acz faktycznie, kogoś innego spodziewałem się zobaczyć zebrzącego o jej uwolnienie.

– Nie zamierzam zebrać! Oddasz mi ją albo pokrewieństwo nie będzie miało znaczenia – zimno przerwał mu smok.

– Wiesz, kim ona jest? – zapytał cicho Zerderan.

– Wiem, ile potrzebuję wiedzieć. Dziewczyna jest moja i masz ją zwrócić.

– Nie jest twoja. Należy do Pierwotnego.

Pyri zacisnął szczęki.

– Nie wyglądasz na zdziwionego. – Tryton zmarszczył brwi. – Wiesz o Yasie, a i tak chcesz dziewczynę.

– Nie twoja rzecz. Oddaj mi ją.

– Moja rzecz. – Morski pan wstał. Rozejrzał się, a potem machnął ręką, przywołując młodzieńca stojącego między drzewami. Wysoki, urodziwy chłopak niezwykle przypominał Zerderana. Pachniał jednak, co Pyri skonstatował z zaskoczeniem, kiedy młodzian podszedł bliżej, zupełnie inaczej. Pachniał jak człowiek. – Moja rzecz to ten tu. Znalazłem go niedawno i jest mój. Chcę, żeby śpiewał, żeby pływał. Żeby był wodnym synem.

– To szkoda, że dzieciak odziedziczył krew po matce – sarknął smok. – Co dziewczynie do tego?

– Jej nic. Jest potężna, ale chyba nie aż tak. Za to Pierwotny... – Syreni władca usiadł ponownie, wskazując synowi miejsce u swoich stóp. Kiedy chłopak usiadł, Zerderan uśmiechnął się, odruchowo poklepał młodzieńca po głowie i kontynuował, nie patrząc na kuzyna. – Zdaje się, że zimnokrwisty Yasa ma do mojego... gościa niezwykle słabość. Zechce odzyskać dziewczynę. A ja mu ją oddam, jeśli spełni moje życzenie.

Pyri cofnął się lekko, zrozumiawszy zamysł kuzyna.

– Oszalałeś? – zapytał powoli i bardzo cicho. – Chcesz stawiać żądania Pierwotnemu?

Zerderan skinął głową. Smok w jednej chwili zmienił formę. Mężczyzna podszedł do trytona i pochylił się ku niemu.

– Żebyś mi nie marudził, że podważam twój autorytet – szeptał. – Zapytam grzecznie: zdurniałeś na stare lata, kuzynie? To nie jakaś cichodajka śliniąca się na twój widok. To Pierwotny! Cmoknie, a nawet wspomnienie kijanki po tobie nie zostanie.

– Nic mi nie robi, póki mam małą.

– Po pierwsze – Pyri nadal szeptał – nie masz. Oddasz mi ją, nim doliczę do setki. Po drugie: Pierwotny Mag nie zmieni natury nawet dla podopiecznej. Nie stanie przeciw Zakonowi i odwiecznym prawom. Każdy to wie.

Zerderan uśmiechał się, słuchając.

– Dla podopiecznej zapewne nie, ale dla tej małej czarownicy...

– Uważaj! – warknął Pyri.

– Widzisz?! – Tryton zachichotał. – Jesteśmy rodziną, a gotoweś urwać mi łeb dla tej panienki. Tym bardziej Yasa. Widziałem, jak na nią patrzy. Też myśli, że mała należy do niego. Zrobi dla niej wszystko. – Pogłaskał syna. – Wyczaruje mi prawdziwego syrena.

Smok patrzył z niedowierzaniem. Przeczesał nerwowo włosy, a potem odsunął się.

– Cholera, Zerd – westchnął – ona uratowała mi życie. Nie każ mi wybierać.

– Przykro mi. Naprawdę. – Zerderan spowaźniał. – Ale potrzebuję syrena. Ty nie chcesz mi go dać, a żadna z moich kobiet nie urodziła syna z darem. Wodne królestwo potrzebuje królewicza. Nie patrz tak na mnie. Nie oddam ci dziewczyny. Nie wystraszysz mnie. Obaj wiemy, że nawet gdybyś potrafił mnie skrzywdzić, beze mnie nie znajdziesz tej swojej Likal na mojej wyspie.

– Cholera, Zerd – powtórzył Pyri. Usiadł ciężko, świadomy, że kuzyn ma rację. – Nie mogę odejść bez niej.

– A kto ci każe odchodzić? Możesz poczekać z nami na przybycie wielmożnego maga. Przydasz się, gdyby Yasa zechciał... uchybić naszej gościnie.

Smok skrzywił się nieznacznie.

– Ładnie powiedziane. Lepiej niż zmienił w pomarszczone jaja starego osła, nie? Wiesz, co zrobi z tobą Pierwotny, kiedy już odzyska Likal?

– Mam nadzieję, że podziękuje. – Wzruszył ramionami Zerderan.

– Na pewno jesteśmy rodziną? Myślałem, że nie mam idiotów wśród krewnych. – Pokręcił głową Pyri.

– Jak to nie? A moja najstarsza, niech wodni bogowie jej wybaczą, córcia? – zapytał tryton, patrząc na nadchodzącą młodszą latorośl. Kuzyn wodnego władcy również spojrział w jej kierunku i aż westchnął.

Titr poruszała się, jak na syrenę przystało. Kołysała łagodnie biodrami i, stąpając na palcach, niemal płynęła pomiędzy źdźbłami traw. Chylące się ku zachodowi słońce łagodnie muskało nagą skórę i niczym w lustrze odbijało się w rudych kędziorach będących jedyną osłoną piękności.

Zerderan pokręcił głową.

– A i to głupie jak ta starsza. Tyle razy próbowała ode mnie uciec, że musiałem zakląć wyspę.

– I zamknąć mnie w tym piekle nudy – warknęła syrena. Usiadła obok Pyriego, roztaczając wokół siebie intensywny różany aromat. Zapach podziałał na młodzieńca jak afrodyzjak. Podniecił go i pociągnął na granicę zdrowego rozsądku. Pyri wgapił się półprzytomnie w duże błękitne oczy wodnej panny i póki dziewczyna podtrzymywała kontakt wzrokowy, smok potrafił tylko pragnąć. Wreszcie Titr opuściła rzęsy, uwalniając mężczyznę spod władzy zaklęcia. Pyri zamrugał gwałtownie, a potem warknął cicho. Syrenka zachichotała. – To, drogi kuzynie, moc wyspy. Podobało się?

– Nie – odpowiedział, wstając gwałtownie. Na wszelki wypadek jednak nie patrzył na dziewczynę.

– Naprawdę? To może jeszcze raz? – zapytała przymilnie.

– Wystarczy, Titr – wtrącił się Zerderan. – Pyri będzie naszym gościem przez jakiś czas. Zależy nam, żeby nie uciekł, więc się wstrzymuj. Zwłaszcza że dotrzymasz mu dzisiaj towarzystwa.

– Wolałbym rozjuszonego niedźwiedzia – wymamrotał smok.

– Nie mamy niedźwiedzi na wyspie – tryton uśmiechnął się nieznacznie – a Titr obieca być grzeczna, prawda? – Wskoczył na podest wiszący nad spokojną taflą morza.

– Gdyby ci zaś przyszło do głowy, że zdołasz użyć smoczej magii, drogi krewniaku, przypominam raz jeszcze: nie tutaj. – Odbił się wysoko i z lekkością okręcił w górze. Żłocisty ogon feerią światła rozbłysnął ponad falami, a gdy Zerderan gładko zagłębił się w toń, przez jakiś czas blask rozświetlał wodę.

Titro patrzyła przez chwilę w ślad za ojcem. Nieobecny uśmieszek błędził po ślicznych ustach. Wreszcie przeniosła spojrzenie na kuzyna. Nieopatrznie i Pyri w tym momencie spojrział na dziewczynę. Wystraszony spróbował uciec spojrzeniem. Syrenka westchnęła. Ruchem dłoni kazała odejść obecnym. Wszyscy, nawet młodzieniec, którego wodny władca chciał uczynić swoim następcą, usłuchali.

– Nie przesadzasz? – zapytała, widząc nerwowość Pyriego.

– Cholera wie, czego chcesz – odwarknęła, a kiedy tylko opuściła powieki, błyskawicznie zmienił formę. Wbił smocze ślepie w oblicze panny, szepcząc w umyśle zaklęcia.

Titr roześmiała się zimno.

– Tak szybko? Przecież tatko ci mówił. – Przekręciła głowę. – Daruj sobie, nie zdołasz użyć uroku. – Zrobiła krok w stronę stworzenia. – Piękny jesteś, smoku z Itru – wyszeptła, kładąc dłoń na łuskowatej skórze Pyriego. – Przepiękny.

– Czego ty chcesz, Titr?

– Ciebie.

– Pochlebiasz mi – skrzywił się – ale jakoś trudno mi uwierzyć w to nagłe uczucie.

Dziewczyna westchnęła i zrobiła krok do tyłu.

– A kto mówi o uczuciach, drogi kuzynie? Chcę ciebie, nie twojej miłości.

– Słuchaj, to miłe, ale tłumaczyłem twojemu ojcu, że nie ożenię się z syreną.

Zachichotała.

– Na bogów! A kto mówi o małżeństwie? Jestem młoda i piękna, nie zamierzam wiązać się... a tym bardziej z gadem! Oszalałeś?

Zamrugął zaskoczony.

– Więc...?

– Mój uparty ojciec zmusił mnie, żebym tu została, i szuka mi odpowiedniego narzeczonego, ojca jego przyszyłych syrenów. Głupiec! Ale potężny i uparty głupiec! Jeśli mu dam wnuka, chłopca z wodną iskrą, może da mi spokój.

– Chcesz...?

– Och, co cię tak dziwi? Jakoś przetrzymam ten błogosławiony stan, urodzę gówniarza i będę wolna! – Zaciskała pięści, mówiąc coraz głośniej. Chodziła tam i z powrotem, przyspieszając, aż nagle się zatrzymała. Zmrużyła powieki i wygięła usta w uśmiechu. – Jesteś piękny, Pyri. Ponoć smoki są najlepszymi kochankami. Szybkie pokładziny i spełnimy jednocześnie trzy życzenia: ojciec dostanie swojego syrena, ja wolność...

– A ja?

– A tobie oddam tę małą czarownicę, co to ojciec ją trzyma – dokończyła ze sztucznym rozbawieniem. – No co? Oboje wiemy, że plan ojca jest szalony. Pierwotny urwie mu łeb, a z nas zrobi rybnie przekąski. Widziałam kiedyś wściekłego maga. Pół miasta rozniósł w perzynę, a był tylko poślednim czarodziejem. Nie chcę tego próbować. – Zamilkła na chwilę. Potem podniosła głowę, powolnym ruchem odrzuciła włosy na plecy, odsłaniając krągłości, i zapytała: – To jak będzie, Pyri? Trzy życzenia za odrobinę przyjemności?

Z trudem zbierał myśli, kuszony doskonałością ciała. Trochę czasu już minęło, a uroda córki Zerderana zaprawdę pozbawiała tchu.

No i odzyska Likal.

– Nie wiem, Titr – odchrząknął i z trudem spojrzał dziewczynie w oczy. – A jeśli...?

– Wszystko obliczyłam. Teraz jest odpowiedni czas. Z takich pokładzin zawsze rodzą się trytony... Wiesz przecież – odpowiedziała szybko.

– Ale... Zerd nie będzie zadowolony... – Tak, myśl, Pyri, myśl, powtarzał sobie, cofając się lekko. Coś w tym układzie, prostym i przecież przyjemnym, coś go bardzo niepokoiło.

Prychnęła wściekle.

– Mężczyźni! Jak raz chciałam być uczciwa! – A potem zajrzała w głąb zielonych tęczówek. Aromat róż zintensywniał, nie pozwalając Pyriemu skupić myśli. W jednej chwili smok ponownie stał na dwóch nogach, a absolutnie uległy mężczyzna poddał się urokowi syreny.

Tropiciel pod skórą krasnoluda drapał, szarpał i wył żałośnie. Wtulony w siodło Sodi przeklinał cicho, próbując utrzymać alter ego w karbach. Zaciskał przy tym palce na wodzach tak mocno, że gdyby nie grube rękawice, które zwykł ostatnio nosić, pewnie rzemienie poprzecinałyby mu skórę.

– Kurwa jego mać, weźcie, cholera, coś zróbcie! – wycharczał wreszcie głośno, z trudem unosząc rudą łepetynę znad końskiego karku.

Głuchy na jego błaganie Yasa wpatrywał się w wiotką postać Likal kołyszącą się u drzwi piernikowej chaty.

– Panie Yasa! – ponowił Sodi, bo Tropiciel prawie wyrwał się spod jego władzy.

Mag, acz niechętnie, odwrócił się i zmrużył oczy. Ochronne zaklęcie błyskawicznie uśpiło stworzenie.

– Tia... jakbym, kurwa, miał takie długie nożyśka, prędzej byście zwrócili na mnie uwagę. – Krasnolud otarł nos i z trudem wyprostował się w siodle. – Może pogadam z gówniarą, coby mi też cycki wyczarowała, żeby jaśnie, kurwa, wielmożny czarodziej szybciej nieco na moje troski patrzył. Nadobna by ze mnie była dziewczyna.

Pierwotny zignorował marudzenie przyjaciela.

– I niech mnie parchaty osieł trąca, co to za sztuczka tam, o? Żem najpierw myślał, że nasza panna, ale od niej to mi jajec urwać nie próbuje. Zaklęcie znać jakoweś. I to mocne, a nieznanne. Nie uczyli mnie w Radzie o takowym. E, panie Yasa! Ście są tu jeszcze?

Czarodziej przytaknął. Zrobił krok w kierunku dziewczyny, a wtedy zjawa przy drzwiach zadrzała. Łagodny blask przemknął przez postać Likal, mieniając się odcieniami złota i srebra.

– Witajcie, panie Yaso – powiedziała, nie patrząc na stojącego przed nią mężczyznę, ale jakby przez niego. – Wybaczcie mi. Nie powinnam uciekać. Nie powinnam...

Tęsknię za wami i za panem Sodim, ale czas, żebym pobyła sama. Czas ku temu. Nie szukajcie mnie, bo nic mi nie będzie. Wkrótce się zobaczymy. Już niedługo, panie Yaso, w Itru. Mam przewodnika, on mnie zaprowadzi.

– Tiaa... jakeśmy ją chcieli w Dolinie, u królowki zostawić, gdzie by ją frykasami paśli i w lektykach nosili, to się zbiesiła, że żyć bez nas nie może – mamrotał Sodi, zsuwając się z siodła. – A teraz się tyłkiem wypina i z innym lezie. I weź tu nadąż za babami. – Stanął obok Yasy. Przez chwilę milczeli, wpatrzeni w wizję Likal.

– Nie gniewajcie się – dokończyła dziewczyna. – Czas na mnie.

Znikła nagle. Nie jaśniała, nie ciemniała, po prostu znikła. A ledwie zakłęcie zgasło, piernikowa chata zaczęła się rozpadać. Najpierw odpadł marcepanowy dach, potem wypadły cukrowe okna, a na końcu piernikowe ściany rozsypały się w szary pył.

I nim Sodi zdołał wyszeptać kolejne przekleństwo, na polanie nie pozostał żaden ślad magicznego domostwa.

IV

Pi kna

Za dnia kamienne zabudowania dworu bestii wydawały się bardziej przygnębiające niż nocą. Rozpadająca się szopa i rozbita studnia z połamanym żurawiem dopełniały smutnego widoku. Sodi rozejrzał się niepewnie.

– Wiecie, panie Yasa – wymamrotał – żem myślał, że jak już magia stąd poszła, to się jakoweś różane ogrody wezmą i porozrastają, a tęczowe kwiatuszki ścielić będą się pod naszymi stopami niczym bahryjskie dywany w syrellskich zamtuzach. Tak się mnie i roilo, że, wiecie, kwietnie będzie, jak w jakich galeryjach i nawet z wychodka pachnidłami będzie zajeżdżało. A tu jak głównem capio, tak capi.

Mag zsunął się z siodła, a widząc, że krasnolud nie idzie w jego ślady, spojrzął na przyjaciela pytająco.

– Zamierzacie konno podziemia zwiedzać? – zapytał łagodnie.

– Tam zaraz podziemia – wzruszył ramionami Sodi, ale posłusznie zeskoczył z końskiego grzbietu. – Jeden mały loszek, chocia głęboko. O, tu, zaraz, pod głównym budynkiem. Zejdziecie se po wążiutkich schodkach, prościuteńko w dół. Co będziemy razem się pchali, ciasno tam i tylko bym wam powietrze psuł. Co nie?

Yasa nie odpowiedział, tylko uniósł brew.

– Znaczy jednak mam iść – westchnął krasnolud. Podszedł niechętnie do ukrytego przejścia, którego obraz Tropiciel przechował we wspólnej pamięci. Zmiotł stopą drobne kamyki zasłaniające metalową płytę i, szarpnawszy, otworzył. Zerknął w dół i powiedział: – Się weźcie jeszcze i zastanówcie. Będę laźł i narzekał. Na pewno nie wolicie sami? Po cichutku? Ciemno tu jak w ośle dupie, a i ciasno jak w owej. Nie żebym cna sempiternę zwiedzał. Ja tam niby wiem, że krasnoludowi ciemność nie dziwna, ale przecie nie musi zaraz w podskokach się w nią pchać, nie?

Mag uśmiechnął się leciuteńko, chociaż jakoś nie było mu do śmiechu.

– Zdawało mi się, żeście ponaglali, Yudherthardere.

Krasnolud fuknął wściekle i zszedł w ciemność. Przez chwilę schody oświetlał blask od wejścia, zaraz jednak skrzyły, by potem raptownie opaść, i droga pograżyła się w kompletnym mroku. Yudherthardere schodził pewnie, mamrocząc pod nosem. Uśmiechnął się dopiero wtedy, gdy idący za nim Yasa potknął się po raz drugi. A był to wyjątkowo nieładny, złośliwy uśmieszek.

– Pomóc wam, panie Yasa? – zapytał słodko, odwracając się. Niestety, nie zauważył przeszkody i sam stracił równowagę.

– Nie trzeba – odpowiedział mag, chwytając za kołnierz przyjaciela, by nie spadł. Zaraz potem wypowiedział szybkie zaklęcie i dziesiątki płomyków rozjaśniło mrok.

Schody się skończyły. Za nimi, w małej wnęce, ciasnej i wilgotnej, na ścianie wisały puste kajdany. Większy kawałek podłogi w maleńkim pomieszczeniu zajmowało leżące częściowo na ostatnim stopniu, twarzą w dół, ciało. To o nie potknął się krasnolud.

Sodi zaklął głośno. Przykucnął i, nie bez trudu, odwrócił trupa.

– Zdaje się, panie Yasa, że wasza księżniczka zabezpieczyła sobie prawo do tronu. – Zmasakrowane oblicze Beli zastygło w przerażającym grymasie ni to strachu, ni wściekłości. Nawet umierając, kobieta pozostała niepokorna. Wybałuszone oko gniewnie patrzyło w niebyt, jakby wciąż gotowe walczyć. Sodi ponownie odwrócił ciało i wstał. – No, nie była to najśłodsza panna w okolicy, ale żeby od razu aż tak? I to siostra... Ech, panie Yasa, czasem se myślę, że nam, borokom, bez rodziny tak całkiem źle nie jest, nie?

Mag przekroczył leżącą i, kucnąwszy, sięgnął do kajdan. Przeciągnął palcem po krawędzi i lekko nacisnął. Maleńka kropla krwi skapnęła na podłogę.

– Ciasno tu – cicho powiedział Sodi, kucając obok przyjaciela. – I ciemno, i mokro. Nie dziw, że dzieciak tak się bał. – Zobaczył chłód w spojrzeniu Yasy i wyprostował się. – Młodego pewnie ma wasza panna, co nie? To teraz do niej?

Mag potaknął bez słowa i ruszył ku wyjściu. Krasnolud bezskutecznie próbował nadążyć za nim. Wspomnienie chłodu w spojrzeniu maga powstrzymało go jednak od komentarzy. Przeskakiwał po dwa stopnie, nawet nie jęknąwszy. Yasa czekał przy wyjściu i podał dłoń przyjacielowi, pomagając mu się wydostać.

W milczeniu dosiedli koni. Dopiero wtedy Sodi odważył się odezwać:

– Bo wiecie, to sucz była i w ogóle... ale głupio tak jakoś jak bydłatko padłe zostawić, żeby zgniła.

Przez chwilę myślał, że Yasa nie słyszy, nieobecny jak zwykle, ale wreszcie mag spojrzął na niego.

– Zaboli – powiedział tylko.

Jaskrawy, biały płomień spadł z hukiem pomiędzy kamienie. Z wyciem przedarł się przez budynek, spopielając go w jednej chwili, a potem, nie przestając płonąć na powierzchni, wpadł w podziemia. Ogień, sycząc i trzaskając, trawił zabudowania bestii. Wysoki, potężny i... lodowaty. A potem jak szybko się pojawił, tak szybko zgasł.

– No, kurwa, zabolalo – wysapał krasnolud, prostując się powolutku w siodle kuca.

Potężny czarny kopiec popiołu właśnie twardniał w miejscu kamiennych zabudowań.

Kiedy wchodziła do ogromnej kryształowej wanny wbudowanej w podłogę łaźni, płatki róż miękko otulały jej skórę, by po chwili powrócić na mieniącą się światłami tafłę wody. Iriana zanurzyła się po ramiona i odesłała łaźiebne lekkim ruchem dłoni. Kilka świeżych ran, zadanych przez Belę, zapiekło w zetknięciu z kąpielą. Księżniczka zacisnęła zęby w oczekiwaniu na ulgę. Syrenia magia zawsze działała, ale nigdy szybko. Kobieta oparła głowę o brzeg wanny i odetchnęła powoli. Przyjemność łagodziła napięcie i koła nerwy. Kwiaty pachniały oszałamiająco, a setki świec, iskrząc, odbijało się na powierzchni. Ból powoli ustępował senności... Iriana zamknęła oczy. Była już blisko tej słodkiej granicy zapomnienia, gdzie marzenia łączą się z rzeczywistością, gdy woda wokół jej stóp zawirowała, a ciszę przerwała seria plusków. Do łagodnej pieśczości kąpieli dołączyły męskie palce, mocne i twarde, sunące po łydce, a potem udzie księżniczki. W ślad za palcami ruszyły usta, wytrawne pocałunki pełnych warg, lekko drapiącej brody, i wreszcie język... Oddech kobiety przyspieszył, dłonie zacisnęły się na brzegach wanny, a biodra uniosły, wychodząc na spotkanie rozkoszy.

Doszła z cichym jękiem i dopiero wtedy uniosła powieki. Trochę trwało, nim wyrównała oddech i mogła przywitać gościa:

– Jak zwykle miło cię widzieć, Zerderanie.

Tryton odsunął się nieco, leniwie poruszając ogonem.

– Chciałaś się ze mną widzieć. Chyba nie tylko po to, prawda?

– Nie, ale to też jest miłutkie. Jak tam mój synek? Ma już łuski?

– Nie. Będziesz mi wmawiać, że tęsknisz?

Śmiech kobiety odbił się od ścian łaźni.

– Żartowniś. Zachowałam dzieciaka tylko dlatego, że mógł mi się przydać.

– Zamieniliśmy się, maleńka – wyszeptał Zerderan, wsuwając dłoń między uda kochanki. – Oddałem ci magika, więc dzieciak jest mój.

– Jest. – Odsunęła rękę mężczyzny. – Możesz z nim zrobić, co chcesz. Ale potrzebuję twojej pomocy. – Wstała, żeby mógł się na nią napatrzyć, i usiadła na brzegu wanny. – Twój magik się zbiesił.

– Tak?

– Moja nieodżałowana siostra zabrała mi go na jakiś czas. I teraz chłopak nie chce mnie słuchać.

Zerderan uśmiechnął się krzywo. Usiadł obok Iriany, a potem wyciągnął ogon z wody. Strzepnął ostatnie krople, a gdy łuski opadły, wstał. Przez chwilę kontemplował urodę kobiety. Przez to niesamowite ciało stracił przed laty możliwość ożenku z nieco brzydszą, ale spowinowaconą ze smokami starszą księżniczką. Tamta dałaby mu

chłopców z syrenią iskrą, to pewne. Widział to w złotych oczach Beli, czuł, kiedy dotykał dziewczyny. Miała smoczą moc... Szkoda, że się przebłagać nie pozwoliła albo że Iriana nie poczekała z rozkładaniem nóg do ożenku siostry. Miałby teraz i synów, i najlepsze w świecie pokładziny. Eeeech, żal. Uśmiechnął się smutno. Nie miał jednak w charakterze rozpamiętywania swoich błędów, więc i nad tym dość szybko przestał dumać.

– Małeńka – jednym ruchem poderwał kobietę na nogi i przyciągnął do siebie – to już twój problem. – Podniósł ją lekko, a kiedy objęła go udami, wszedł w nią z westchnieniem. – Ale jeśli będziesz grzeczna, pomogę ci go rozwiązać. Ty w zamian za to przekażesz ode mnie pozdrowienia...

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Yasa z Sodim minęli bramy księstwka Iriany. Krasnolud, któremu zaczynało brakować towarzystwa Likal – acz nigdy, i bez względu na zagrożenie, by się do tego nie przyznał – całą drogę był niezwykle milczący. Poklepywał tylko kark swojego kuca i wzdychał, ale jakoś tak cichuteńko i żałośnie. Dopiero gdy wjechali na brukowaną uliczkę, Sodi jakby się obudził.

– I o to tyle wojny? – zapytał, rozglądając się wokoło. – Toż to Kozi Bobek na końcu Kudłatego Zadka. Jakby się bida z nyndzą w chędożeniu zapomniały i miasto całe martwym potomstwem zaludniły. I z tego powodu się siostrzyczki za łby wzięły?

Rzeczywiście, miasteczko nie grzeszyło urodą, a odrapane kamieniczki, zatrzaśnięte okiennice i kompletna pustka na ulicy sprawiały wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Stukot podków ogiera Yasy i krasnoludzkiego kuca stanowiły jedyny dźwięk w okolicy.

– Jakem ostatnio na grzebalnik, pod Syrelle pobłądził, to żywsze tam było towarzystwo. – Sodi zniżył głos, bo jakoś mu tak dziwnie nieswojo się zrobiło. – Aby na pewnośmy dobrze trafili? Babka mnie kiedyś bajała o mieście przodków, gdzie wszyscy, co się za życia... nie za dobrze sprawiali, po śmierci trafić muszą. Może to tu? By nawet pasowało do charakterków obu panien zarządzających. Tylko to tłumaczyłoby, że się o taki kawał koziego bobka pozabijać próbowały.

– Może poszło im o coś innego. – Mag wzruszył ramionami.

– Ano może. Jak już wasza księżniczka was ugości, to może, tak między jedną a drugą pochędózką, byście i zapytali? Ja to w sumie bym chciał wiedzieć, co tak Beli gębę przefasonowało, a urodziwszej siostrzyczce kazało zarznąć jedyną rodzinę. Może kiedy, w niejkiej przyszłości, zechcę fach zmienić i pieśniami na życie zarabiać, to już jedną bym miał gotową. No co? Nie wierzycie, że mógłbym? Głos mi bogowie dali jako ten skarb...

– I jako ten skarb niech ukryty pozostanie – dokończył chłodno Yasa. – Jeszcze się po ostatnim bardzo nie otrząsałem.

– Ano, co racja, to racja, miał chłopina porażający talent. – Sodi wykrzywił usta w namiastce uśmiechu.

Pierwotny również uśmiechnął się leciuteńko.

– Zapewne wrócił na dwór z księżniczką. Poprosicie, a na pewno dla was zaśpiewa.

– Tiaaa... O niczym innym nie marzę. To jak? Tam napisane, że gospoda. – Wskazał szyld na końcu ulicy. – Trza by się wyszykować przed wizytą na dworze, nie? Yasa potaknął w milczeniu.

Przywiązali konie przed budynkiem i zastukali w bramę. Odpowiedziała im cisza.

– Gościnność w tym mieście dorównuje jego urodzie – fuknął Sodi i pchnął odrzwia. – Bywaj tu!

Przez chwilę nic się nie działo, a potem z zaplecza wyszedł chudy mężczyzna w kusym kolorowym fartuchu. Zaskoczony zatrzymał się w progu. Oceniał ubiór gości i, wytarłszy ręce w brzeg odzienia, szybciutko do nich podszedł.

– Wybaczcie, panowie – ukłonił się grzecznie – ale nie nawyklim do przyjezdnych, a na naszych jeszcze za wcześnie.

– Nie nawykliście? – zdziwił się Sodi. – A zech myślał, że to gospoda?

– Będzie trzy zimy, jak dobry nasz pan odszedł do przodków, a na trakcie zamieszkała Bestia. – Karczmarz przetarł stół i wskazał gościom ławę. – Ludzie się boją, to i omijają nasze siedlisko. Kiedyś niczego nam nie brakowało, a pana naszego odwiedzali najzamożniejsi z Krainy. A potem... – zamilkł na chwilę, czekając, aż goście usiądą – ech, ja tu opowieściami was, szlachetni panowie, karmić poczynam, a wyście pewnikiem utrudzeni i głodni. Już do kuchni biegnę, misy przyniosę. Na bajania jeszcze czas będzie.

– Patrzcie, panie Yasa – z podziwem zauważył krasnolud, kiedy gospodarz zniknął za kotarą oddzielającą izbę od zaplecza – jaki mądry człek. Inny prawilby, aż śpiew naszych kiszek ściągnąłby do miasta jelenie z okolicznych kniei. A tu taki pocziwina, o jadło się najpierw troska. I dobrze, bo się mnie fletnie w bebechach ozwały i ino patrzeć, a żaby w bagniskach zdechłyby z zazdrości, że ze mnie artysta od nich przedniejszy. – Rozsiadł się wygodnie, oparł o ścianę i rozejrzał wokoło. – A się chłopina ucieszy, jak mu rzekniem, że Bestia ziemię gryzie. Znać, że bida aże piszczy w mieście. W innych gospodach już by się goście miodem poili. Przecie wieczór prawie. Pamiętacie karcznię, co się gówniara w niej z kuchcikiem poprzytykała? Tam o tej porze to i chudzinie nie szło miejsca na ławie znaleźć. A w tej gospodzie, jakbym gęby nie rozwarł, toby szczury, co się miłowaniem tam pod ławą zajmują, słychać jeno

było. I już się tak nie krzywcie, dyc' wiem, że cisza wam szkodzi, a melodia głosu mojego nerwy koi.

Yasa uśmiechnął się na swój sposób. Tajemnicą pozostanie, czy chciał skomentować słowa Sodiego, bo właśnie wtedy drzwi gospody otworzyły się gwałtownie. Trzech młodych i najwyraźniej niezbyt zamożnych mężczyzn zatrzymało się w progu. Przepychali się w nim przez chwilę, nie odrywając wzroku od gości siedzących wewnątrz. Wielokrotnie łatanie kurtki i przetarte na kolanach spodnie młodzieńców bardziej pasowały do prostoty lokalu niż strojne odzienie maga i krasnoluda.

– Czego stoicie? – Potężny starzec rozepchnął chłopców i wszedł do gospody. Nie wydawał się zaskoczony. Przeciwnie, bez wahania podszedł do Sodiego i Yasy. – Witajcie, panowie. Możemy się przysiąść? – Nie czekając na zgodę, opadł na ławę naprzeciwko maga. – Wybaczcie bezceremonialność, ale wielka to rzecz przyjezdnych gości. Na zeszłą wiosnę ostatnio komuś udało się Bestii ująć w drodze do nas, a i to strasznie poraniony w bramy nasze wstąpił. Jeden z całej karawany. – Odwrócił się do młodzieńców. – No, czego stoicie? Ruszyć się tu, a chyżo!

Usłuchali. Ostatni chciał zamknąć za sobą drzwi, ale nie zdołał, bo w wejściu stali już następni goście. W kilka chwil gospoda wypełniła się po brzegi. Kilku mężczyzn, najwyraźniej możniejszych, usiadło obok potężnego starca, a pozostali tłoczyli się wokół stołu, szepcząc i wciskając jeden przed drugiego.

Starzec uniósł dłoń, a głosy wokoło ucichły.

– Zwą mnie Truenko – przedstawił się. – Przewodniczę radzie miasta. Jakem już wspomniał, nie mieliśmy gości dawno, to i nie dziw, że pół miasta się zleciało, coby na was popatrzeć.

– Taaa, znaczy gospodarz z ciepłą dupką do was polecał, a nie jadło nam gotować. – Sodi westchnął nieco rozczarowany. – A takie żem już nadzieje miał, cholera. Będziem jednak konkurować z żabami, nie?

Burmistrz zamrugał, a potem zmarszczył brwi. Kiedy jednak w głębokim zamyśleniu kontemplował, cóż może znaczyć stwierdzenie krasnoluda, z zaplecza wyszedł gospodarz wraz z dwoma kuchcikami, niosąc wielkie misy jedzenia. Yudherthardere uśmiechnął się szeroko, strasząc przy tym co młodszych obywateli zgromadzonych w gospodzie. Nim jeszcze ustawiono naczynia na stole, krasnoludzka łapa wyciągnęła z nich największy kawałek pieczystego.

– No – rzekł Sodi między jednym a drugim kęsem – se nie przeszkadzajcie. Lubię pogwarzyć przy posiłku. Na towarzysza mojego nie macie co liczyć, on do gadatliwych nie należy, ale ja... No, toście burmistrz zacnego miasteczka, a tam – wskazał pozostałych obecnych – zapewne kwiat jego młodzieży. Wielcem zaszczyt. Mnie zwą Sodi, a mój gładkolicy przyjaciel to pan Yasa. No, tośmy już prawie znajomki. –

Sięgnął po kolejny kawałek mięsa. – Rzeknę wam, przednie pieczyste. Ino tak trochę wina albo miodu jakbyście... – przerwał, bo właśnie jeden z kuchcików postawił przed nim dzban i pucharek. – No, cudna gospoda, nie ma co. W myślach człekowi czytają. Czegośmy to, panie Yasa, wcześniej do nich nie zajrzeli, ha?

Mag tylko uniósł brew w milczeniu.

– No tak, żem zapomniał – kontynuował Sodi. – To o coście chcieli, panowie, zapytać?

Burmistrz, którego najwyraźniej rzadko był w stanie ktoś zagadać, gapił się z rozwartymi ustami na krasnoluda, jakby nie dowierzając, że ten wreszcie zamilkł. Minęły ze trzy mrugnięcia okiem i jedno zachęcające chrząknięcie Sodiego, nim starzec zabrał głos:

– Bośmy – odchrząknął lekko – wielce ciekawi, jakeście zdołali Bestię ominąć, że w nienaruszonym stanie zawitaliście w nasze progi.

– Jak?! Którędy?! – rozległy się krzyki.

– Cichajta! – wrzasnął chudy rudzielec nie pierwszej młodości, siedzący po prawicy burmistrza. – Dajcie człekowi odpowiedzieć!

Człek przełknął kolejny kęs, oblizał paluchy, popuścił pasa i dopiero, gdy zapadła zupełna cisza, odpowiedział:

– Nijak żeśmy jej nie omijali. Wpadlim my nawet na krótką gościnę. Nie równać się jej, co prawda, z waszą, zwłaszcza że u bestyjki to raczej nam przypadało jadłem zostać...

– Co?!!! Jak?! Jakeście uciekli? Widzieliście ją?! – przekrzykiwali się zgromadzeni. – Mówcie! Mówcie!

Sodi, jako że bardzo mu się podobało tak gwałtowne zainteresowanie tłumu, uśmiechnął się szeroko.

– No dyć, żeśmy widzieli, a co mielim nie widzieć. Jak się w gościnę przez samą gospodynię zaproszonym tak wdzięcznie zostaje, nie można owej uroczej gospodyni nie obejrzyć, co nie, panie Yasa? A co wam takie dziwne, ha? – zwrócił się do młodzieńca, który najgłośniejszy dopytywał. – Dyć chyba niektórych przepuszczała. Zaś niemożliwe, coby nikt z grodu nie wyjeżdżał.

Mężczyźni spojrzeli na siebie niepewnie. Wreszcie jeden, mimo ostrzegawczych spojrzeń pozostałych, a i kilku kuksańców, odważył się wystąpić z szeregu.

– No, niby chodziły słuchy, że panna nasza to się czasami i wypuszczała – powiedział cicho.

– Weź, zamknij jadaczkę! Nie godzi się! Obcym...! – Szturchnął chłopaka rudy sąsiad burmistrza.

– A co się, cholera, nie godzi?! – odburknął młodzieniec. – Żadna to tajemnica! Wszyscy wiedzieliśmy, że tylko ona się odważyła! Odkąd tego czarodzieja na uwięzi pała. Zamiast miasto uwolnić, sama się wyslizgiwała! A i dziwne nie jest! Przeca to siostry rodzone, nie? Jedna drugiej nie pokrzywdzi.

– Ciekawe rzeczy prawicie. Jak to siostry? Panna i kto? – udał zainteresowanie krasnolud. – Boście przecie mówili, że czarodziej, nie czarownica...

– Bo ja o bestii... – zaczął niepewnie młodzian, ale zamilkł pod gniewnym spojrzeniem burmistrza. Starzec podniósł się nieco i rozejrzał po zgromadzonych. Błyskawicznie w izbie zapadła cisza. Truenko ponownie opadł na ławę, a później uśmiechnął się nieszczercze do Sodiego.

– Widzicie, szanowny panie, jaka dzisiaj młodzież wyrywna. Nie dopuści nikogo do głosu, a przecie wyście chcieli opowiedzieć, jak to się wam udało stworowi zbiec.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, obaj świadomi, że nie spieszo im na pytania odpowiadać.

– Ano, chętnie opowiem – odrzekł wreszcie krasnolud – ale i posłuchałbym, jak to się stało, żeście się, przeszacowni mieszkańcy uroczego grodu, takiego potwora dorobili u bram. To przekleństwo jakowe, czy może złośliwość owego czarownika, o którym prawiliście? Bo przecie nie natura toto stworzyła ani bogowie na świat nie powołali. – Zawiesił głos, jasno dając do zrozumienia, że nic z opowieści nie będzie, jeśli sam nie pozna odpowiedzi na zadane właśnie pytanie.

Niestety, nikt nie kwapił się z owej odpowiedzi udzielaniem. Sodi pokręcił nosem i zerknął na Yasę. Oparty o ścianę mag zdawał się drzemać. Ledwie jednak krasnolud nań spojrział, Tropiciel warknął lekko podrażniony zaklęciem.

– A co mi tam – westchnął Truenko. – Toż to przecie żadna tajemnica. Jeszcze dwie zimy temu miejscowy bard na co większych przyjęciach raczył gości balladami o pannach z zamku...

Zakneblowany dzieciak rozpaczliwie szarpał się zanurzony do pasa w wodzie. Więzy na rękach i nogach nie unieruchomiły go kompletnie, bo rozbryzgiwane krople sięgały aż ku brzegom jamy, do której go wepchnięto. Płomień pochodni trzymanej przez gwardzistę odbijał się w brudnym, ziemistym płynie wypełniającym dół w podziemnym lochu. Iriana po raz kolejny pokręciła głową zdumiona, że Zerderan pamiętał o tym miejscu. Zabawiali się tu tylko raz, dawno, dawno temu. Jak dla niej, było zbyt mroczno, mimo że, dzięki wodzie w niezbyt głębokim leju, tryton mógł używać swojej magii. Na wspomnienie wyczynów kochanka i przyjemności, jaką jej

sprawił, księżniczka uśmiechnęła się błogo. Tak, dla tamtej rozkoszy warto było się nieco unurzać w błocie. I dla odzyskania lojalności niewdzięcznego gówniarza.

– Och, przestań, głupcze! – warknęła, kucając nad dołem. – Wypuszczę cię... wreszcie. Kiedy tylko zmądrzejesz.

Błękitne oczy błysnęły w świetle pochodni. Prócz przerażenia, prawie na granicy hysterii, pojawiła się w nich też wściekłość. I obietnica. Iriana cofnęła się. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że ten chłopak jest nie tylko dzieciakiem, z którego mocy i wdzięków korzystała, ale że może też być potężnym przeciwnikiem.

Kiedy jednak chłopiec zamknął oczy i przestał się wiercić, księżniczka odetchnęła z ulgą. To w końcu tylko dzieciak. Bez trudu nauczy go posłuszeństwa. Najpierw użyje sposobu Zerderana, a potem, jeśli zajdzie potrzeba, sięgnie po własny.

– Wyjmijcie mu szmatę z ust – kazała gwardziście, a sama ruszyła ku wyjściu.

– Rozwiązać go, pani?

– Nie, tylko szmata.

Była już u szczytu schodów, gdy więzień wykrzyczał pierwsze daremne zaklęcie. Zaczarowana przez króla syren woda skutecznie tłumiała moc czarodzieja. Mógł krzyczeć do woli, a i tak, póki będzie zanurzony, nic nie robi. Przez chwilę Iriana stała, wsłuchując się w melodię słów chłopca. Było w tym dźwięku coś uwodzającego, miękkość i urok, mimo strachu, jaki mu towarzyszył. Coś, co budziło w księżniczce uczucia... zaskakujące uczucia. Skrzywiła się i potrząsnęła głową, a potem pchnęła ciężką, kutą bramę.

Owionęło ją chłodne wieczorne powietrze. Spojrzała przed siebie, na ruiny wieży, i po raz kolejny tego wieczoru uśmiechnęła się triumfująco.

– Bo widzicie, miał nasz pan dwie córuchy – opowiadał Truenko. Niby mówił do Sodiego, ale nie odrywał przy tym wzroku od Yasy. – Całkiem nadobne dziewczęta. Kiedy młodszej było z pięć wiosen, pani naszej odeszło się do przodków i ksiązę sam z córkami został. Namawiali go do ożenku, ale on strasznie nieboszczkę miłował, to i nie chciał drugiej brać. Mówił, że córciom dobrego męża poszuka, coby następcę po sobie ustanowić. I tak też zrobił. Wynalazł starszej morskiego króla. Osiemnasta wiosna jej szła, jak ten przybył na zrękowiny. Taaa... osiemnasta, bo młodszej to szesnasty rok minął. Pamiętam, bo wielkie zrobili hulanki z tej przyczyny. Miał ten wodny król pannę wziąć za żonę, no i pół królestwa.

– To łakomy chłop z niego nie był – sarknął Sodi. – Pół Kozięgo Bobka to jak Mysi Stolec...

– Też żeśmy deliberowali, na co wielkiemu panu taki przysiółek – potaknął niezrażony burmistrz – aleśmy uznali, że nie nasza to rzecz, dlaczego możni pożenić się chcą. Grunt, że weselisko się szykowało na długie dni. Nawet od Króla Królów poselstwo z darami dla młodej pary przyjechało. Ech, piękne dni. Piękne. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Do weseliska nie doszło. Widzieliście wieży ruiny? Możecie i nie widzieli, bo teraz, od kiedy pan zburzyć ją kazał, to zza murów nie widać... Dyc, widzicie, jak się młodsza panna urodziła, przeklęta ją jedna czarownica. Że niby w szesnaste urodziny to się na wrzecziono nabije...

– Eeee, znowu bujdy gadacie! – fuknął rudzielec. – Zaś będziem o wrzeczionach w wieży słuchać? Wszystkie wiedzą, że starsza panna młodszą, ze swoim narzeczonym między nogami, w tej wieży nakryła! I tak się wściekła, że za kudły złapała. A tamta ją!

– No! – przyklasnął któryś z młodszych mężczyzn. – Tłukły się, aż furczało, a po okolicy wrzaski niesło!

– A ty skąd wiesz?! Tyś przecie jeszcze w gatkach tatki siedział! – krzyknął inny.

– Ale ojce prawili! Ot, co! I że tak się panny biły, że wreszcie starsza przez okno wieży w dół gibła! O!

– Cichać! – wrzasnął burmistrz, wstając. – Nie godzi się takich rzeczy o księżniczkach gadać! Nie godzi i już! Nikt tam w wieży z nimi nie był, to i nie wiadomo – usiadł i dokończył już spokojnie – jaka prawda była. Czy panna za wrzecziona przyczyną przez okno wypadła, czy z innego powodu. Wypadła i już! I na te róże, co tam rosły bęła, i na kamienie, co między krzakami. Ledwo ją medyki odratowały.

– A niepotrzebnie – wyszeptał rudzielec. Skarcony spojrzeniem Truenki, tylko wzruszył ramionami. – A co? Nieprawda? Ile to razy sama mówiła, że niepotrzebnie? Nie dość, że facjatę jej oszpeciło, to i w główce się pozmieniało. Wyc po nocach poczęła, na ludzi z pazurami się rzucać. A co siostrę zobaczyła, to po ostrza jakowe sięgała. A i jeszcze, chocia już przeca lata swoje miała, rosnać poczęła. I jak wielkie chłopisko wyrosła. Całkiem się pozmieniała. A przecie pomnę, że to dobre dziewczę było. Układne, a urodziwe.

– Ano, tak było – przytaknął smutno burmistrz.

Zapadła cisza, bo naraz wszyscy w gospodzie zgromadzeni zadumali się nad losem oszpeconej księżniczki. Nawet ci, którzy z racji wieku pierwotnej formy panienki raczej pamiętać nie mogli. Yudherthardere, któremu wyobraźni brakło, żeby w niej Belę jako piękność zobaczyć, uniósł brwi i wgapił się zaskoczony w obu starszych mężczyzn.

Tymczasem burmistrz zakończył rozpamiętywać. Podrapał się po łysiejacej łepetynie, najwyraźniej zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć powinien. Bo potrzebę mówienia

czuł nieodpartą. Tak jak i przymus patrzenia na przystojnego gościa, który krasnoludowi towarzyszył.

– Tak się stało – powiedział wreszcie – że pan nasz stracił serce dla obu córek. Kilka wiosen później wziął też i drugą żonę. Ta starszą panienkę w pokojach zamknęła. Pewnie zamknęłaby i w wieży, jakby pan, po onym wypadku, nie kazali jej zniszczyć. Wkrótce, będzie pewnikiem z żalości, pan odszedł do przodków, a niedługo po nim i druga jego małżonka. Balim się trochę, że się panienka Bela o ojcowiznę upomni, ale dziewczę znikło. Że zaś to się zeszło z bestii do lasów wprowadzką, niektórzy twierdzą, że to Bela w lasy umknęła, a z zawiści do siostry życie nam uprzykrza.

Tu i ówdzie pojawiły się potaknięcia. Żaden z mężczyzn nie próbował przeczyć.

Sodi pokiwał głową. Spojrzał na Yasę, ale mag nadal wyglądał na niezainteresowanego. Krasnolud poprawił się więc na ławie i odstawił pucharek.

– Jakem obiecał... – zaczął. Pierwotny uniósł na moment powieki i zerknął na przyjaciela. – Znaczy, wiecie, wasza bestia... – zająknął się Sodi.

– Waszą bestię pochowaliśmy dzisiaj ranka – przerwał mu Yasa.

Kiedy jego słowa dotarły do zgromadzonych, zaczęli się przekrzykiwać w zadawaniu pytań. Pierwotny milczał. Wreszcie hałas ucichł.

– Ale jak? – Truenko powtórzył najczęstsze pytanie.

– Ano normalnie, pod sporym kopczykiem – odpowiedział Sodi.

– Ale jakeście ją pokonali? – podniósł głos burmistrz. – Musi czarami jakowymi – dodał szeptem, ze strachem spoglądając na Yasę. Pozostali też wgapili się w czarodzieja, szepcząc między sobą. Przygranicznym miastom daleko było do stolicy, a ich mieszkańcy nie obcowali na co dzień z magią.

Sodi, że już w wyobraźni stos płonący zobaczył, a na nim żarzącego się przyjaciela, a co gorsza i siebie, szturchnął Pierwotnego, poderwał się z ławy i wrzasnął:

– To my wam tu z dobrą nowiną, a wy nas tak?! Czarami ubliżacie? Od pospolitych czarowników?!

– Nikt o pospolitych nie wspominał. – Uśmiechnął się nieznacznie mag.

– Pospolity, niepospolity... Pochowalim ichniego potwora, robotę za tych tu odwalilim, pewnie sami bożatko utłukli, a nam kije w łapy wciskają. Może i nie było złe, jeno... odmiennie urodziwe. Człek dobry uczynek zrobił, stworzonko ziemi oddał, a tu nas od wiedźm wyzywają i o mord sądzą chęć. Niech mnie Bezzębna Onurfia w tyłek nigdy nie cmoknie, idziem, panie Yasa! – Zrobił krok w kierunku drzwi i zaraz odskoczył, bo te, jak na życzenie, otworzyły się szeroko. Stańto w nich dwóch pałacowych gwardzistów. Rozejrzeli się, po czym, ignorując krasnoluda, podeszli do Pierwotnego.

– Księżniczka prosi. – Żołnierz uklonił się, ale bez unizoności.

– Oczywiście, że prosi – przytaknął Yasa, wstając. Rzucił szybkie spojrzenie Sodiemu, a ten, chociaż jeszcze przed chwilą zamierzał wygłosić namiętną tyradę o byciu niewidocznym i zaraz potem ruszyć za przyjacielem na pokoje jaśnie wielmożnej panienki, opadł ciężko na ławę, zacisnął zęby i z irytacją patrzył na wychodzącego maga.

– Taaa – mamrotał Sodi, wciskając się w wąskie przejście między kamieniczkami – on se pewnikiem dobrze robi, między nogami urodziwej panny się grzeje, a mnie biedniuteńkiemu po lochach kazał łązić i gówniarza szukać. Jakby to takie, kurwa, proste było. Se cyknę paluszkami, a mnie każdy gwardzista poleci kraty otwierać. Bo on to se duma, zem jak owa urodziwa dziewczka, której do wrót stukania chłopcy z koszar wyczekują. No nic ino, kurwa, czekają. – Potknął się i zaklął szpetnie, ale upadając, zauważył wreszcie to, czego szukał: wejście do podziemi, o którym Yasa wyczytał w myślach gwardzisty. – Ta, wejdiesz dziurą, którą latawice wpuszczają – zacytował myśli przyjaciela. – Dejcie bogowie, że żaden tam akurat na dupę nie czeka, bo się zdziwi, oj, zdziwi.

Na szczęście Sodiego, tego wieczoru akurat żaden z żołnierzy nie umówił się z jakąś panną. Krasnolud z trudem precisnął się przez wąską dziurę. Mamrotał przy tym cichuteńko, acz wściekle, zwłaszcza że w ciasnym przejściu rozdarł nową drogą kurtkę i żal mu talarków było, co to je na nią wydał.

Więzienie tak jak reszta miasta nie grzeszyło rozmiarem. Nie żeby inne więzienia, w których bywał Yudherthardere – a bogowie wiedzą, że się zdarzało – należały do przestronnych i jasnych, ale to mieściło się w czołówce najgorszych. I cuchnęło magią. Tropicieł skrobał skórę, podrażniony aromatem róż. Morska magia, oparta na starożytnych mocach syren i namiętnościach. Słaba, nawet aktywna. Sodi skrzywił się lekko.

– Taaaa – wyszeptał – zakłęcie tłumiące nie rani Tropicieła, bo nie pozwala używać magii. Znaczą się dobrzem trafił. Ktoś, zapewne księżniczka, boi się braciszka gówniary. I zdaje się, że nadal lubi gościć Zerderana. To się, kurwa, Yasi nie spodoba. – Rozejrzał się wokoło. W wąskim przejściu nie było żywego ducha. Cele również świeciły pustką. Sodi po raz kolejny przeklął w duszy i ruszył szybko opadającym korytarzem w głąb podziemi. Przemykał – o ile to możliwe przy jego rozmiarach – przytulony do ściany. Nie żeby uważał, że to pomoże mu się ukryć. Chodziło raczej o potrzebę posiadania czegoś za plecami. Kierunek wskazywał Tropicieł, nieustannie drażniony syrenimi czarami. Moc w każdej kropli spływającej po kamieniach w zamkowych lochach drażniła alter ego Yudherthardere. Dlatego właśnie Sodi szedł

coraz bardziej poirytowany, a kiedy wreszcie zobaczył strażnika, wyszarpnął zza paska toporek i rzucił się, by nerwy swoje i Tropicielea na czaszce żołnierza uspokajać.

Zdumiony atakiem mężczyzna nie zdążył zareagować i, uderzony obuchem, upadł na klepisko.

– Śpij, synku. – Krasnolud uśmiechnął się szeroko i wcisnął toporek ponownie za pasek. Od razu poczuł się lepiej. Tak był z siebie zadowolony, że nie patrzył pod nogi i byłby wpadł do dziury. W ostatniej chwili złapał równowagę. Już miał przekląć w najgorszy z możliwych sposobów, kiedy spojrzał do jamy.

Przerażone błękitne oczy, oczy Likal, wpatrywały się w twarz krasnoluda.

Po pokornej kobiecie, która przyszła do Yasy po pomoc, nie został ślad. Księżniczka siedziała na podwyższeniu w eleganckiej sali wyściełanej złotogłowie i aksamitami. Bogactwo komnat pałacowych absurdalnie kontrastowało z resztą miasteczka, tak jak strojnie zdobiona suknia Iriany z odzieniem pałacowej służby. Pierwotny uśmiechnął się ironicznie. Panna bardzo się starała zrobić na nim wrażenie.

– Witajcie, Pierwotny Magu. – Nawet ton głosu miała inny. Rozkazujący. – Radziśmy was gościć. Zechcecie usiąść? – Wskazała skromną ławę u swych stóp.

Yasa z trudem powstrzymał śmiech. Coraz lepiej się bawił. Usiadł we wskazanym miejscu, z pełną świadomością, że będzie musiał zadzierać głowę, by spojrzeć w oczy księżniczki.

– Co was sprowadza? Jasno określiliście waszą niechęć do udzielania nam pomocy – kontynuowała Iriana.

Nie podnosząc wzroku, Yasa wsunął się w myśli kobiety. Blokada, która ostatnio go powstrzymała, osłabła. Część obrazów, poszarpanych i niepełnych, pojawiło się pod powiekami maga. Rozbawienie znikło w jednej chwili. Czarodziej zacisnął usta i podniósł się powoli...

Krasnolud uklęknął i pochylił się nad jamą.

– Czekaj, chłopcze – powiedział – zaraz cię wyciągnę. Chudzina z ciebie, zupełnie jak z gówniary, to i dam se radę. – Położył się i sięgnął ku więźniowi. Chłopiec szarpnął się do tyłu. – Czekaj, młody, nie nerwowo. Pomóc ci chcę – mamrotał uspokajająco Sodi. – Jak się będziesz tak wił jak jedna cichodajka, co żem ją... znaczy nieważne. Stójże w miejscu! No! Raz, dwa i będzie... – Wsunął wreszcie ręce pod ramiona chłopca i szarpnął ku górze. Więzień nie pomagał, wyrrywając się gwałtownie.

Naraz jednak pojął, że krasnolud wyciąga go z jamy i, zapierając się stopami o brzegi, próbował przyspieszyć całą operację.

Udało się dopiero za drugim razem. Sodi, sapiąc i przeklinając, wytargał wreszcie związanego chłopaka. Przez chwilę obaj leżeli, oddychając ciężko. Kiedy wreszcie Yudherthardere usiadł, by należycie się przedstawić, wysoki, przenikliwy wizg rozerwał ciszę podziemi.

Ostatnią myślą Sodiego, nim magia sparaliżowała i jego, i Tropiciela, było zaskoczenie, że potrafi wyć jak baba.

V

Snw

Likal budziła się powoli. Wychodziła z głębokiego snu, pozbawionego obrazów, a mimo to niesamowicie mrocznego. Serce dziewczyny waliło gwałtownie. Naraz wróciło ostatnie przytomne wspomnienie, wszechobecna woda zalewająca usta, bezradne próby złapania oddechu, a potem kompletna czerń. Krzyknęła i otworzyła oczy.

Nic się nie zmieniło. Wokół nadal panował kompletny mrok. Otaczała ją całkowita ciemność, bez jakiegokolwiek kształtu czy choćby odrobiny szarości. Młoda czarownica odetchnęła głęboko i wyszeptwała zaklęcie. Niestety i to nie pomogło. Zacisnęła zęby, myśląc jednocześnie, że ostatnio moce częściej ją zawodzą, niż działają. Podniosła się powolutku i usiadła. Gniew na moment osłabił niepokój, ale ten wkrótce wrócił, gdy dziewczyna, wyciągnawszy ręce, dotknęła wilgotnej, zimnej i chropowatej powierzchni. Opuszkami wyczuwała nierówność kamieni. Przesuwając po nich dłońmi, wstała powoli i kontynuowała wędrówkę wyżej, tak daleko, jak tylko mogła sięgnąć. Zawahała się, a potem podskoczyła z uniesionymi ramionami. Dłonie trafiły w pustkę, więc powała musiała być wyżej. Dziewczyna ponownie dotknęła ściany, rozłożyła ramiona... i natknęła się na ścianę po przeciwnej stronie. Wielkość pomieszczenia przeraziła Likal znacznie bardziej niż ciemność. Serce zaczęło tłuc się w klatce piersiowej, krew tętniła w skroniach, a zlodowaciałe naraz palce zacisnęły się w pięści.

– Yasa! – wrzasnęła odruchowo.

Yasa, Yasa, Yasa... – zadudniło echo. Ale ani ono, ani Likal nie przywołali Pierwotnego. Mrok pozostał nieprzenikniony, a gdy pogłos minął, ponownie nastąpiła cisza. Wystraszona dziewczyna usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Gniew i przerażenie walczyły w jej umyśle. Szeptwała zaklęcia, świadoma, że nie działają. Tak było lepiej. Łatwiej. Słowa uspakajały, przerywając ciszę, a młoda czarownica bardzo potrzebowała teraz opanowania. Strach rodził wściekłość, a ta...

Likal odetchnęła, by odpędzić niechciane wspomnienie. Zamilkła na chwilę, ale zaraz ponownie zaczęła szeptać. Nie mogła się poddać. Uniosła głowę, przekonana, że tylko z góry może przyjść ratunek i śpiewnie powtarzała magiczne słowa.

Naraz mroczną czerń, wysoko nad głową dziewczyny, złamał chybotliwy blask, który szybko zmienił się w jasną plamę. Likal zamilkła i zmrużyła oczy.

– Panienko?! Jesteście tam? – Głos zadudnił, jak poprzednio jej krzyk, odbity i zwielokrotniony wśród kamieni.

– Nie, cholera, polazłam kwiatki wachać – odkrzyknęła wściekle i zaraz pożałowała, bo w górze ponownie zapanowała cisza. – No przecież, że jestem, gdzie miałabym pójść? – dodała już łagodniej, patrząc w kierunku głosu. Plama światła zintensywniała, a potem częściowo przesłoniła ją głowa pochylającego się mężczyzny.

– Pomogę panience – krzyknął z lekkim zawahaniem – jeśli coś obiecacie.

– Czego tylko chcecie – odpowiedziała szybko.

– Ojce będą złe, ale... – mamrotał młodzieniec, a wewnątrz niosło jego słowa. – Obiecacie pierwej. Musicie obiecać, bo ojce będą złe, jak was tu nie znajdą. I pewnikiem domyślą się, że to ja. No bo przecie kto inny... Wszystkie się go boją. Nawet Titr... Ładna ta Titr. No, ale siostra... Nie godzi się. Nie godzi.

Likal słuchała urywanych zdań przysłego oswobodziciela z rosnącą irytacją. Zaciskała i rozprostowywała palce, świadoma, że nie powinna zrażać kogoś, kto chce jej pomóc. Mężczyzna w tym czasie wciąż szeptał, chodząc tam i z powrotem, a światło to oświetlało wnętrze głębokiego dołu, to znów ponownie kryło go w ciemnościach. Wreszcie zatrzymało się nad jamą.

– To obiecacie? – zapytał mężczyzna. – Powiedzcie, że obiecacie, a wyciągnę was z dziury. Wyglądacie na drobinę, to i trudno nie będzie. Ino obiecacie, co nie? Obiecacie?

Likal wzięła głęboki wdech.

– A powiecie, co mam obiecać? – krzyknęła.

Chłopak zamilkł. Przez chwilę ważył odpowiedź.

– Że mnie zabierzecie do Pierwotnego – odrzekł wreszcie. – I wstawicie się za mną, żebym był, jak ojce chcą. Mówili, że was miłuje, to i spełni waszą prośbę.

Dziewczyna skrzywiła się lekko, ale nie zamierzała zaprzeczać. Dół był zimny i mroczny, a pomoc bardzo pożądana.

– Obiecuję. Pomóżcie!

– Dobra, tylko żebyście nie zapomnieli. Uroczycie przysięgnijcie. Wyście panna Pierwotnego, a on ponoć zawsze dotrzymuje słowa. Przysięgnijcie, to pomogę.

– Przysięgam – warknęła poirytowana Likal.

– To teraz odsuńcie się nieco!

Sznur opadł tuż obok Likal.

– Obwiążcie się, to was wyciągnę.

Dziewczyna wykonała polecenie i już po chwili rozpoczęła wędrówkę ku górze. Unoszona skokami na kołyszącej się linie, raz czy dwa Likal nie zdążyła się obrócić i uderzyła bokiem w ścianę. Ból nie był jednak tak dokuczliwy, by stłumić ulgę. Dojrawszy brzeg jamy, uchwyciła się go.

Wydostała się na górę, ale i to pomieszczenie było mroczne i wilgotne. Dziewczyna wstała i ponownie spróbowała zakłęć. Z efektem równym poprzedniemu. Westchnęła i dopiero wtedy przyjrzała się wybawcy. Pólnagi, szczupły i jasnowłosy, wydawał się dziwnie znajomy. Dziwnie...

– Jesteś synem Zerderana? – zapytała, chociaż znała odpowiedź.

Chłopak cofnął się zaskoczony.

– Wyglądasz jak on. Tylko młodszy. I jakiś... bardziej ludzki. Jesteśmy na jego wyspie? Nie, nie odpowiadaj. Powinnaś się domyślić, kiedy wir mnie wciągnął. Już kiedyś miałam przyjemność spotkać twego tatulka. Ale na wyspie jeszcze nie byłam. To musi być ta wyspa, bo moja magia nie działa. Myślałam, że Zerderan ma więcej rozumu. Yasa przecież uprzedzał...

– Znacie ojca? – wyszeptał młodzieniec.

– Tam, zaraz znam. Wysłuchałam kiedyś, jak śpiewa, i tyle.

– Słuchaliście?! I nie zostaliście z nim?! Zaprawdę mocny ten wasz czarownik. – Zaskoczony chłopak pokręcił głową.

– To nie Yasa – dziewczyna wzruszyła ramionami – tylko ja uciszyłam wodne wezwanie.

– Wy?!

Nie odpowiedziała. Rozglądała się intensywnie za innym niż wciśnięta w ścienny uchwyt pochodnia źródłem światła wskazującym drzwi. Ściany zlewały się jednak w czarną całość, a mała piwniczka wyglądała na pozbawioną wyjścia. Bez trytonowskiego syna nie zdoła opuścić tego miejsca. Nie żeby miała zamiar zepchnąć chłopaka do dziury, na którą skazał ją Zerderan.

– Ale jak, panienko? Jakaście to zrobili, przecie nikt nie potrafi przerwać syreniej pieśni?

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Ano, tak mówią. Słuchaj, chętnie odpowiem. Uwierz, lubię gadać. Pan Sodi mówi nawet, że bardziej niż on... ale to żywe łgarstwo. Nikt nie paple tak jak pan Sodi. No więc chętnie ci opowiem, jak to było ze spotkaniem moim i twojego tatulka, ale wolałabym zrobić to w... – machnęła dłonią – jaśniejszych okolicznościach. Rozumiesz?

Gapił się na nią z rozwartymi ustami i niezbyt inteligentnym wyrazem ładnej buźki. Likal przewróciła oczyma.

– Wyprowadź nas – poleciła krótko.

Młodzieniec zawahał się, a później sięgnął po pochodnię. Pociągnął, a ukryta w uchwycie dźwignia trzasnęła głośno, uruchamiając ukryte przejście. Ciepłe i ciężkie wilgocią powietrze owionęło Likal. Odetchnęła głęboko i ruszyła za wybawicielem.

Kobieta siedziała w bujanym fotelu, okryta kocem. Pamiętał ten fotel. Zrobił go sam, a ona patrzyła, żartując, że będzie z niego jeszcze stolarz. Nigdy jej nie powiedział, że więcej w tym meblu magii niż jego pracy. Nie musiała wiedzieć. Zawsze bała się czarów.

Nie powiedział jej, kim jest. Przez te wszystkie lata nie powiedział.

Patrzył teraz, jak Luna drzemie na koślawym krześle. Jasne włosy jego żony wymykały się spod czepka i spływały falami na ramiona. Miękkie niczym jedwab. Pamiętał tę miękkość na skórze. Pamiętał słodki aromat konwalii. Zapach Luny. Niczego nie zapomniał.

Kobieta poruszyła się we śnie. Fotel drgnął lekko, uruchomiony zakłębieniem, a potem przechylił się łagodnie, kołysząc Lunę. Śpiąca uśmiechnęła się i, nie otwierając oczu, pogładziła z czułością wyduęty brzuch.

– On już nie śpi, Yaso – wyszeptala. – Chodź, kochany, dotknij. Dotknij...

Podejdzie. Zaraz podejdzie i położy dłoń na brzuchu żony. Chłopiec w tonie Luny będzie się wiercił, czując palce ojca, a Yasa pocatuje jego matkę, wzruszony cudem, który ich spotkał.

Zaraz. Kiedy tylko kontury znów nabiorą ostrości. Kiedy odległy głos przestanie go przywoływać. Jeszcze chwila, a sen znów będzie rzeczywistością.

Ogień krwi przelewał się między palcami Pyriego. Palący i zimny jednocześnie. Miękki, otaczający niewypowiedzianą pieśczętą. Prowadził na granicę spełnienia, by, nim smok skona z przyjemności, zawrócić znad przepaści i rozpocząć słodko śmiertelną wędrówkę ponownie. Wszzechobecny różany ogród otulał go jedwabistymi płatkami. Oddech przyspieszał i zwalniał. Gorąca krew tętniła w skroniach. Wszystko płonęło. Cały świat spalał się w jeden obraz. Wizję kobiety o chłodnej skórze i gorącej miękkości ciała zamykającego się wokół rozpalonego smoka. Konał i rodził się ponownie, nieustannie zmierzając tam, gdzie chciała. Słodka i doskonała...

Ogień krwi płynął, wskazując cel, a ten wciąż się oddalał. Rozkosz i ból wyplatały wzór pod zamkniętymi powiekami. Nie mógł ich otworzyć. Głos nie pozwalał. Szeptał słodkie obietnice. Uwodził najstodszą z melodii. Tańczył tuż nad krawędzią jawy i snu. Zawładnął mężczyzną. Rozkazał smokowi. Pyri stracił kontrolę. Zamknięty w iluzji pożądania i namiętności, powoli przestawał walczyć o władzę nad własną duszą. Bezwolny oddał się płomieniowi.

Gdzieś, tak daleko, że słyszał ledwie wspomnienie echa, inny szept żądał, by się obudził. Ktoś go potrzebował. Nie pamiętał kto i gdzie. Słyszał tamto wspomnienie, ale nie mógł go usłyszeć. Magia syreny zwalczyła wszystko.

Gdzieś między pocałunkiem rudej dziewczynki a pieszczotą zażywej blondynki Sodi pojął, że śni. Wiele rzeczy mu się przydarzyło... to znaczy za wiele już w życiu zapłacił, ale po pierwsze nie pamiętał, by tym razem płacił, a po drugie: trzy kobiety??? Trzy? I żadna nie była szpetna, pokaleczona czy choćby chroma. Wszystkie trzy ładniutkie i chętne. Taaa... śnił jak nic. Nie, wcale mu to nie wadziło. Sen, nie sen, grunt, że robiły dobrze. Oj, jak dobrze.

Miękkie też ugięło się pod krasnoludzkim ciałem, jedwabie zaszeleściły, a Sodi westchnęła uszczęśliwiona. Pieszczoty smakowały tak samo, utudne czy prawdziwe. Barwy pozostawały tak samo intensywne, a czułość pańien większa niż jakakolwiek uprzednio zaznana.

Tak, śnił. I niechże ten sen nigdy się nie skończy.

Słońce chyliło się ku zachodowi, barwiąc horyzont różem i złotem. Likal sięgnęła do ostatniego szczebla drabiny i zatrzymała się, żeby podziwiać piękno przyrody. Nie pierwszy raz mogła oglądać zachód słońca nad morzem, ale za każdym razem robił na niej podobne wrażenie. Absolutny zachwyt malował się na twarzy młodej czarownicy.

Stojący u wyjścia z jamy syn Zerderana zamarł pochylony z wyciągniętą ku dziewczynie ręką.

– Aleście piękna – westchnęła nabożnie. – Jak Titr... albo może nawet księżniczka. Nie dziw, że się o was wszyscy biją.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, odrywając wzrok od horyzontu. Złapała dłoń młodzieńca, żeby szybciej wydostać się z syreniego więzienia, i stanąwszy obok chłopca, zapytała:

– Kto zaś się o mnie bije, co?

– No smok i ten wasz Pierwotny. Znaczący czarownika to żem jeszcze nie widział, ale ojciec pewnie był, że po was przyjdzie. No, a smok to żem myślał, że ojciec zeżre, taki był zły, że was trzyma.

– Pyri? – Likal się uśmiechnęła się, ponownie wprawiając młodzieńca w zachwyt.

– Ano – potaknął chłopak – jak wpadł...! Taaaaaki wielki! I straszny! I piękny.

– Rzeczywiście, piękny jest. – Dziewczyna nie przestawała się uśmiechać. – I mówisz, że przyleciał po mnie? – Zmarszczyła naraz brwi. – To dlaczego nie on, a ty wyciągnąłeś mnie z tego tam? – Wskazała dziurę za sobą.

Młodzieniec naraz opuścił głowę i przygryzł wargę. Zarumienił się przy tym gwałtownie.

– No? – Niecierpliwiła się Likal.

– Titr go zatrzymała – wyszeptał, nie patrząc w oczy czarownicy.

Dziewczyna przyglądała się chłopcu przez chwilę. Nie próbowała go czytać, świadoma, że magia wyspy jej nie pozwoli. Zresztą nie musiała. Błyskawicznie zrozumiała, co znaczy owo zatrzymanie smoka.

– Cholera – westchnęła – mężczyźni mnie rozczarowują.

– Ale ona go zaklęła. Żaden chłop nie pokona magii syreniej wyspy, panienko. – Syn Zerderana poczuł się w obowiązku wytłumaczyć krewniaka.

– Ciekawe, czy chociaż próbował... Nic to. Nie będziemy im przeszkadzać – sarknęła gniewnie. – Znasz drogę do Krainy, prawda? Dopłyniemy tam. To znaczy ty popłyniesz, a ja na twoim grzbiecie. Bo łodzi to pewnie na syreniej wyspie nie uświadczysz, co nie? Co się stało? Czemu tak patrzysz?

– Ale jak? – Młodzieniec cofnął się lekko. – Jak mamy dopłynąć?

– Normalnie. Przecież...

– Ja nie umiem pływać! Dlatego chcę do Pierwotnego. Ojce chcą, żeby ogon mi wyrastał w wodzie, a nie wyrasta. Idę na dno jak kamień. Pierwotny poczaruje i będę jak trzeba. Jak ojce!

– O kurwa – szepnęła Likal, chociaż solennie obiecała Yasie, że nigdy, przenigdy przeklinać nie będzie. – Musiał mnie wyratować jedyny niepotrafiący pływać półtryton na świecie. Toż muszę być rodziną z panem Sodim, bo, cholera, takiego pecha to tylko on mógłby mieć.

– To co zrobim, panienko? Ojce niedługo wrócą. Oj, będą bić, jak was zobaczą. Trzeba nam uciekać.

– A jak mam to zrobić, głupcze? – warknęła wściekle dziewczyna. – Moja moc tu na nic. Ty w wodzie bawisz się w kamień. Ja i trochę pływam, ale nie dość, żebyśmy zdążyli morze opuścić, nim twój tatulek się zorientuje, że wybrałam wolność. Znowu strzeli paluszkami i wsadzi mnie na powrót w tę czarną dziurę, z którejś mnie wytargał przed chwilą. Jakby Pyri nie zabawiał syrenki, może i by co z tego było, ale tak? Normalnie gwizdnęłabym, a wodnej puszczalskiej coś by tam zamurowało... Ale tu... Yasy też, cholera, nie przywołam. – Łzy bezsilności rozbłysły w niebieskich oczach. – Nic nie mogę... Nic.

Chłopak przygryzł usta. Zawahał się, a potem zrobił to, co każdy wrażliwy na kobiece łzy mężczyzna zrobić powinien. Przygarnął nieco nieporadnie młodą czarownicę i, delikatnie poklepawszy, powiedział:

– Nie płaczcie, panienko. Pójdziemy do waszego smoka, może go wyrwiecie z amoku albo, kto wie, może już skończyli... Ino nie płaczcie.

Likal podniosła głowę. Otarła wierzchem dłoni oczy, a potem odsunęła się od chłopca.

– Jak ci na imię? – zapytała, pociągając nosem.

– Zerdi.

– Dobrze, Zerdi. Pójdziemy przypomnieć Pyriemu, po co tu przybył, choćbym miała drągiem jakim wbić mu to do smoczego łba. Potem odnajdziemy mojego czarodzieja. I już ja dopilnuję, żebyś mógł pływać z rybami, skoro tak ci do tego spieszno. A teraz prowadź do tej wodnej kur... panny.

Chłopcu przyszło do głowy, że może i powinien powtórzyć, że Titr jest jego siostrą i córką Zerderana, ale wspomnienie łagodnych tonów w głosie młodej czarownicy zdecydowanie go od tego odwiodło. Uśmiechnął się i pokazał jedyne wzniesienie na wyspie.

– Tam, panienko.

Dziewczyna ruszyła we wskazanym kierunku, nie czekając na półtrytona.

Syrena unosiła się i opadała nieskończenie powoli, celebrując rozkosz. Prowadziła palce kochanka, by posłuszne jej woli, pieściły dokładnie te miejsca i z taką siłą, jakiej pragnęła. Mocne dłonie mężczyzny sunęły po płaskim brzuchu, zataczały koła, pieszcząc, głaszcząc, przyciskając i muskając. Powoli, zgodnie z rytmem nadawanym przez Titr. Gdy przyspieszała, on też przyspieszał. Gdy zwalniała...

Kiedy oddech syreny rwał się, a krew zdawała płonąć, Titr uruchamiała czar i odsuwała spełnienie. Rozkosz bliska konaniu, przedłużana w nieskończoność, niosła syrenę w dalekie światy. To traciła, to odzyskiwała świadomość. Tak właśnie wyobrażała sobie wieczne szczęście. Tuż nad granicą bólu, ze łzami przyjemności, bliska i daleka szczytu.

Słońce zachodziło, a ona wciąż nie miała dość, tonąc w doskonałej iluzji, balansując na klifie pomiędzy snem a jawą. Zamknięta w magii wraz z Pyrim, kompletnie nieświadoma, kim jest i dlaczego, nie pragnęła niczego więcej. Tylko tu i teraz.

Ale słońce zaszło, a nad duszą smoka coraz trudniej było zapanować, więc zmęczona godzinami rozkoszy Titr przestała powstrzymywać nieuchronne. Opadła na kochanka, a gdy zamienił pozycje, uniosła biodra i zamknęła go w uścisku ud. A potem uwolniła czar.

Spełnienie przyszło jak sztorm. Gwałtowne i przerażające, a jednocześnie doskonałe i potężne. Szarpnęło ciałami obojga kochanków. Wyrwało odwieczną pieśń z

ochryplych rozkoszą ust. Niski zwierzęcy zaśpiew smoka i wysoką, cudowną melodię syren. Jedyny taki dźwięk na świecie. Świdrujący i intensywny. Mięśnie dziewczyny stężały, skóra zapłonęła. Ciało skonało i ożyło. Jednocześnie. Ciężki aromat róż otoczył kochanków, wiążąc ich na ten krótki moment, kiedy stawali się jednością.

A potem nagle znikł.

Titr zepchnęła mężczyznę. Nie wstała jednak, lecz leżała z uniesionymi biodrami, uśmiechając się błogo.

– I co, kuzynie – wyszeptła łamiącym się głosem – nie było tak źle, prawda?

Pyri wracał z daleka. Wyczerpany tak walką z zaklęciem, jak i miłosnymi zapasami, leżał, gapiąc się w szarzące niebo, niezdolny do odpowiedzi. Słaby jak dziecko, chociaż bardzo tego chciał, nie mógł nawet wrócić do smoczej formy. Wiedział, że powinien być wściekły, ale zmęczenie nie pozwalało nawet na to.

– Och, nie bocz się, kuzynie. Spełniliśmy właśnie największe marzenie mojego tatusia – Titr zachichotała cicho, bo i jej brakowało sił. – I nie łzyj: było cudnie. Za jakiś czas, kiedy zdołasz już usiąść, sam to przyznasz. Rzeczywiście, smoki są wspaniałymi kochankami. Może nawet zechcę, najdroższy, powtórzyć to raz na jakiś czas. W sumie tatuś chciałby pewnie kilku wnuków.

Pyri warknął cicho i wycharczał coś, co zapewne miało brzmieć:

– Po moim trupie. – A potem z trudem usiadł.

I zobaczył Likal.

Jedwabie szeleściły, a dziewczęta szeptały imię Sodiego. On sam zaś pojękiwał cicho, rozkoszując się każdą chwilą. Nie jemu narzekać, kiedy trzy ślicznotki darzą go względami... kompletnie za darmo. Balansował więc łagodnie między zatraceniem a nikłą świadomością oderwania od rzeczywistości, z błogim uśmiechem na brzydkiej facjacie. Czas i miejsce nie miały znaczenia. Świat poza nie istniał...

Nie wiadomo, czy spowodowało to delikatne kłamanie rudej, czy pieszczotliwe podszczypywanie blondynki, czy też drapanie ciemnowłosej uwodzicielki, dość, że naraz Yudherthardere zaczął tracić zainteresowanie sennym marzeniem. Wyraźne jeszcze przed chwilą kontury tracily ostrość. Intensywne zapachy osłabły, barwy zbladły. I Sodi z całą świadomością pojął, że zabrał już we własnych marzeniach zdecydowanie za długo.

Niestety, za każdym razem, kiedy chciał zejść z łoża, któraś z panien delikatnie, acz nieodwołalnie popychała go z powrotem w jedwabie. Mógłby, co prawda, użyć siły, ale przecież matka uczyła, że kobiet się nie bije, a ojciec tłukł do łba, że darmowej pochędóżki odmawiać grzech. Nie był wprawdzie Sodi pewien, czy wysnionych kobiet i takowej pochędóżki też zasady dotyczyły, ale jakoś niegodnym zdawało mu się sprawdzać. Próbował

więc łagodnie odmarwiać, delikatnie odsuwać, ale chętne rączęta, usta tudzież inne części trzech znakomitych ciał nie pozwalały krasnoludowi się obudzić.

– Kurwa, gdzie ci moi czarodzieje, kiedy ich najbardziej potrzeba? – warknął po kolejnej nieudanej próbie. – Jak raz gówniara by się przydała!

Młoda czarownica zatrzymała się tak nagle, że biegnący za nią chłopak nie zdążył. Wpadł na dziewczynę i, żeby jej nie przewrócić, złapał za ramiona. Nie wrywała się, wpatrzona w nagie postaci leżące na klifie. Rozczarowanie było zaskakująco bolesne. Nie powinna tak czuć, przecież ledwie знаła Pyriego. Dlaczego więc widok nagiego mężczyzny uderzył niczym mocny policzek?

Zacisnęła pięści i odetchnęła głęboko.

Nie wolno jej stracić kontroli. Nie może pozwolić, by gniew nią zawładnął. Nawet jeśli rozczarowanie błyskawicznie zmieniło się w żal. A żal budził złość. Powinna odwrócić wzrok. Powinna...

Kiedy Likal tak usilnie próbowała zapanować nad złością, pomna, co stało się ostatnio, gdy wściekłość i żal nią zawładnęły, śliczna syrenka podniosła głowę i spojrzała na nadchodzącą czarownicę. Otaksowała gościa i uśmiechnęła się... z wyższością.

Może gdyby właśnie w tym momencie młoda czarownica nie przypomniała sobie, że wyspa tłumi jej moc, nadal próbowałaby zapanować nad gniewem. Jednakowoż właśnie ten złośliwy, pełen wzgardy uśmieszek sprawił, że jakaś część czarownicy odpuściła. W momencie gdy wróciła świadomość bezradności, wstrzymywana furia szarpnęła podopieczną Pierwotnego. Lodowata wściekłość rozlała się w żyłach i osłepiła dziewczynę. Przestała nad sobą panować i zawyła.

Krzyk czarownicy, wzmocniony magią wyspy, na bardzo krótką chwilę otworzył to, co tłumiła syrenia moc. Likal poczuła naraz smutek Yasy, głęboką, dojmującą żalność Pierwotnego, silniejszą niż jakakolwiek magia. Niewidoczne wspomnienie emocji wbiło się w podświadomość dziewczyny, tłumiąc jej własny żal.

Chociaż trwało to ledwie uderzenie serca, młoda czarownica upadła na kolana rażona uczuciami opiekuna.

– Yasa – wyszeptała. Naraz naga piękność i mężczyzna obok niej przestali mieć znaczenie. Musiała się stąd wydostać. Yasa jej potrzebował. Teraz, zaraz. Już.

Wtedy zrozumiała. Nawet nie spojrzała na krzyczących mężczyzn. Podbiegła do brzegu klifu. Odbiła się, zamknęła oczy... Dopiero wówczas wyszeptała zaklęcie.

Most rozbłysnął pomiędzy morzem a ziemią. W przestrzeni nienależącej do Zerderana, nad którą pierwotna magia miała władzę. Osłepiający blask portalu

zamknął się wokół czarownicy.

I zgasł.

VI

Rod e s t o

Dziadulo stał oparty o framugę, której jeszcze przed chwilą nie było. Nie wyglądał jak wtedy, kiedy jego truchło złożyli na marach, a matka Sodiego pchnęła syna, by podpalił stos. Przez ten zaszczytny przywilej nastoletni krasnolud znów zaczął moczyć się w nocy i budzić z krzykiem. Jeszcze teraz, dziesiątki lat później, Sodiemu na wspomnienie płomieni liżących zwłoki dziadula robiło się jakoś słabo i całkiem źle...

No, ale dziadulo nie wyglądał jak wtedy. Potężny i rudobrody... a Sodi nie pamiętał takiej barwy w dziadowskim owłosieniu. Dziadulo zawsze miał siwe włosy. Bieluteńkie jak taki jeden gołąbek, co to go sprezentował wnukowi w dzieciństwie. Taaaa, dziadulo zawsze był siwy, a teraz nie... Zaskoczony Sodi, niepomny pieszczot ślicznotek, zagapił się we wspartego o framugę krasnoluda. Taki wielki, rudowłosy i... prężny... tak, to właśnie tego słowa szukał Sodi wpatrzony w nieżyjącego przodka. Zupełnie nieprzypominający staruszka na marach, a jednak to Idar de Gra Yudherthardere uśmiechał się dość nieprzyjemnie, obserwując igraszki prawnuka.

– Dziadulu? – zapytał Sodi, siadając powoli.

– Nie, cycata nimfa po przejściach – warknął Idar. – Dość, młody. Pochędóżka miła rzecz, ale czas wracać do żywych.

– Ale, dziadulu...

– Nie dziaduluj mi tu. Nie jesteś już nieletnim smarkiem, com go na grzbiecie dźwigał. – Uśmiechnął się, wskazując nagie dziewczęta w krasnoludzkim legowisku. – Oj, nie jesteś. I nawet cię, młody, rozumiem. Milutkie to twoje dumanie. Ale trza się obudzić, chłopcze. Patrz... las się zamyka.

– Co? – Sodi zamrugął zaskoczony. Gdzieś między jednym a drugim mrugnięciem komnatę zaścielił mech, ściany splotły mroczne konary wysokich drzew, których korony przestoniły niebo. Ślicznotki znikły, a zamiast na wyścielonym jedwabiem łożu Sodi leżał na omszałym wilgotnym glazie. Przetarł oczy raz i drugi, a potem zeskoczył z wielkiego kamienia, bo mokry mech dość nieprzyjemnie wciskał się w krasnoludzkie, kompletnie nieostonięte tu i ówdzie, ciało. Zawinięte wokół kostek porcięta krępowaty ruchy, a i tak ich właścicielowi udało się zrobić dwa kroki, nim rymnął jak długi u stóp nieżyjącego przodka. Ledwie upadł, a korzenie drzew ożyły i, sunąc leśnym poszyciem, oplątały członki leżącego. Zacisnęły się

wokół pasa, złapały w ciasne obręcze nadgarstki i stopy, by docisnąć leżącego do ziemi, nie pozwalając mu drgnąć.

– Kurwa! – wrzasnął Sodi i zaraz przygryzł wargę, przypomniawszy sobie, że dziadulo mu kiedyś za taką uwagę usta ługiem wyczyścił. Szarpał się więc przez chwilę w ciszy, ale ostatecznie Sodi to Sodi i w milczeniu za długo wytrwać nie potrafi. – Ruszcie no dupę, dziadulu, i pomóżcie! No! Dalej! Bo jak ta gałązka, co zaczęła lechtać już wy tam wiecie co, zacisnie się nieco, to nasz ród, kurwa, na mnie się skończy jak nic!

Idar stał oparty o potężny konar i nawet nie drgnął.

Korzenie zaciskały się powoli, z morderczą łagodnością, a Sodi bezskutecznie próbował odzyskać władzę nad ciałem. Strach przed pradziadem ustąpił pierwotnemu przerażeniu, a to zagłuszyło wszystko, łącznie ze świadomością snu. Przekleństwa płynęły wartkim strumieniem, wyrzaskiwane przez szamoczącego się krasnoluda.

– Myśl, młody, myśl – powiedział wreszcie starszy Yudherthardere. – Myśl!

Więzy docisnęły Sodiego do podłoża, całkowicie ograniczając ruchy. Ciasne obręcze korzeni nie pozwalały wziąć głębszego wdechu, więc krasnolud przestał krzyczeć.

– Myśl! – powtórzył Idar.

I Sodi pomyślał. Zacisnął usta, zamknął oczy, a potem wyszeptał jedno z zaklęć odziedziczonych po prababce. Czar świsnął głośno, w jednej chwili rozpuszczając drzewiaste pęta. Yudherthardere sapnął głośno, usiadł powoli i potrząsnął głową.

– Jedno, kurwa, dobre, że Tropiciel też śpi – wycharczał – to i flaków mi wyrwać nie próbuje przy czarowaniu. I że zaklęcie podziałało, choć we śnie... Dziwne. – Spojrzał na przodka i skrzywił się okrutnie. – Ale nie dziwniejsze od dziadula mojego ukochanego, co drzewo podpierał, zamiast wnusia ratować.

Idar wzruszył ramionami.

– Dziwne to by się, synku, zdało, jakby truchło twego pradziada leciało dupę ratować przeszlachtanemu nosicielowi Tropiciele i najznakomitszemu przyjacielowi Pierwotnego Maga – odrzekł, uśmiechając się krzywo. – A teraz weź no tę wielgachną sempiternę w troki i zabierz się do odczyniania uroku. No, chyba że ci się las podoba i wśród mchów przyszłość swą widzisz.

– I niby co? Sam se, kurwa, ze starożytnym czarem poradzę, co? – warknął Sodi. – Bo wy pewnikiem, dziadulu, ino będziecie gębę po próżnicy rozwierać.

– Ino nie po próżnicy, smarku jeden! Jakby mnie tu nie było, dalej byś pod urojonymi spódnicami gmerał!

– I dobrze! Tamte panny przynajmniej delicje mnie pod nos podtykały, a i w jedwabiach harce niejaki wyprawiały, a nie na zimno i wiatry leżć kazały i z czarami się mierzyć zmuszały... – zakończył nieco bez przekonania, ale za to z ogromnym rozżaleniem.

– Ty mnie tu wierszem nie gadaj, jeno do roboty się bierz! – Nestor Yudhertharderowskiemu rodu spojrział groźnie na wnusia, aż ten, chociaż przecież bojący nie był, a z Pierwotnym od lat podróżując, różne straszniejsze z pozoru rzeczy widział, cofnął się nieco. Otarł nos, zupełnie jak przed laty, kiedy dziadulo nad nastoletnim krasnoludzkim łbem lagą wywijał, i westchnąwszy cichuteńko, zapytał:

– To jak mam to zrobić?

Most otworzył się nad ziemią, wyrzucając młodą czarownicę, więc Likal uderzyła w podłoże ze sporym rozpędem. Nie zdążyła się obrócić czy jakoś zamortyzować uderzenia, więc rąbnęła twarzą w trawę. Upadek wypchnął powietrze z płuc dziewczyny, pozbawiając ją oddechu. Leżała zatem, nieco zamroczona, z trudem pojmując, co się dzieje. W oddali zaświergotał ptak, jakoś tak rozpaczliwie, i zamilkł. Gdyby nie ten krótki dźwięk, Likal bałaby się, że ogłuchła. Cisza wokół na pewno nie była dziełem natury. Dziewczyna usiadła bardzo powoli, a dopiero potem uniosła powieki. Spodziewała się zobaczyć Yasę i Sodiego, a przynajmniej któregoś z nich. Tak miało zadziałać zaklęcie. Tymczasem siedziała na wyschniętej trawie u bram nieznanego miasta. Zamrugnęła zdziwiona, ale nim zdołała przyzwyczaić się do widoku, ten zaczął się zmieniać. Uchylone jeszcze przed chwilą bramy zamknęły się z trzaskiem. Kamienie i trawa wokół murów drgnęły, a pomiędzy nich wysunęły się czarne, cienkie gałęzie. Rosły błyskawicznie, mknąc po ścianie otaczającej miasto. Na oczach młodej czarownicy białe dotychczas mury pokryła gęsta sieć krzewów, początkowo nagich, ciemnych i kolczastych, lecz, ledwie drgnienie serca później, rodzących gęste listowie, kompletnie niepasujące do ledwie wybudzonego z zimy krajobrazu.

Kiedy Likal wstawiała, pośród zieloności właśnie pojawiły się róże. Duże, soczyście czerwone i strojne, a tak piękne, że nawet przyzwyczajona do najurodzajniejszych kwiatów stolicy dziewczyna westchnęła w zachwycie. Nie mogąc się oprzeć widokowi, podeszła do magicznego ogrodzenia i dotknęła jedwabistych płatków.

Lodowaty ból wbił się w umysł czarownicy. Chociaż błyskawicznie cofnęła dłoń, nie przestała czuć mroźnego żaru wypalającego ścieżkę tuż pod skórą. Dziesiątki rozpaczliwych jęków, błagalne okrzyki i cisza... absolutna, acz bolesna cisza myśli jednego mężczyzny gwałtownie przyspieszyły oddech Likal. Zaciśnęła usta, by zapanować nad narastającą paniką. Wśród setek różnych głosów, zaklętych w płatkach róży, nie usłyszała choćby szeptu Yasy, a jednak poczuła jego cierpienie. Strach o nauczyciela zagłuszył inne uczucia. Dziewczyna ponownie wsunęła palce w kwiecie. Ból zaatakował z taką samą siłą. Zagryzła zęby i przywołała ochronne zaklęcie. Otuliło

myśli czarownicy, a potem wysunęło się z nich, by zaatakować czar raniący Likal. Bezskutecznie. Ten, choć już nie tak męczący, nieustannie blokował moc dziewczyny, kłusząc jak złośliwy owad. Zagniewana zacisnęła palce na płatkach róży... i zaraz je wyprostowała. Odetchnęła głęboko, a potem bardzo powoli i pieszczotliwie pogłaskała jedwabisty kwiat.

Zakłęcie splątania zsunęło się ze skóry czarownicy wprost w magiczną roślinę. Moc pierwotnego czaru, czaru Yasy, wstrząsnęła powietrzem. Zaczarowany krzew cofnął się gwałtownie, z głośnym jękiem, jakby setki uwieczonych w nim dusz krzyknęło z rozpaczą. Likal uśmiechnęła się zimno, a niebieskie oczy dziewczyny nabrały tego samego wyrazu, jakim jej nauczyciel zwykł straszyć przeciwników. Płonęły lodowatym blaskiem intonowanego coraz głośniejszego zaklęcia. Błękitny ogień rozlał się wreszcie poza tęczę, poza ciało czarownicy, szarpnął nią i, wzmocniony pospołu gniewem i strachem, uderzył w różany żywopłot. Lodowate płomienie lizały cienkie gałązki, niczym mordercza pieszczota sunęły wśród krwistej czerwieni kwiatów, łagodne i zabójcze jednocześnie. Oba zaklęcia walczyły zaciekle. Płomień to jaśniał, to niktł, przyduszany soczystą zielenią liści i czerwienią róż. Towarzyszył temu narastający wizm na przemian zmieniający się w krzyk rozpacz albo błagalny szept. Likal nie przerywała inkantacji zaklęcia. Coraz głośniejsze i głośniejsze. Rozwarte ramiona dziewczyny zdawały się trzeszczeć w stawach, jakby niewidzialna siła ciągnęła je w przeciwnych kierunkach. Do oczu napłynęły łzy, ale magiczny zaśpiew nie ustawał.

Wreszcie, zupełnie bez uprzedzenia, krzew się poddał. Błękitne płomienie wystrzeliły ku niebu, zmieniając barwę w złocisto-karminową. I ledwie kilka uderzeń serca później po gałęziach oplatających mury miasta pozostał jedynie osmalony cień na kamieniach.

Likal zachwiała się, ale nie upadła. Opuściła ręce. Przestały boleć tak samo niespodziewanie, jak znikła magia różanego krzewu. Wciąż jednak drżały jak w gorączce. Wyczerpana dziewczyna oddychała szybko, oparta o miejskie mury. Utrzymanie zaklęcia osłabiło ją, a przecież wciąż czuła cierpienie Yasy, rozpaczliwe poczucie osamotnienia dręczące opiekuna i potrzebowała siły, by mu pomóc. Poczekwała, aż oddech się uspokoi, a serce przestanie bić jak szalone, a potem powoli ruszyła w kierunku bramy.

Początkowo myślała, że nikt nie stoi na straży, ledwie jednak przekroczyła progi miasta, dojrzała żołnierzy leżących u wejścia. Podeszła ku jednemu i z zaskoczeniem zauważyła, że mężczyzna śpi. Oddychał regularnie i nawet uśmiechał się przez sen. Drugi ze strażników również śnił coś przyjemnego, bo chwilami chichotał, przewracając się z boku na bok.

Przez chwilę dziewczyna zamierzała obudzić żołnierzy, by oszczędzić kary, która zapewne im groziła. Kiedy już się pochylała, pomyślała, że obudzeni zechcą zapytać o

cel wizyty, a to zdecydowanie nie było jej na rękę. Poza tym Yasa nie lubił, kiedy podróżowała sama, a Sodi nieustannie ostrzegał ją przed obcymi mężczyznami. Cofnęła się więc, pozostawiając leżących w błogostanie, i pobiegła wąską uliczką w głąb miasta.

Miasto, tak jak i jego straż, pogrążone było we śnie. Biegająca czarownica zmarszczyła naraz brwi, uświadamiając sobie, że nie słyszy własnych kroków. Zwolniła nieco i tupnęła, jak sądziła, głośno. Nic. Głucha cisza, prawie bolesna dla słuchacza, żadnego miauczącego kota, szczekającego psa czy choćby bzykającego owada. Nawet szelestu wśród pustych ulic, na których co kilka przecznic leżał śpiący przechodzień.

Likal zatrzymała się gwałtownie. Znała twórcę zaklęcia, które uspiło miasto. Nawet bez Tropicielea pod skórą wyczuła moc, z którą już walczyła. Wtedy jednak jedynie wspierała Pierwotnego i Sodiego, teraz zaś musiała ją pokonać samodzielnie. A przecież czarodziej, kimkolwiek był, zdołał zwyciężyć jej dwóch opiekunów. Jakże inaczej mogła tłumaczyć ich nieobecność i, szemrzące nieustannie na granicy jaźni, cierpienie Pierwotnego. Zacisnęła pięści, potem je rozprostowała, aż długie palce wygięły się pod nienaturalnym kątem. Ból w dłoniach przywrócił spokój.

Yasa jej potrzebował, nie mogła się poddać.

Wysoko nad głową Sodiego słabe podmuchy wiatru pieściły listowie. Splecione gałęzie ocierały się o siebie z cichuteńkim pojękiwaniem, niczym pogrążone w miłosnych zmaganiach. Przez gęsty baldachim liści chwilami przebijała się migocząca wysoko na niebie samotna gwiazda. Zaraz jednak nikła w nieprzeniknionej ciemności rozkochanej gęstwiny.

Sodi przedzierał się samotnie przez gęste krzewy, co jakiś czas potykając się i przeklinając żałośnie to Yasę, to siebie, to szalonego młodzieńca, który zesał go w ten ciemny las, w niezwykle sposób odplatając za okazaną dobroć. Najbardziej jednak Sodi wyklinał – acz oczywiście głęboko, głęboko w duszy, tak by adresat, nawet wyobrażony, nie zdołał usłyszeć – na niedobrego dziadulo. Potykał się Sodi, a kiedy upadał w milczeniu, przesyłał piekielne, acz niestyszalne pozdrowienie Idarowi. Nie mieściło się w krasnoludzkim łbie, by dziadulo, ten sam dziadulo, który wytargał małego wnuka z dna Wykłej Jaskini, który sam jeden – jeśli jakiegoś tam grajka nie liczyć – dał radę smokowi, a i z jedną syreną... Co z tąż, Sodi tak całkiem pewien nie był, bo podkradł się w nocy do barwialni, kiedy dziadulo opowieściami raczył jedną szlachetną damę, a ta tak głośno chichotała, że smark nie wszystko usłyszeć zdołał... No więc się Sodiemu wierzyć nie chciało, żeby taki wielki wojownik, znów w najlepszych swych latach będąc, a i z rozumu słynąc, nie wiedział, jak się z opresji pomroczonej wykaraskać. Pewnikiem wiedział i po temu tak się pod sążnistym wąsem głupio uśmiechał, kiedy wnusia jego raz po raz krzaki po gębie czochrały. Sam Idar tymczasem

przemykał pomiędzy ciernistymi gałązkami, nietknięty i niematerialny. Duch jego to pojawiał się, to znikał, tak że ciernie jednego włoska na gęstej brodzie nie zburzyły.

Im dłużej przedzierali się przez las, tym gęściejsze były krzaki, a konary drzew potężniały, zostawiając między sąsiadującymi coraz mniej miejsca. Z coraz większym trudem Sodi przeciskał niedrobne przecież krasnoludzkie brzuszysko. Kiedy po raz kolejny, wciągając brzuch aż do bólu, ledwie przelazł między drzewami, zatrzymał się, dysząc ciężko, i spojrzał na przodka.

– Długo tak jeszcze będziem konarki pieścić?

Dziadulo uniósł tylko brew. Nagle drzewo, o które wspierał się Sodi, znikło i krasnolud ponownie rymnął na ziemię. Tym razem jednak nie zaklął. Przytulił policzek do mokrej ściółki i leżał bez słowa.

– Nie zaśniesz, smarku, we śnie – warknął Idar. – Podnieś dupę i porozmawiaj z szanowną wróżką.

– Jaką, kur... – zająknął się Sodi, siadając powoli. Wypolerowana podłoga nie była tak wygodna jak wysycietana liśćmi i igliwiewem ziemia. – Jaką wróżką?

– Tutejszą. – Idar wskazał kobietę krzątającą się w niewielkiej kuchni. Szczupła blondynka wydała się Sodiemu dziwnie znajoma. Zwłaszcza gdy uśmiechała się nieco ironicznie, tak jak teraz. Uchwyciła się pod boki, mrugnęła do starszego z rodu Yudherthardere, a potem kucnęła przy młodszym.

– Nie możecie się obudzić, panie Sodi? – zapytała, unosząc brew. – Potężne to zaklęcie, co nie? I Tropiciel nie chce pomóc? Bo nie chce, nie?

– A wy coście taka zadowolona? – burknął zezłoszczony krasnolud. Poderwał się, niemal przewracając dziewczynę. – Na co żeście, dziadulu mnie tu przywie...? – przerwał, bo po Idarze nie został ślad. – Jak, kurwa, żył, był bardziej pomocny – warknął niechętnie. – I czego tak zęby szczerzyta, ha? Ano nie mogę się obudzić. Szczyl ma moc, niech ja więcej Lubego Cyca od środka nie oglądam. Nie żebym narzekał, miluśkie mnie rzeczy zestał, zanim stary piernik – rozejrzał się nerwowo – znaczy dziadulo ukochany moją nieszczęsną sempiterną po borze wodził. Taaaakie miluśkie. No, ale było minęło, a czas by do żywych wrócić. Skoro pierdo... dziadulo ukochany kazał was pytać, to pewnie i pomoc potraficie, co nie?

Kobieta usiadła na zydelku i, nie przestając się uśmiechać w ten znajomy Sodiemu sposób, zatarła dłonie. Pomiedzy szczupłymi palcami zamigotały ogniki.

– Ano potrafię. Mojej mocy, jakeście go ładnie określili, szczyl używa, to i pewnie złamać bym ją potrafiła.

Sodi cofnął się, kiedy dotarł do niego sens słów czarodziejki.

– Bogowie najjaśniejsi – sapnął – wyście matula gówniary. Temuście taka znajoma się mnie...

Dziewczynyna pokiwała głową bez słowa. Płomyki jarzyły się potężniejącym światłem. Dłonie czarodziejki kreśliły w powietrzu skomplikowane znaki, to stykając się, to znowu rozłączając, a złociste skry płynęły w półmroku w ślad z nimi. Coraz szybciej i szybciej, gęstsze z każdą chwilą. Ruchy kobiety najpierw zamaszyste, z wolna stawały się coraz bardziej precyzyjne, a nakreślony jaśniejącym blaskiem znak z niewyraźnego, acz rozległego nabierał ostrości, jednocześnie malejąc. Wreszcie dziewczynyna zetknęła ręce. Powietrzem wstrząsnął huk, ogień wybuchł ku powale i zgasł.

– Macie, panie Sodi. – Wyciągnęła otwartą dłoń do krasnoluda, ale ten cofnął się nerwowo. – No, nie bądźcie dzieciuch! Chcieliście klucz do zaklęcia mojego syna, prawda? – Złocisty przedmiot połyskiwał, rozświetlając małą izbę. – Likal was przyzywa, słyszycie? Musicie jej pomóc. A potem, panie Sodi, potem ocalicie moje dzieci.

Yudherthardere zawahał się.

– Ale jak?

– Pierwotny wam pomoże. Powiecie mu... – Odetchnęła głęboko. Już się nie uśmiechała. – Powiecie, że to Orian. Yasa będzie wiedział.

– Ale...

– Bierzcie, Yudherthardere! – Głos czarodziejki stwardniał, a rysy nabrały ostrości. Złoty przedmiot wysunął się z dłoni, ale nim upadł, Sodi pochwycił go z nadszpodziewaną zręcznością. Czarownica uśmiechnęła się smutno.

I zapłonęła.

Ogień trawił ją powoli, z niekończącym się okrucieństwem. Potężne syczące języki lizały i gryzły, pochłaniając kawałek po kawałku. Kobieta krzyczała rozdzierająco, śmiertelnie. Walczyła z płomieniami z dzikim zapamiętaniem, magia i natura starty się w gwałtownym pojedynku.

Oszolomiony Sodi dopiero po kilkunastu uderzeniach serca rzucił się na pomoc. Ledwie jednak drgnął, płomień zgasł, zastąpiony czerniejącym szkieletem, by po kolejnej chwili rozsypać się u stóp krasnoluda. Yudherthardere kucnął i z niedowierzaniem sięgnął ku kupce popiołu. Nie dotknął go jednak, lecz szybko cofnął rękę. W zaciśniętej dłoni wciąż czuł chłód złotego kluczyka, ruszył więc na poszukiwanie drzwi, do których będzie pasował.

Likal rzeczywiście przyzywała Sodiego. Nie przestawała w myślach wołać tak jego, jak i drugiego z opiekunów. Oczywiście imię Yasy padało znacznie częściej. Ostatecznie od czasu wiążącego czaru, którym potraktował ich krasnolud, dziewczynyna dość często współodczuwała mentora. Dlatego też, biegnąc wąskimi uliczkami miasta w kierunku pałacu i niczym mantrę powtarzając namierzające zaklęcie, dwukrotnie częściej używała w nim imienia Pierwotnego. Chwilami nie czuła go w ogóle, ale

bywało, że uderzenie smutku prawie ją paraliżowało. Przyspieszała wtedy, jednocześnie chcąc uciec od tego uczucia i dotrzeć do jego źródła.

Znalazła Yasę bez trudu. Spał w nienaturalnej pozycji, z głową złożoną na podnóżku tronu tej samej piękności, która rozdrażniła Likal przed kilkoma dniami. Teraz dziewczyna ledwie na nią zerknęła. Przygryzła wargę i uklękła przy nauczycielu. Nie bardzo wiedząc, co robić, przez kilka chwil wpatrywała się w ściągnięte rysy Pierwotnego.

– Panie Yaso – szepnęła wreszcie. – Obudźcie się, panie Yaso. – Głos dziewczyny zadrzał, zaśpiewał, uniósł się i opadł, delikatnie jak słodka zapowiedź pocałunku. Głębokie nuty wibrowały wśród ciszy, jedyny dźwięk, jaki zdołał ją złamać. Jeszcze nie było w nim magii, żadnego świadomie użytego czaru, a jedynie naturalna moc Likal. To ona pulsowała w głębokiej ciszy, w zapamiętaniu powtarzając imię protektora. Bezskutecznie. Yasa nawet nie drgnął.

Czarownica przysunęła się i, po krótkim zawahaniu, musnęła śpiącego. Nim jednak jej palce poczuły chłód skóry Pierwotnego, Likal, pomna bólu, jaki sprawiła jej magiczna roślina u bram miasta, uruchomiła potężne zaklęcia ochronne. Yasa drgnął niespokojnie. Rzęsy mężczyzny zatrzepotały lekko, przez chwilę walcząc z czarem, by ostatecznie poddać się i ponownie opaść.

– No, panie Yaso – szeptała dziewczyna, delikatnie kładąc obie dłonie na skroniach maga – ruszcie się. Pomóżcie mi trochę. Nie dam rady sama.

Zacisnęła usta i zmrużyła oczy. Ciężkie czasy wymagają ciężkich prób. Zebrała więc myśli, skupiła się aż do bólu, przygryzając usta, póki nie poczuła słodkiego smaku własnej krwi. Dopiero wtedy, nie odrywając dłoni od protektora, zaintonowała zaklęcie wejścia.

Uderzony pierwotnym czarem sen ledwie uchylił zasłony. Uniosły się na moment, ciężkie mrokiem i emocjami władającymi śpiącym. Na króciutkie drgnienie powieki pozwoliły Likal zajrzeć w umysł Yasy zamknięty w zapętlonym marzeniu. A potem, opadłszy, brutalnie wypchnęły czarownicę. Dziewczyna cofnęła gwałtownie rękę. Odetchnęła z trudem, a powstrzymywane łzy zapiekły ją pod powiekami. Kiedyś, wiele dni temu, Sodi powiedział jej, jak to było z żoną Yasy i jego pierworodnym. Teraz zaś, kiedy zobaczyła zaklęte w sen wspomnienie, wrażliwe dziewczęce serduszko załkało współczująco.

Jednakże Likal miała dwóch opiekunów i czerpała od obu, więc po chwili pojawił się yudherthardrowski zdrowy rozsądek. Otarła nos, wstała i krzyknęła:

– Ruszcie no tu dupę, panie Sodi, a chyżo!

Kiedy zaś żadne ciężkie kroki tudzież pełne przekleństw utyskiwania nie dobiegły jej uszu, dziewczyna ponownie wyszeptała zaklęcie lokalizujące. Tym razem jednak

używając tylko imienia krasnoluda.

Sodi usłyszał słowa dziewczyny, jakby wyszeptano mu je do ucha. Przedzierał się właśnie przez gęsto rosnące krzewy, próbując uchronić swoje słynne co nieco przed uderzeniami cierniowych gałązek. Przeklinał przy tym, rzecz jasna, jak tylko Yudherthardere potrafił. Tym bardziej że mimo świadomości snu intensywnie odczuwał każde trząśnięcie. Słowa Likal wykrzywane wprost w zmęczony snem umysł zatrzymały potok inwektyw i samego krasnoluda.

– Dyc, kurwa, ruszam, nie?! – Wbrew deklaracji właśnie w tej chwili nawet nie drgnął. – Ino ten twój braciszek, niech mu nigdy żadna panna już my tam wiemy czego nie pomaca, to wypuścić mnie nie chce. Się chłopina znać przywiązał do mojej przewielebnej osoby, dziwne nie jest, nie? – Rozejrzał się, jakby szukając potwierdzenia swoich słów, że jednak nikogo w wysnionym lesie, prócz niego i gęstniejących krzaków, nie było, Sodi pokręcił głową i krzyknął: – Weź no, panna, pomóż trochę!

Namierzające zaklęcie zaprowadziło Likal w podziemia. Weszła niechętnie do mrocznego, obrzydliwie wilgotnego, ale i w jakiś nieuchwytny sposób pełnego duchoty pomieszczenia. Ściany ciasnego korytarza zdawały się zbliżać do biegnącej dziewczyny, zwężając powolutku, acz nieubłaganie. Żagiew przygasała, ledwie żarząc się w dłoni czarownicy. Ciemność potężniała. Likal stanęła i rzuciła szybki czar. Światło rozbłysło, oświetlając podziemia. To bynajmniej nie przydało lochom uroku, a jedynie podkreśliło okropność tego miejsca. Dziewczyna sapnęła, ale ruszyła dalej, bo wstęga lokalizującego czaru szarpnęła ją za rękę.

Znalazła Sodiego śpiącego jak cała reszta mieszkańców. W przeciwieństwie jednak do Yasy, krasnolud wiercił się we śnie, młócił wielkimi łapami na wszystkie strony, pojękiwał, mamrotał pod nosem, sapał... Czarownica stanęła w niewielkiej odległości od niego i uśmiechnęła się, porównawszy obu opiekunów. Cóż, nawet w magicznym śnie Sodi pozostawał najbardziej hałaśliwym mężczyzną, jakiego znała.

– Dobra, panie Sodi – szepnęła, odsunawszy się jeszcze bardziej. – Was to pewnie obudzić nie zdołam, ale tego tam, w waszej głowie, powinno się udać. Może i uśpiony, ale zawsze to przecież Tropiciel. Jak go obudzę, to już on was z mocy czarownika wyszarpie. Teraz się ino trzymajcie.

Splotła palce w znak wzmocnienia. Potem przykucnęła i, obłożywszy je najpierw granicznymi zaczarowanymi murami, by nie wybić całego miasta, zaintonowała pierwotne zaklęcie zrównania. Ściany lochów zadrżały, podłogi poruszyły się. Przez

opustoszałe, pogrążone w ciszy podziemia przetoczył się potężny grzmot. Wstrząsnął każdą z powierzchni i wyrwał kilka kamieni z wilgotnych ścian, kiedy, płynąc majestatycznie jak powolna niewidzialna fala na nieistniejącym oceanie, przesuwał się, zataczając coraz mniejsze kręgi wokół Likal i Sodiego.

Krasnolud zamarł na chwilę. Ukryta, śpiąca moc Tropicielea warknęła głucho, gwałtownie obudzona. Głos młodej czarownicy wzniósł się o ton, a potem o kolejny. Magiczne alter ego Sodiego szarpnęło nieprzytomnym. Wstęgi Tropicielea wyrwały się, by szukać źródła czaru. Dziesiątki barwnych pasów mknęło w różnych kierunkach, a dotarłszy do granic stworzonych przez Likal, odskakiwało boleśnie ranione. Pasma po paśmie, wracały do śpiącego, obwiązując go... by w końcu szarpać. Raz po raz. Potrząsany przez Tropicielea Sodi podrygiwał na mokrej podłodze, jęcząc coraz głośniej i głośniej, i głośniej...

– Ku... uuuuuu... rwa!!! – wykrzyczał wreszcie, otwierając oczy.

Likal błyskawicznie cofnęła zakłęcie.

Sodi siedział nieco zdezorientowany i przecierał wielki nochał. Wycierał odruchowo, nie zauważywszy, że na wierzchu dłoni rozmazuje krew.

– Caliście, panie Sodi? – zaniepokoiła się Likal. – Musiałam Tropicielea...

Mężczyzna zamrugął, przytomniejąc wreszcie.

– Ech, panna, macie parę w tych chudziutkich łapkach. – Wytarł zakrwawioną rękę w spodnie i wstał z trudem. – Takie liche niby nic, a jak czarem pierdolnie, to kiszki człekowi nosem wyskakują i jak smarki dyndają. – Dla podkreślenia owej opinii wytargał zza paska pięknie haftowaną chustkę i hałaśliwie wysmarkał w nią kinol. – Dobra, panna, znaczy co? Yasę będziem tera wydobywać? Bo skoroście sama tak przesłodka mnie do przytomności sprosili, znaczy Yasa gdzieś tam ciągle słodko śpi, co?

Dziewczyna pokiwała głową w milczeniu i, nie oglądając się za siebie, pobiegła ku wyjściu z podziemi.

– Taaa, ciekawe, czy mnie tak ochoczo leciała budzić. – Krasnolud westchnął i ruszył za nią.

Likal wbiegła pierwsza do komnaty, w której zostawiła śpiącego Yasę. Jeszcze w progu obejrzała się, czy krasnolud zbytnio w tyle nie zostaje. Dopiero potem popatrzyła na śpiącego opiekuna. I zatrzymała się gwałtownie.

Nad leżącą obok Yasy nieprzytomną pięknnością pochylał się młodzieniec. Był niewysoki, niższy niż Likal, i bardzo szczupły. Podarte i brudne odzienie zwisało z kościstego ciała, a rozczochrane, kiedyś zapewne jasne, a teraz posklejane ciemną

mazią włosy przywarły miejscami do wychudzonej twarzy. Usłyszawszy kroki, chłopak odwrócił się i, podniósłszy głowę, spojrział na czarownicę. W przerażonych niebieskich oczach zamigotało takie samo zaskoczenie, jakie malowało się we wzroku dziewczyny.

– Wam to się zawsze wydaje, panna, że jak gazela, co nic ino... – Sodi przerwał w pół zdania. Zatrzymał się, a potem jakoś tak całkiem instynktownie i, niezależnie od obietnicy, którą kiedyś złożył Pierwotnemu, że zawsze Likal chronić będzie, stanął za dziewczyną. – Tak, znaczy rodzinka prawie w komplecie, co nie?

Młodzi nie zwracali na niego uwagi. Każde patrzyło w niemal zwierciadlane odbicie naprzeciwko siebie. Chłopiec dotknął policzka, a Likal odruchowo zrobiła to samo. On postąpił krok do przodu, ona również. Oboje jednocześnie przekręcili głowę w jedną, później w drugą stronę.

– Ni ma co się tak gapić, gówniarze, ście podobni. Dyc tak bywa, jak bliźniaki... – przerwał magiczną chwilę Sodi.

Jego głos przeciął niewidzialne nici łączące rodzeństwo. Brat Likal odskoczył. Spojrział z mieszaniną wściekłości i strachu na krasnoluda, a potem ponownie na dziewczynę. Niczym zaszczute zwierzątko uniósł górną wargę i pokazał zęby, wydając głuche warknięcie. Cofał się powoli i nie przestawał warczeć, aż potknął się o leżącego maga. Nie zdołał utrzymać równowagi. Upadł, ale zaraz wstał. Strach i gniew osiągnęły apogeum. Chłopiec zmrużył oczy.

– Nie! – wrzasnęła Likal. Czuła moc brata. Pamiętała czar, który przywoływał. Skoczyła ku niemu, jednocześnie intonując ochronne zaklęcie.

Bliźniacze potęgi starły się gwałtownie. Huk zatrzęsł posadami pałacu. Osłonięty przez Likal krasnolud padł na podłogę, powalony przez wyjącego pod skórą Tropiciele. Śpiący Yasa nawet nie drgnął. Żaden z mężczyzn nie widział straszliwego pojedynku równych sobie czarodziejów. Likal już nie biegła, a z trudem przesuwiała się w kierunku brata. Ten zaś kolejny raz próbował rozpętać piekło, ale nie potrafił, wstrzymywany potęgą siostry. Między rodzeństwem strzelały błyskawice, huczał wiatr, ogień rozpalał się i gasł, sypały skry. Wszystko to na niewielkiej powierzchni komnaty, ogrodzonej ochronnym zaklęciem Likal. Chłopak ciskał ognistymi kulami, a siostra odbijała je, acz nie bez trudu. Raz czy dwa nie zdążyła z osłoną i ogień osmalił jej skórę. Po każdym odbiciu Likal posuwiała się o krok ku bratu. W końcu zostało tylko wyciągnąć rękę... Więc to zrobiła.

Pierwszy dotyk rodzeństwa raptownie uciszył szalejące w komnacie żywioły. Właściwie zabił wszystkie dźwięki. Świat jakby naraz zamilkł, a czas się zatrzymał.

– Likal, Kalien, Likal, Kalien – rozszepotały się ściany. – Likal, Kalien, Likal, Kalien – powtarzały meble, szumiały nieruchome drzewa za otwartymi tarasowymi drzwiami. – Likaaaal, Kaaalien – zaśpiewały nieistniejące ptaki.

Obolały krasnolud uniósł głowę w tej samej chwili, w której rodzący się wir światła poderwał rodzeństwo z podłogi. Chłopiec krzyknął. Wyrwał się Likal. Szarpnął, ale blasku nie zdołał pokonać. Most wciągnął go, a potem sięgnął po Likal. Światło opasało dziewczynę jak oślepiający materiał i łagodnie, z czułością pociągnęło ku owalnemu jaśniejącemu przejściu.

– Yasa! – krzyknęła czarownica. Próbowała zaintonować zakłęcie...

I kiedy Sodi sądził, że nic nie zdoła jej zatrzymać, bo Most muskał już włosy dziewczęcia, przez otwarte na taras drzwi wpadł złoty smok i wytrącił Likal z mocy portalu.

VII

S atw

Stara kobieta wstała chwiejnie i odwróciła się ku żołnierzowi w barwnym mundurze. Dłonią zwiniętą w kułak przetarła nos i policzek. Potem uniosła tę samą pięść nad głowę i pogroziła mężczyźnie. Bez słowa czy jęku. Machała ręką w gniewie i żalości, strzepując jednocześnie proch ze zgrzebnej sukieneczyny. Bezgłośnie łzy płynęły ze zmrużonych oczu, żłobiąc ślady wśród kurzu. Żołnierz skrzywił się z wyższością i zawrócił ku miejskim bramom. Kobięcina tymczasem usiadła przy trakcie, podciągnęła kolana pod brodę, a potem pochyliła głowę jeszcze bardziej, wtulając zapłakaną twarz w brudną tkaninę odzienia.

Nie zostało jej już nic, mogła więc usiąść i czekać na koniec.

Słońce chyliło się ku zachodowi, czerwieniąc horyzont, a Sodi co rusz liczył kroki wiernego kuca. Jakoś jednak każdy kolejny nie sprawiał mu aż takiej przykrości, jakiej winno się spodziewać, znając szlachetnego krasnoluda i jego niechęć do podróży w siodle. Przeciwnie, Sodi rozsiadł się wygodnie na grzbiecie Doru i podśpiewując wesoło pod nosem, tak cicho, że nawet jadąca tuż obok Likal nie słyszała, wpatrywał się w plecy wiodącego ich Pierwotnego Maga. Ot, szczęście. Kiedyś, kiedy jeszcze smarkiem będąc, nudził się niepomiernie, dostał od dziadula deszczułkę z obrazkiem. Idar połamał ją na drobne kawałki, a potem obiecał wnukowi łakocie, jeśli poskłada obrazek do kupy. Och, Sodi wciąż pamiętał smak tamtego lukrowanego piernika i radość, kiedy ostatni kawałek wskoczył na miejsce. Tak było i teraz. Likal wróciła, znów podróżowali we trójkę, więc wszystko się poukładało. Jak w tamtej deszczułce. To tak uradowało krasnoluda, że nawet nie wypytywał dziewczyny, skąd się wziął złoty smok... acz, fakt, prawie popuścił, kiedy gad wypchnął pannę z tego magicznego korytarza. Gdyby Sodi już na ziemi nie leżał, pewnie trzasnąłby o nią jak nic. Wielgachne smoczysko przypomniało mu inne, do którego po odbiór Yasy dzieciaka zmierzali, jeno większe chyba od Deidghe było. Osłoniło przed magią dziewczynę potężnymi skrzydłami, fuknęło, dmuchnęło, pewnie i coś tam poczarowało, bo wir nagle zgasł.

Ech, wielki jak góra gad śmignął przez okno, kiedy ino pan Yasa oczyska otwarł. Ani się nie przedstawił, ani nic nie rzekł. Znaczy na głos i do Sodiego, bo Yudherthardere dałby sobie coś uciąć, znaczy nie żeby zaraz coś cennego czy niezbędnego, ale jednak dałby sobie coś uciąć, że z Likal to smok pogwarzył w myślach. Panna się z początku krzywiła, ale odkąd gadzina odleciała, dziewczucha co rusz w niebo spogląda i czegoś tam wypatruje.

Nie żeby Sodiego interesowało, dokąd smok poleciał albo czego spieprzył, kiedy Pierwotny do przytomności wrócił, chociaż przecie budzić go pomagał. No i tęsknić też za złotoluskim nie zamierza. Tak se tylko Sodi дума, że panna to dziwne znajomości zawierała, kiedy ino z oczu ją stracili.

W ogóle dziwne rzeczy ostatnio się działy. No, nie żeby wcześniej to komitywa z Pierwotnym i jego podopieczną o nudę krasnoluda przyprawiały. Co to to nie. Teraz jednak jeszcze dziwniej niż zwykle. No bo przecie wciąż czuł w sakiewce złoty kluczyk podarowany przez spopieloną matkę gówniary. Niby we śnie go obdarowała, a przecie artefakt nie zniknął z przebudzeniem. Dziwna magia, nie ma co, dziwna. Takiej Tropiciel nie znał. Nawet przecie nie jęknął, drzemiąc pod krasnoludzką skórą, zamiast warczeć mocą kluczyka raniony.

Sodi odruchowo sięgnął do mieszka, by dotknąć magicznego przedmiotu. Tak jak się spodziewał, Tropiciel nie drgnął, mimo że artefakt przyjemnie chłodził palce krasnoluda. Niewielki, o obłych kształtach, jak dziesiątki innych kluczy, które wcześniej trzymał Sodi.

No dyć, dziwne. A i pan Yasa jakiś taki... Nie żeby wcześniej duszą towarzystwa bywał, ale teraz milczący i ponury. Jakby wcale do przytomności wracać nie chciał. Jedzie tam, przed nimi, sztywny, z opuszczoną głową, zadumany tak strasznie... Najpierw to się Likal martwiła, że zły na nią, ale rzekł, że dobrze zrobili. Ino smutny przy tym był... aż żał patrzeć. Trochę tak, jakby wlaź w te swoje myśli i tam został.

– Panie Sodi. – Młoda czarownica przerwała krasnoludowi rozmyślenia. Przez ostatnie kilka godzin siedziała w siodle cicha i zamyślona, a krasnolud chociaż nie umiał czytać w myślach, rozumiał, że ilość wrażeń trochę dziewczynę przerosła. Teraz podopieczna Pierwotnego jakby naraz się obudziła i zbliżywszy swoją klaczkę do kuca, uśmiechnęła się przymilnie i powiedziała:

– A co żeście panu Yasie tak do ucha szeptali, tam w pałacu?

– Jakbym chciał, cobyś panna wiedziała, tobym pewnikiem głośno gadał, nie? – odpowiedział łagodnie Sodi.

Fuknęła pod nosem, ale niezrażona mówiła dalej.

– A bo nie wiem, czyście zauważyli, ale droga do Itru została za nami. Jaceście tylko poszeptali z panem Yasą, to on zaraz na koń, nawet miasta nie próbował budzić. I

zamiast do Itru, na zachód nas prowadzi.

– Ot, znalazła się znawczyni map.

– Głupia nie jestem. Od wielu dni szliśmy ku wschodowi słońca, a teraz słońeczko czerwienieje przed nami.

– A skąd to, panna, wiesz? Przecie zamiast przed się, co rusz łepetynę zadzierasza i w niebo spojierasz. Ptactwa jakowego szukasz? – Krasnolud zachichotał złośliwie.

Likal zarumieniła się i szybko odwróciła głowę.

– A może tego waszego złotołuskiego gada, co to was z opałów wytargał? Zostawić smarka na dni kilka, a już jakieś latawce za spódnicą tego tu się uganiają.

– Cichajcie! – warknęła dziewczyna, ale za późno. Niezainteresowany dotychczas mag zawrócił konia i spojrzął na oboje dyskutujących.

– Likal? – powiedział miękko, a ona, chociaż nie sprecyzował, wiedziała, o co Pierwotny pyta.

– Pyri jest przyjacielem.

– Smok?

– Złoty smok, panie Yasa – wtrącił się krasnolud. – A taki dziwnie podobny... do wy już tam wiecie kogo.

– Pyri jest przyjacielem – hardo powtórzyła dziewczyna. – Uratował mnie dwa razy, a i pana Yasę obudzić pomógł. Gdyby nie jego magia, dalej byście spali – zwróciła się do maga. – Moja i Tropicieła moc na nic się nie zdała.

– Dwa razy?

– A bo w lesie, a potem jak ten wir... – Buzia Likal naraz się otworzyła i wszystkie żale, wstrzymywane długo, popłynęły rwącym nurtem. – Bo jak tam, w karczynie, tę pannę zobaczyłam, jak do waszego pokoju ją prowadzą... taka mnie złość wzięła, żal taki i złość, że jak później znów w lesie... no to wsiadłam na konika i pogalopowałam przed siebie. Wy przecież wiecie, że złość... no, wiecie, prawda? No to żem uciekła, żeby, jakby co, ludzi blisko nie było. I jak tak pędziłam, wpadłam w ten magiczny las, koń się potknął i się na takie patyki nabiłam. No i Pyri mnie znalazł. Zaniósł do chaty i opatrzył, i prawie sam zginął, bo chata przeciw niemu... A potem do wody wpadłam i Zerderan mnie uwięził, a Pyri przyleciał, żeby ratować. Tylko go ta głupia suka z rybim ogonem... I jak ona na mnie patrzyła... I znowu złość taka. I żal... Ale już mu wybaczyłam, bo do pałacu za mną... I mnie wyciągnął. Z wiru mnie wyciągnął... – wyszeptwała, kończąc.

– Jasna dupa Grubej Loli – Sodi z mieszaniną szacunku i zaskoczenia wpatrywał się w dziewczynę – nic żem nie pojął, ale takiej prędkości w gadaniu to nawet moja, niech ją bogowie na swym łonie dopieszczają, babunia nie miała. Zrozumieliście coś z tego, panie Yasa?

Pierwotny bez słowa skinął głową. Podjechał bliżej, a widząc szklące się w oczach Likal łzy, zacisnął usta i, zsunąwszy się z siodła, ściągnął z niego dziewczynę. Zawahał się, ale tylko na moment, a potem przytulił podopieczną.

– Niech ci będzie – wyszeptał. – Pyri jest przyjacielem.

– Taaa, kurwa, wielgachnym, łuskowatym, smoczym przyjacielem – burknął Sodi. – Se go brać będzie na spacer, razem z tą kulawą kozą, co w jej łóżku u królowki sypiała.

– Nimfetka spała przy łóżku! – Likal odsunęła na chwilę twarz od kurtki opiekuna, ale nawet nie popatrzyła na Sodiego.

– Bo do łóżka to pewnie panna weźmiesz nowego przyja...

– Yudherthardere!

– Noooo! – Krasnolud wyszczerzył zęby do zagniewanego maga. – Jeszczem nie widział, żeby ktoś tak szybko moje miano wyrzekł. Dobra, skoro tak ładnie prosicie – przestał się uśmiechać pod lodowatym spojrzeniem Yasy – zamknę jadaczkę. To jak? Jedziem dalej czy też mam zleźć z kuca i do was dołączyć?

Likal niechętnie puściła trzymane dotąd z całych sił rękawy kurtki czarodzieja i uniosła głowę, żeby na niego popatrzeć. Przez chwilę, krótszą niż mgnienie powieki, wyobraziła sobie taką scenę, co to o niej czytała w jednej książce, w Dolinie Serbithów. Taką z przepięknym młodzianem i uroczą, zwiewną panienką... Tymczasem młodzian, acz faktycznie niebrzydki, patrzył na nią z marsem na czole, a nie namiętnością w czarnych oczach. Panienska zaś, miast wzdychać i mdleć z podniecenia, z przerażeniem poczuła, że z nosa cieknie jej coś kompletnie nieromantycznego. Odskoczyła gwałtownie, wycierając nos, bynajmniej nie jak bohaterka romansu.

– A gdzie właściwie jedziemy? – zapytała, nie patrząc na maga.

– Tam. – Yasa wskazał za jej plecy.

Wszyscy troje spojrzeli we wskazanym kierunku. Na horyzoncie majaczyły miejskie mury, różowiejące w zachodzącym słońcu. Górowały nad nimi dwie strzeliste wieżyczki i kilka dachów o dziwnie intensywnej czerwonej barwie. Z kilkunastu kominów unosiły się wąskie strużki dymu, bieląc błękit nieba. Gród był niewielki, położony przy królewskim trakcie i otoczony lasem.

– Kolejne zadupie. – Sodi westchnął. – Raz byśmy się wybrali do jakiego zanego miasta. Takiego Oślogównianowa, na ten przykład. Wiekiśmy nie nocowali w porządnej gospodzie. Nic ino twarde leża i kosmate okrycia.

– Coś mi mówi, Yudherthardere, że na tutejszą gościnę narzekać nie będziecie – zauważył Yasa bez cienia uśmiechu, pomagając Likal dosiąść klaczy.

– A skoro tak, to jedźmy! – Rozpromienił się krasnolud i spał kuca. Doru parsknął gniewnie, ale posłusznie ruszył przed siebie.

Likal też pokłusowała w kierunku miasta. Yasa patrzył za nią przez chwilę w głębokim zastanowieniu. Wreszcie poszedł w ślady towarzyszy.

Czarownica błyskawicznie wyprzedziła krasnoluda. Ostatecznie jej klaczka miała dłuższe nogi niż przysadzisty kuc. Wiatr rozwiewał jasne włosy dziewczyny i szarpał połami peleryny. Miał też zapewne kojący wpływ na uczucia Likal, bo łyzy obeschły, a twarz dziewczyny rozpromieniła się.

– Dalej, panie Sodi! – wrzasnęła, odwracając głowę. – Ruszcie się!

– Trza z Yasą pogadać, coby Doru jakie skrzydła wyczarował – mruknął pod nosem Sodi. Jego jednak też ogarnęła radość. Próbował zapanować nad uśmiechem, ale jakoś nie potrafił. Zachichotał głośno i pogonił kuca. – Czeka, panna! – krzyknął i ze zdumieniem zauważył, że dziewczyna posłuchała. Zwolniła, a po chwili się zatrzymała.

– Nie no, panna, aż tak nie trza... A wy co tu robicie? – Sodi też zatrzymał kuca tuż przy starowince. Kobieta siedziała na kamieniach i kiwała się w przód i w tył. Była brudna i wychudzona, a odzienie, miejscami porwane, szare i zbyt cienkie jak na początek wiosny, wisiało na kościstym ciele. Nie zareagowała na pytanie, nawet nie podniosła wzroku.

– Co z wami, babciu? – Likal zeskoczyła z konia i kucnęła przy kobiecie. Łagodnie dotknęła ręki staruszki, ale ta wciąż nie reagowała. Kiwała się nieprzerwanie. Przód, tył, przód, tył, powolnymi, płynnymi ruchami, nie zatrzymując się ani na chwilę. Czarownica wzmocniła dotyk. Rzęsy kobiety zdrząły, uniosła powieki i spojrzała na dziewczynę.

– Ghuuuuuu – wybełkotała. – Ghuaaaau! Ghuaaaau! – wykrzyczała, po czym padła zemdlona.

– Ot, bida – stwierdził Sodi i również zsiadł z kuca. – Pewnie jakaś wariatka, co to doma krzyżem była, no to i ją wypchnęły za drzwi dziateczki kochane. Nic to. Zostawić tak nie można, bo grzech starowiny nie poratować. Co myślicie, panie Yasa?

Pierwotny przyglądał się kobiecie.

– Likal, wyjmij z sakwy swój stary płaszcz – powiedział po chwili. – Okryj ją. Zabierzemy staruszkę do miasta. Tam znajdziemy kogoś, kto się nią zajmie.

Okrywszy nieprzytomną kobietę, Sodi posadził ją przed sobą w siodle i razem, już powoli, ruszyli ku miejskim bramom.

Rzeczywiście gospoda, do której przybyli, przypadła Sodiemu do gustu. Jadło podano zacne, napitku nie brakowało, a i izby były czyste, a nawet krasnolud mógł się pokusić o stwierdzenie, że bogate. Z przyjemnością dotykał miękkiej pościeli. Co prawda, wszystkie tkaniny użyte w miasteczku, wedle jakże wyrafinowanego smaku Sodiego,

grzeszyły nadmierną intensywnością barw. Jednakowoż gładkości odmówić im nie można było.

Gospodarz najwyraźniej też nie zaczynał w swoim fachu, bo błyskawicznie oceniwszy gości, zarzekał się, że oddaje im najlepsze pokoje, a i służkę wysłał, coby jasnie wielmożnym paniom usługiwała.

Przygarnięta przez nich staruszka odzyskała przytomność ledwie stanęli przed gospodą, a Sodi zsunął ją z siodła w ramiona Yasy. Szarpnęła się i zaczęła krzyczeć, więc mag rzucił szybkie zaklęcie, zerkając przepaszajaco na krasnoluda. Tropiciel warknął, ale, że Yasa osłonił wreszcie aktywny czar, po chwili i alter ego krasnoluda przysnęło. Staruszka posłuszna magii wykonywała polecenia; zjadła, pozwoliła się umyć służce i wreszcie położyć do łóżka. Zasnęła, ledwie przyłożywszy głowę do poduszki.

– Pytałam tutejsze dziewczęta – Likal wskazała wychodzącą postugaczkę – ale nie znają naszej znajdy. A kiedy próbowałam wejść w myśli...

– Są zbyt postrzępione, zbyt chaotyczne – dokończył za nią Pierwotny. – Nie da się z nich niczego odczytać.

– Właśnie. Zupełnie jakby... – zerknęła na kobiecinę, a potem ponownie na mężczyznę – jakby ktoś w nich pogmerał.

Yasa skinął głową. Przez chwilę milczał, patrząc z zadumą na Likal.

– Jesteś coraz bystrzejsza – powiedział wreszcie. – A twoja moc... Będziesz kiedyś potężniejsza niż ja, wiesz?

Roześmiała się, ale jakoś niepewnie.

– Jak to, panie Yasa? Przecież wy... no, jesteście Pierwotny.

– Właśnie, Likal, jak?

Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć podopiecznej, ale zaraz cofnął i wyszedł bez wyjaśnienia. Likal zaś długo stała i patrzyła w drzwi, za którymi zniknął.

W pałacyku na wzgórzu pojawiły się pierwsze płomyki świec. Jeszcze słabe, delikatne, powoli nabierały siły. Do zmroku było jeszcze daleko, ale mieszkaniec tego jednego pokoju nie lubił ciemności, więc służba rozświetlała pomieszczenie długo przed zachodem. Mieniło się teraz dziesiątkami świateł w kolorowych szybkach witraży, zaklęte bez magii.

Szwaczki posłusznie wybiegły z komnaty, zostawiając Teurę samą. Stała przy oknie i przez chwilę patrzyła na tańczące barwy w królewskich oknach. Kiedy zobaczyła cień władcy, przeniosła wzrok na słońce gasnące między drzewami. Lubiała ten moment, kiedy wszystko zamierało w oczekiwaniu. Zawieszenie między dniem a nocą. Ostatnie

promienie jasności walczyły z nadchodzącym mrokiem, bez nadziei na wygraną. Zdecydowanie lubiła te kilka chwil, nim ciemność zawładnie okolicą i tylko ogień kaganka zdoła ją rozjaśnić.

– Zawsze miałaś poetycką duszę.

– A ty zawsze wchodziłeś w nią bez pukania. – Nie odwróciła się, mimo że czuła przyspieszające tętno. A może właśnie dlatego. Niechciany rumieniec, nad którym kompletnie nie potrafiła zapanować, rozlał się na policzkach, a przecież wciąż było jasno i Yasa wciąż mógł go zobaczyć.

– Wolałabyś, żeby tego nie robił?

– Nie! – No i tyle z udawania trudnej do zdobycia.

Mag roześmiał się cicho, a kiedy kobieta wreszcie się odwróciła, rozłożył ramiona. Wpadła w nie ochoczo, zarzuciła ręce na szyję mężczyzny i uniosła głowę w oczekiwaniu. Ledwie moment, a Yasa zamknął ją w objęciach i pocałował. Nie słodko i z czułością, ale tak jak lubiła: drapieźnie, gwałtownie. Dłonie czarodzieja wędrowały po plecach, a potem zsunęły się na pośladki.

– Porozmawiamy? – zapytał, odrywając na moment usta od warg Teury.

Warknęła głucho, przylgnęła do mężczyzny, ocierając się zapraszająco. Kiwnął głową, bez słowa. Usta ponownie się złączyły, porywczo, niemal boleśnie. Dziewczyna chwyciła rękę kochanka i wsunęła ją między swoje nogi. Jęknęła głośno, czując natarczywe palce, a potem żałośnie, gdy zawróciły. Otworzyła oczy, bo Yasa lekko się cofnął, i wbiła paznokcie w jego ramiona, by ponownie go przyciągnąć.

– Cholera, Ter, daj mi się rozebrać – wyjęczał gardłowo.

Odpowiedziała mu nieprzytomnym spojrzeniem, ale po chwili sama zaczęła się szarpać z suknią. Nie pozwolił jej skończyć. Jednym ruchem rozdarł spódnicę. Podniósł dziewczynę, a ona objęła go udami i z głębokim westchnieniem przyjęła w siebie. Na chwilę wszystko zamarło. Długą, magiczną chwilę.

– Krąg, Yasa, krąg! – wyszeptała Teura.

Posłusznie zamknął ich w kręgu ciszy i światła. Płomienie tańczyły w rytm ruchów kochanków. Im bliżej byli spełnienia, tym mocniej płonęły, skrząc jaśniejące ściany i wrywając się z nich, by dotknąć odsłoniętej skóry kobiety. Ból zwiększał przyjemność. Teura krzyczała, unosząc się i opadając. Długie paznokcie rwały skórę kochanka. Ogień parzył, światło oslepiało. Mocniej, gwałtowniej. Moocniej!!!

Doszli jednocześnie, wśród krzyku i płomieni. Magia miękko złożyła ich na grubym dywanie. Teura opadła na kochanka. Rude włosy rozsypały się wokół nich jak gasnący ogień.

– Tęskniłam – wyszeptała, gdy już mogła mówić.

– Wygląda na to, że ja też. – Zachichotał cicho mag. Szarpnął lekko, rozrywając suknię do końca, a potem zsunął ją z ramion dziewczyny, by zaraz zamknąć palce wokół odsłoniętej piersi. Tym razem delikatnie i z czułością pieścił ją, aż ponownie sutek stwardniał w małą drażliwą kuleczkę.

– Porozmawiamy? – wyszeptał miękko.

– Potem – odpowiedziała, zsuwając się z mężczyzny i pociągając go na siebie.

Likal siedziała przy oknie i wpatrywała się w gwiazdy. Nie to, że nie mogła spać, po prostu nie chciała się kłaść. Patrzyła więc w niebo i rozmyślała o słowach opiekunów... i o Pyrim. Zwłaszcza o Pyrim. W sumie nie bardzo wiedziała, co o nim sądzić, ale samo myślenie było bardzo przyjemne. Oparła więc głowę o ścianę, opuściła nieco ciężkie powieki i pozwoliła sobie na marzenia. Zagłębiła się w nich tak bardzo, że nawet nie poczuła, kiedy ów niechciany sen z wolna zagarnął ją w objęcia. Śniły jej się dziwne sceny, w których latały złote smoki, to zmieniając się w przystojnych młodzieńców, to znów unosząc ją wysoko ponad drzewami i wodą, a pan Yasa powtarzał, że jest potężną czarownicą.

Obudził ją dotyk, łagodne muśnięcie niczym pieszczota skrzydeł motyla. Otworzyła oczy kompletnie zdezorientowana, by zaraz cofnąć się gwałtownie.

– Nie chciałem cię wystraszyć – powiedział cicho Pyri, siadając w oknie.

– Śnię?

– Już nie, ale musiałaś śnić o czymś bardzo miłym. Uśmiechałaś się. – Wskoczył do pokoju i podszedł do dziewczyny. Wyciągnął rękę, ale Likal, wciąż na wpół obudzona, cofnęła się przed nią. Chłopak zmarszczył brwi i też zrobił krok do tyłu.

– Jesteś zła? O wyspę? – zapytał.

Nie odpowiedziała.

– Likal?

– Nie mam prawa. Być zła – dodała chłodno. – Co tu robisz?

– Myślałem... Bo nie powinnaś być zła. To syrenia magia. Nie miałem... nie mogłem się oprzeć.

– Nie wyglądałeś na... niemogącego – syknęła.

– Wiedziałem! Jesteś zła. – Roześmiał się. Podskoczył do dziewczyny i złapał ją za ramiona. – Kochanie, naprawdę nie powinnaś.

– Nie jestem twoim kochaniem! – warknęła, wyrrywając się. – Idź rzeknij to tej łuskowatej wywłóce!

– Ona nie jest...

– Och, zamknij się! – Zderzenie marzeń i rzeczywistości wycisnęło łyzy gniewu z oczu Likal. Wytarła je pięścią, po równo zła na Pyriego i siebie. – Po coś przyleciał? Przedtem uciekłeś, jak tylko pan Yasa oczy otworzył!

– Bo dobrze wiesz, że twój pan Yasa nie byłby zachwycony!

– Nie krzycz!

– To ty... Ech, dziewczyno... – Usiadł na ławie, dwa kroki od Likal. – Przyleciałem, żeby sprawdzić, czy jesteś cała. Ten wir... Ktokolwiek go wyczarował, może wrócić. Pierwotny nie powinien cię zostawiać.

Milczała, bo kiedy Pyri siedział w jej sypialni, kilka obrazów z tej samej książki, o której wcześniej pomyślała, przyszło jej do głowy. Poza tym, acz niechętnie, przyznała mu rację.

– Źle, że mnie zobaczyłaś tam, na wyspie. – Kręcił głową, nie patrząc na dziewczynę.

– Nic nie mogłem poradzić i nie jestem z tego dumny. Co gorsza... będą konsekwencje. Muszę tam wrócić, a wcale mnie to nie cieszy. Cholera, szlag mnie trafia! Taaa, wiem, nie krzyczeć. Będziesz tak stała?

– Jakie konsekwencje? – zapytała, siadając pod oknem, daleko od Pyriego.

Chłopak zarumienił się i opuścił głowę.

– No... konsekwencje. Nie wiesz... No, nie mogę, Likal. Nie mogę ci powiedzieć. Ech... Ale musisz mi wierzyć, poleciałem tam, żeby cię ratować. Naprawdę! – Uniósł wzrok, a było w nim tyle żarliwości, że wzruszona dziewczyna potaknęła.

– Wiem. Wierzę. I nie gniewam się. Znaczą trochę... Troszeczkę, bo ta ruda wywłoka... I nie mów, że nie, bo widziałam... I jak na mnie spojrziała!

Podszedł błyskawicznie. Kucnął przy dziewczynie.

– Cholera, Likal – wyszeptał. Czule, łagodnie. – Nie złość się, dobrze?

– Powie... – Nie dokończyła, bo miękkie usta Pyriego dotknęły jej warg.

Cały świat Likal wywrócił się do góry nogami przez ten jeden delikatny, pełen słodczy pocałunek. Nim jednak zdołała zareagować, nim zdołała pojąć, co, dlaczego i czy w ogóle poczuła, Pyri przeskoczył okno i zawisł za nim. Piękny, złoty smok, doskonały wśród mroku nocy. Poruszał powoli skrzydłami, a zielone ślepie wpatrywały się w dziewczynę.

– Myśl o mnie, Likal – pojawiło się w umyśle czarownicy. – Ja o tobie myślę. Nieustannie.

I odleciał.

– Bogowie wiedzą, że nie miałam nigdy lepszego kochanka – jęknęła Teura.

– W ustach półelfiej wróżki to prawdziwy komplement. – Roześmiał się Yasa.

– Ile to już lat? Ze sto chyba będzie, prawda?

– Mniej więcej.

– Odbierasz mi rozum, Yaso. Dlatego częściej niż raz na sto lat nie powinniśmy... Ale ten raz! Ooooh, jeszcze! Tak, dokładnie tu... Ooooooooooh!

Krzyczała i krzyczała, aż krzyk przeszedł w ochrypy jęk. Przez chwilę leżała w bezruchu, dysząc ciężko. Yasa odwrócił się na bok i patrzył na nią. Słodkie osłabienie stało się również jego udziałem. Od wielu, bardzo wielu miesięcy nie czuł się tak lekki, wypoczęty i niemal szczęśliwy.

– Chcesz rozmawiać? – domyśliła się Teura.

– Niespecjalnie – wymruczał.

– Ja też nie. – Usiadła i odrzuciła włosy na plecy. W słabym świetle świec na chwilę wydały się ciemniejsze niż zwykle, niemal czarne. Odśloniła tym gestem ucho, lekko spiczaste, pozostałość po elfich przodkach.

– Ej, Yaso, myślisz o innej. Nieładnie!

Uśmiechnął się przeproszająco.

– Spokojnie, nie sądziłam, że będziesz mi wierny – zachichotała. – Dobrze więc, porozmawiajmy. Pozwolimy ostygnąć krwi przed dalszym ciągiem.

Mężczyzna też się roześmiał.

– Jesteś niesamowita, Ter.

– Nie powiesz mi tego?

– Czego?

– Że też nie miałeś lepszej kochanki? Och, jakiś ty słodki! – Zaśmiała się głośno. – Nie wiesz, co powiedzieć, żeby mnie nie zranić. Wrażliwy Pierwotny! Starzejesz się, skarbie.

– Nie jesteś pierwszą, która mi to mówi. A ty? Nadworna szwaczka? Naprawdę? Najznakomitsza półelfia wróżka w Krainie... szyje?

– Zawsze mnie to bawiło – wzruszyła ramionami – a tutaj to jak być pierwszym doradcą. Tutejszy władca uwielbia się stroić. Odzienie to jego pierwsza i największa miłość. Kiedyś ponoć miał żonę... Nieważne.

– Dlatego całe miasto jest takie... pstrokate?

– Dlatego. I dlatego, że ja tak lubię. Ale chyba nie przyszedłeś omawiać najnowszych kierunków mody?

– Brońcie bogowie! – Yasa przestał się uśmiechać i również usiadł. – Potrzebuję twojej pomocy.

Uniosła brew wciąż rozbawiona.

– Pamiętasz Oriana?

Teura sapnęła głośno i błyskawicznie wstała. Już się nie uśmiechała.

– Cóż za głupie pytanie, Yaso! Musiałeś? A było tak miło!

Mag pokręcił głową.

– Musiałem. Nie pytam, czy go pamiętasz. Pytam, czy pamięta go wróżka krwi.

Kobieta zacisnęła usta.

– Tak! – odpowiedziała wreszcie wściekłym tonem. – Pamięta go! I na co ci to?

– Moja podopieczna ma osiemnaście lat. Jest mi bliska. Nie, nie tak. To dziecko, dobre, kochane dziecko... Z mocą już teraz niemal równą mojej.

Teura zmarszczyła brwi.

– Pierwotna?

– Człowiek.

– Niemożliwe.

– A jednak.

– Żaden człowiek nie opanował mocy Pierwotnych. Żaden... – zamilkła naraz. – Orian? – wyszeptała.

– Nie przyszło mi to do głowy. Przez cały ten czas ani razu – powiedział Yasa. – Ale Yudherthardere... Tak, jest taka możliwość, że Likal jest spokrewniona ze Złodziejem Magii.

– Ale przecież on... on nie żyje, prawda? Był człowiekiem. Sto lat temu. Ludzie nie żyją tak długo!

Yasa milczał.

– Cholera! – Wróżka sięgnęła po zwiewny peniuar leżący dotychczas na ławie i okryła się nim. Yasa, chociaż zajęty rozmową, z żalem skonstatował, że z amorów już tej nocy nic nie będzie. Wstał więc i zaczął się ubierać.

– Miałam nadzieję, że gdzieś, daleko, ten skurwiol gryzie ziemię.

– Nie pamiętam, byś używała takiego języka.

– Bo zwykle tego nie robię, ale Orian... Mówisz, że dziewczyna jest dobra? Nie może być jego krewną. Drań jest wcieleniem zła.

– Dlatego potrzebuję wróżki krwi.

Skinęła głową.

– Rozumiem. Ona jest ważna? Dla ciebie, jest ważna? – zapytała miękko.

Milczał chwilę, nim odpowiedział:

– Bardzo.

– Cholera, Yaso – kobieta podeszła do niego i łagodnie położyła dłoń na ramieniu kochanka – więc módl się do wszystkich bogów, których przez lata obrażałeś, żebyś się mylił.

Nadchodził ranek, staruszka wciąż spała, a siedząca obok niej Likal nadal nie mogła zasnąć. Opierała głowę na dłoniach, wgapiła się w punkt na ścianie i uśmiechała dosyć niemądrze. O tak, myślała o Pyrim, a o kim innym miałyby myśleć.

Skoro zaś nie mogła zasnąć, postanowiła zejść do jadalni. Zdrowy rozsądek Sodiego bardzo by się jej teraz przydał. Tak, rozsądek krasnoluda albo chłód Yasy.

Niestety, w izbie jadalnej nie zastała nikogo. Rozczarowana Likal, pamiętając, że opiekunowie nie lubią, kiedy wychodzi sama, zawróciła. I wpadła na podkuchenną.

– Przepraszam, panienko! – krzyknęła kobieta. – Spieszno mi... bo, no, roboty tyle... To wszystko na ten bal. Pany się bawią, a człek... Och, wybaczcie! To ze zmęczenia. Człek ino robi i robi. Za poprzedniej pani tak się nie zdarzało. Ludzka z niej była pani. I nie stroiła miasta jak jakiego dziwadła. Dbała o nas... A nie to, co... Zachciało się jej, na stare lata... I pokarało! Ale czego wy tu? Spać trza, panienko. Dla urody, panienko. Jak będziecie wyglądała na balu, ha?

Młoda czarownica zamrugła zdziwiona, bo wydało jej się, że to pan Sodi w kiecki się odział i kobietę udaje. Tylko on potrafiłby tak szybko tyle kompletnie ze sobą niezwiązaną i niekoniecznie zrozumiałą treść przekazać. Podopieczna Pierwotnego uznała więc, że kobieta też wydaje się mieć zdroworozsądkowe podejście do życia i nadaje się do pogawędki. Ledwie jednak dziewczyna zdołała otworzyć usta, żeby zadać pytanie, podkuchenna zafurgotała spódnicą i znikła za zasłoną w kuchni. Likal stała z ogłupiałym wyrazem twarzy, aż poczuła ogarniającą ją senność. Rozejrzała się nerwowo, czy gdzieś w pobliżu pan Yasa znów nie rzuca czaru uspienia. Była jednak sama. Najwyraźniej emocje ostatnich dni wreszcie dały o sobie znać albo podziałało spotkanie z podkuchenną. Grunt, że dziewczyna, ziewając, zawróciła do swojej izby.

Staruszka obudziła się z krzykiem. Gulgotała i charkotała zupełnie niezrozumiale, wymachując rękami. Wyrwana ze snu Likal bezskutecznie próbowała ją uspokoić. Wreszcie użyła obezwładniającego czaru, ale efekt jej się nie spodobał. Histeryczne spojrzenie kobiety, zamkniętej w ciele, nad którym straciła kontrolę, śledziło każdy ruch dziewczyny. Wyglądała jak zwierzątko w klatce, śmiertelnie wystraszone, przygotowujące się do ataku.

– Spokojnie, babciu – powtarzała młoda czarownica. – Nie zrobimy wam krzywdy. Pomóc chcemy. Spokojnie.

Położyła dłoń na ramieniu staruszki, ale zamiast oczekiwanego ukojenia poczuła napinające się pod skórą mięśnie.

– Nie bójcie się, babciu – wyszeptwała, modulując głos. – Nikt już was nie zrani. Pan Yasa was obroni. Nie bójcie się...

Stojący w drzwiach maleńkiej izby Yasa zacisnął usta. Wiara Likal w jego możliwości jednocześnie go cieszyła i przerażała. Podeszedł do podopiecznej, a kiedy na niego spojrzała, uśmiechnął się smutno.

– Nie mogę jej uspokoić – rozzaliła się dziewczyna. – Rzuciłam zaklęcie, ale nie działa. Nie rusza się, ale w środku... W środku aż wyje. Czuję to, kiedy tylko jej dotykam.

Mag skinął głową. Usiadł obok i też przesunął palcami po dłoni staruszki.

– Tak byście, kurwa, osłaniali te zaklęcia, kiedy człek w drzwiach staje, nie? – warknął krasnolud, wchodząc, bo poranny dobry humor szlag mu trafił, kiedy raniony magią Tropiciel zaczął kąsać.

– Bo ona strasznie krzyczała – wytłumaczyła Likal.

– A dyć, słyszałem. Ci, co na grzebalniku leżą, pewnikiem też. – Sodi podeszedł, spojrzał w wystraszone oczy staruszki. – Oj, babciu, ktoś cię źle potraktował, nie? A ta tu też nie pomogła, unieruchamiając czarem. To zrobimy tak, babciu: Likal czar cofnie, a ty nie będziesz gęby darła, jakby cię żywcem ze skóry obdzierali. Wstaniesz se, cosik zjesz, boś taka chuda, że jakby się jaki dziadulo trafił, co by mu do objęć spieszno było, toby se łapy pociął na kościach. A potem, jak się już posilicie, cosik wymyślím na te wasze strachy. Co, babciu?

Czy to słowa, czy trzeszcząca melodia krasnoludzkiego głosu, dość, że histeryczny strach w oczach kobiety ustąpił, a napięte mięśnie nieco się rozluźniły.

– No, dawaj, panna – polecił Sodi.

Tropiciel warknął lekko, gdy Likal cofała czar.

– No! Trzeba było tak od razu. Chodźcie, babciu. Zadne jadło gospodarz gotuje. Mówię wam, nie jadłem jeszcze takiej polewki. No, ruszcie ten chudy kuper, ni ma na co czekać!

Staruszka wstała posłusznie i ruszyła za krasnoludem. Drzwi za nimi zamknęły się ze skrzypnięciem, a Likal i Yasa spojrzeli na siebie zdumieni. Naraz Likal parsknęła śmiechem, a Yasa błyskawicznie jej zawtórował. Śmiali się głośno, radośnie i tak mocno, że po policzkach obojga płynęły łzy.

Kiedy dołączyli do Sodiego i staruszki, krasnolud rozparty wygodnie na szerokiej ławie w pustej izbie opowiadał towarzysze kolejną jakże ciekawą historię. Kobieta popatrzyła na podchodzących i Likal dałaby głowę, że w jej spojrzeniu kryło się wołanie o pomoc. Dziewczynie przebiegło przez myśl, że dobrze tak starowinie, skoro jej nie słuchała, a uspokoiła się dopiero na żądanie krasnoluda. Zaraz jednak zawstydziała się.

– Dopuścilibyście, panie Sodi, babcię do słowa. Zagadacie kobiecinę na śmierć – powiedziała, siadając obok Yudherthardere.

– Ej, panna, nic z tego. Babcia nie pogada. – Uśmiechnął się nieco smutno kudłacz. – Ktoś jej język uciął. Dlatego tak gulgotała, zamiast rzec, co jej się przytrafiło.

Likal cofnęła się o krok, a na jej buzi niedowierzanie walczyło z żalem, współczuciem i gniewem.

– Jak to?!

– Normalnie, zawadzała babina komuś albo i wiedziała za wiele. Zamiast zabić, jęzor oberznął, to i kobita nic nie powie. Ludzki bandzior, nie? A zanim, panna, pomyślisz, że mogłaby to, co wie, napisać, obejrzyj se lepiej jej paluchy. Połamane tak bardzo, że nawet jakby chciała, rysika nie utrzyma. Się ten łachmyta, co babcię naszą skrzywdził, postarał. Niech ja łajzę dorwę... – Sodi poklepał staruszkę po dłoni, a ta uśmiechnęła się nerwowo. – Nic się, babcia, nie bój. Teraz jesteś nasza. Zadbamy o ciebie. Teraz, jakieś się tycio ukoła, tak jakem obiecał, coś poradzimy. Panie Yasa?

Pierwotny potaknął. Zmrużył oczy i bez słowa wsunął się w myśli staruszki. Wpadł w płataninę mrocznych rozgałęzień. Strzępki wspomnień, porwane w drobniuteńkie kawałeczki, połyskiwały pojedynczymi scenami. Rozgarniał je, jedną po drugiej. Składał powolutku, obraz po obrazie, próbując zrozumieć poszatkowane wspomnienia. A im więcej rozumiał, tym chłodniejszą barwę miały tęczówki maga.

– Panie Yasa? – zapytała Likal, widząc lodowate spojrzenie i zaciśnięte usta opiekuna.

– Cichaj, panna! – warknął Sodi.

– Ale...!

Pewnie dyskutowaliby tak jeszcze przez jakiś czas, gdyby drzwi gospody nie otwarły się właśnie w tym momencie, wpuszczając do środka nowego gościa.

Teura, półelfia wróżka krwi, lubiła wszystko, co barwne, intensywne i szalone. Wejścia też lubiła mieć właśnie takie. Nie wsunęła się więc tylnymi drzwiami, jak prosił Yasa, i nie przemknęła przez korytarze, by w tajemnicy zbadać Likal. Weszła poprzedzana przez dwóch strojnych karłów, podskakujących, wyśpiewujących piosenki w dziwnym, melodyjnym języku i rozrzucających wielobarwne ścinki jedwabiu pomieszane z płatkami róż i innych kwiatów. Wystrojona w intensywnie czerwoną suknię, wyszywaną złotem i migotliwymi kryształami. Piękna jak tylko półelfie wróżki krwi być mogą.

Gospodarz wypadł z kuchni bliski apopleksji, po równo zachwycony wspaniałym gościem i przerażony brakiem doświadczenia w podejmowaniu takowej znakomitości.

– Pani! Niegodnym! – Padł do nóg kobiety, ale ta minęła go, nie zaszczyciwszy nawet zerknięciem. Podeszła do Pierwotnego, skinęła mu głową bez słowa. Rozdziawione usta krasnoluda sprawiły, że minimalnie uniosła brew. Na staruszce zatrzymała na

moment wzrok, jakby próbowała sobie przypomnieć, skąd ją zna. Na końcu przyjrzała się Likal.

– Przedstaw nas, Yaso – powiedziała wreszcie.

Poirytowany mag wstał.

– Teuro...

– Nie chciało mi się czekać wieczoru. Ciekawość, rozumiesz? – Wróżka wzruszyła ramionami. – Cóż, teraz też się chyba nie doczekam... Witaj, drogie dziecko. Jestem Teura, wróżka krwi. – Wyciągnęła rękę do Likal.

Zaskoczona dziewczyna nie wiedziała, jak się zachować. Poszukała więc wsparcia u opiekuna. Yasa westchnął i skinął zezwalająco.

Palce obu dziewcząt spotkały się. Uderzenie chłodu sprawiło, że młoda czarownica zapragnęła cofnąć rękę, ale wróżka trzymała mocno. Na chwilę źrenice Teury rozlały się, obejmując całe gałki oczne, a rzęsy zadrżały nerwowo. Potem wszystko wróciło do normy, a wróżka puściła dłoń podopiecznej Pierwotnego.

– Wina! – krzyknęła i usiadła obok Likal.

Ignorowała wzrok kochanka, w pełni świadoma, że mag nie może wejść w myśli wróżki krwi, więc czeka, aż ta odpowie na nurtujące go pytanie. Kiedy gospodarz podał puchar, wychyliła go szybko.

– Pan de Gra Yudherthardere, nieprawdaż? – Uśmiechnęła się do Sodiego. – Wybaczcie, że nie przedstawiłam się należycie. A kim jest... dama po waszej prawicy?

– A dyć, kur... znaczy się, nie wiemy, wasza miłość. – Dwornie, jak nigdy, ukłonił się Sodi. – Przygarnęliśmy, bo by zamarzła pod miastem. Bida. Ot, tyle.

– Może i ją...?

– Nie trzeba – warknął Yasa. – Ona ma dość i bez twojego... daru.

– Och, skarbie, zdenerwowałam cię? – Zachichotała wróżka, aczkolwiek jej spojrzenie pozostało chłodne. – Wiem, że obiecywałam wieczorne spotkanie, ale cóż, wieczorem mamy bal i muszę jeszcze wystroić króla... Poza tym chyba chcesz wiedzieć?

Yasa patrzył wściekle, a ona tylko wzruszyła ramionami.

– Jeśli potrzebowałeś dyskrecji, trzeba było poszukać innej wróżki.

– Panie Yasa? – wtrąciła się wreszcie Likal. Była wystarczająco bystra, żeby zrozumieć, że chociaż jej imię nie padło w tej dziwnej rozmowie, o niej mowa.

Pierwotny zacisnął usta i pokręcił głową.

– Chodź, panna! – Sodi wstał, jak nigdy posłuszny milczącemu poleceniu Yasy. – Pan Yasa wam powie, kiedy będzie trza. No, chodź, chodź. Zostawimy magów, coby se pogwarzyli. Ruszcie, babciu, kuper. Was tu też nie trzeba.

Teura czekała, aż krasnolud wyprowadzi obie opierające się kobiety. Czekala grzecznie, bawiąc się pucharem. Powolutku przesuwala palcami po jego brzegu, nie odrywajac wzroku od kochanka.

– Och, nie patrz tak na mnie – powiedziala, kiedy wreszcie zostali sami. – To taka mala zemsta za marzenia o Zakonnej w trakcie pokladzin ze mna. Myslales, ze nie wiem? Wszyscy w... naszych kregach wiedza, ze jestes zabawka Kobiety Tradycji. Nie patrz tak, powtarzam. Nie zrobisz mi krzywdy, nie boje sie. Chedozenia troche szkoda. Mowilam prawde, nikt tak nie robi mi dobrze jak ty. No coz, moze za sto lat minie ci ten wsciekly blysk w oku... a moze nie. Wolaabym chyba nawet nie. – Ponownie zachichotala, rownie zimno. – Ciekawe, jak twoja Zakonna zareaguje, kiedy sie dowie, ze twoja podopieczna jest corka Oriana?

Zapadla cisza. Gniew Yasy blyskawicznie wystygł.

– Jesteś pewna? – zapytal wreszcie.

– Krew nie klamie.

– Moze to wnuczka, prawnuczka?

– Krew nie klamie. Pierwsza linia. To jego corka.

– Kurwa – podsumowal Yasa, chociaz przeklinal bardzo, bardzo rzadko.

Zlosliwosc Teury tez sie ulotnila. Polozyla dlon na ramieniu męzczyzny.

– Przykro mi, Yaso. Jesli Zakon sie dowie...

– Wiem.

Dziewczyna wstala.

– Naprawde mi przykro. Wiem, ze ci na niej zalezy. Wszystko sie zmienia, cholera. Sto lat temu nie pomyslalabym, ze Pierwotny bedzie mial dzieci... Nie patrz tak. Krew nie klamie. Ech, wszystko sie zmienia. Pjode juz, Yaso.

Zrobila krok, ale Pierwotny chwycil ja za reke i przycignal do siebie. Przez chwile patrzyl w czarne oczy polelfiej wrozki, przesunal palcami po policzku, a potem pocalowal. Gwaltownie, zaborczo, glęboko... i magicznie.

Kiedy wreszcie puscil kochanke, patrzyla na niego pustym, nieprzytomnym wzrokiem.

– A to moja mala zemsta, Ter – wyszeptal.

Krol zapukal przed obiadem. Wszedl do komnat nadwornej szwaczki, rozgladajac sie jak zwykle z zachwytem. Bawil go i uszczesliwial jednoczesnie pobyt w tym miejscu. Barwy, tkaniny, guziki, nici... Wszystko bylo tak piekne i tak doskonałe. Tylko dla niego.

Teura obserwowała władcę z dobrze ukrywanym obrzydzeniem. Pod zmrużonymi powiekami wciąż widziała dziesiątki pojedynczych scen. Nie pamiętała, skąd się tam znalazły. Nie pamiętała nic z ostatnich dwóch dni. Trochę ją to martwiło, ale zdarzało się już wcześniej i zawsze mijało, więc nie zaprzętała tym sobie głowy.

Niepamięć była niczym w porównaniu ze scenami tortur, jakie król zgotował swojej podstarzałej małżonce, by przejąć władzę nad miastem. Kiedy tylko Teura zamykała oczy, widziała ekstatyczną przyjemność, jaką przynosił władcy ból sprawiany żonie. Od wielu godzin nie mogła pozbyć się wspomnień staruszki, którą poznała... Nie pamiętała gdzie. Miała za to jakieś niewyraźne wspomnienie, gdzie teraz znajduje się kobieta, i głębokie przekonanie, co musi zrobić.

Ech, lubiła tę pracę. Lubiła prestiż i dochód, jaki jej dawała. Była jednak wrózką krwi. Półelfką. Przede wszystkim... tak, przede wszystkim była uczciwą kobietą. Taką, która pomoże królowej odzyskać to, co do niej należało.

– Masz coś dla mnie na dzisiejszy bal, droga szwaczko? – zapytał jego wysokość.

– O tak, panie. Mam specjalny materiał. Tylko dla ciebie, panie – odrzekła, wyciągając z kufra mściwe sukno.

VIII

Trwton

Fale rozbijały się o skały i rozpryskiwały wysoko ku szczytom syreniej wyspy. Morze było wzburzone od chwili, w której młoda czarownica wskoczyła w złocisty krąg. Zerdi wciąż stał na najwyższym wzniesieniu i patrzył w miejsce, w którym zniknęła dziewczyna. Jakby liczył na to, że pomiędzy nim a granatową tonią ponownie rozpali się magiczne koło i Likal w jakiś czarodziejski sposób wyskoczy z niego, by wrócić na wyspę.

– Ojce będą złe – wyszeptał chłopiec po raz kolejny. Przetarł kułakiem oczy, bo niechciane łzy znów do nich napłynęły, a potem usiadł na skalistym brzegu.

Poczeka. Przecież czarownica obiecała, że zabierze go do Pierwotnego i się za nim wstawi. Uroczyście przyrzekła. A przyrzeczeń się nie łamie.

Samotna trójka jeźdźców przemierzała pusty królewski trakt. Końskie kopyta biły o udeptaną ziemię w równym, niespiesznym tempie. Od dłuższego czasu był to jedyny dźwięk przerywający ciszę. Wcześniej jakiś samotny ptak nad głowami podróżnych zaskrzeczał, przelatując w drodze do gniazda, ale teraz pozostał tylko miarowy stukot. Słońce właśnie dotknęło wierzchołków drzew pobliskiego lasu, kończąc całodzienną wędrówkę. Do zmierzchu pozostało jeszcze kilka chwil, ale wieczorny chłód, tak typowy dla wczesnej wiosny, powoli wkradał się pod odzież jadących.

– Dobra, panie Yasa, noc idzie, konie zdrożone, że o moim co nieco nie wspomnę. Takeśmy szybko gród nadobnej wróżki opuszczali, że się człek do podróży nie zdołał nawet przygotować. I czegoście to na bal zostać nie pozwolili? Gówniara to się chyba nawet szykowała, coś tam o sukni prawiała. Nie żebym słuchać pannicy zamierzał, ale się dziewczuszcze trochę markotno zrobiło. Żem widział. Nic to. Co się stało, odstać się nie odstanie. A teraz to trza by gdzie przenocować – zauważył niezwykle łagodnie, jak na swój charakter, Sodi. – Panna się nie odezwie, bo za bardzo na was wkurwiona, po tym jakeście jej tańców pożałowali i eksperymenta na niej robili, a rzec nie chcecie, po co i z jakim wynikiem.

Yasa tylko uniósł brew.

– Taaa, wiem, chcecie zaś moim mianem gębę mi przymknąć, ale przecie głupiście nie są, oczyska macie, to i widzicie, że dziewczucha specjalnie za nami zostaje, nie? Taaa, wiem, że trochę i po to, coby se w niebo pozerkać i o tym złotołuskim... eeee... przyjacielu swoim podumać. Ale głównie dlatego, żeście gębę zasznurowali i rzec jej nie chcecie, po cholere wróżka krwi ją macała. No bo przecie nie po to, cobyście mogli imaginację uruchomić, kiedy dwie ładniutki...

– Yudherthardere!

– No!!! Wreszcieście językiem ruszyli! To może chociaż mnie powiecie? Wiecie, że jak człek się frasunkiem podzieli, to i lżej na serduchu? Zawsze co dwa łby to nie jeden. Ja wam chętnie rozumem posłużę, a przecie wiadomo, że nie lada myśliciel, nie?

Pierwotny uśmiechnął się odruchowo.

– O, widzicie! Zaraz lepiej, nie? To jak? Powiecie? Młoda to nie wie zapewne, czemu wróżki krwi służą. Znaczy jednego to się i pewnie domyśliła, bo ją ciężki szlag trafił, jak tamta cud panna was po ramieniu macała... Zaś tak nie patrzcie, gówniara dzieckiem już dawno być przestała. Oczyska, jakem rzekł, przecie macie, nie? To się i domyśliła, czyjeście łóżce cały wczorajszy dzień miętosili. Normalnie to by się zgotowała i może nawet pannie ryja natłukła... Taaaa... tom się rozmarzył... Normalnie by natłukła, a tym razem ino się skrzywiła... Ale zaraz, przecie ja nie o tym, jeno że Likal nie wie, do czego wróżki, prócz przyjemności, służą. A ja wiem. Ród gówniary żeście sprawdzali. Skoro wcześniej wam pilno nie było dowiadywać się, czyja ona, to zapewne o mój sen idzie, co nie?

Yasa westchnął.

– A, znaczy o mój sen. O tego tam... Oriana?

– Oriana – poprawił odruchowo Pierwotny. Pokręcił głową i dodał: – Tak, o Oriana.

– I co z nim?

– Nie uczyli was o Złodzieju Magii? – zdziwił się mag.

– O kurwa! – zaklął Sodi. – Uczyli, jasne, że uczyli, ino miana nie podawali. Orian mu było?

– Jest.

– Jak to jest? Przecie to człowiek, a już ze sto lat minęło...

– Ukradł moc pięciu największych magów Krainy, więc chyba może przedłużyć sobie życie.

Przez chwilę Sodi trawił w ciszy usłyszane słowa.

– Chcecie powiedzieć – wyszeptał wreszcie – że nasza Likal...

– Orian powiedział mi kiedyś – rzekł cicho Yasa – że jedyną słabością Pierwotnych jest przekleństwo bezdzietności. Nie miał wątpliwości, że z potomstwem bylibyśmy

wszchemocni, że dzieci wzmagają naszą moc, rozwijają ją. Uznałem, że bredzi. Poza tym nawet jeśli miałby rację... nie był Pierwotnym.

Sodi odwrócił się, żeby spojrzeć na jadącą za nimi naburmuszoną dziewczynę.

– Jest jego?

Pierwotny bez słowa skinął głową.

– O kurwa – powtórzył Sodi i zamilkł.

Przez jakiś czas znów podróżowali w milczeniu, aż wjechali w gęsty las. Słońce już nie przebłyskiwało między gałęziami, a szarość zmierzchu szybko zmieniała się w mrok. Yasa zatrzymał konia, Sodi zrobił więc to samo. Kiedy Likal zrównała się z nimi, Pierwotny zarządził nocleg.

– W środku lasu? Pod drzewami? Nie jest trochę za zimno? – odezwała się, po raz pierwszy od rana, Likal.

Sodi rozejrzał się wokoło. Jako jedyny z towarzystwa doskonale widział w ciemności. Korony gęsto rosnących wysokich drzew, smukłych, acz potężnych, łagodnie kołysał wiatr. Między gałęziami od czasu do czasu pojawiał się dziwny rozbłysk, jakby gwiazda, w drodze na nieboskłon, zatrzymała się między pierwszymi wiosennymi liśćmi. Do jednej gwiazdy po chwili dołączyła jeszcze jedna, a potem kolejna. Błyskały łagodnie słabym, ledwie widocznym światłem.

Przez chwilę Yudherthardere obserwował rozbłyski, a gdy do nich dołączył cichy, melodyjny zaśpiew i głębokie pohukiwanie, nieco podobne do sowiego, ale jednak inne, krasnolud fuknął gniewnie:

– Leśne elfy?! Tośmy ledwie Czarną Górę opuścili, a wy już mnie w gościnę ostrouchych gnacie?

– Jakie elfy? – zapytała zdziwiona dziewczyna.

– Ano te – wskazał krasnolud.

Między drzewami pojawiły się światła pochodni. Nieśli je trzech mężczyźni. Kiedy podeszli bliżej, Likal mogła podziwiać ich delikatne rysy i pięknie haftowane odzienie. Długie jasne włosy miękko opadały na plecy. Mężczyźni byli drobnej postury, lecz mimo to trudno było nie dostrzec w nich wojowników.

Podeszli i ukłonili się lekko.

– Witajcie – powiedział najwyższy. – Czekaliśmy.

Yasa skinął głową. Zsiadł z wierzchowca, podał uzdę jednemu z leśnych ludzi i wyciągnął ręce, by pomóc podopiecznej. Dziewczyna zawahała się. Urażona duma walczyła z miłością do opiekuna. Wreszcie miłość wygrała.

Sodi też zsunął się z grzbietu Doru. Mamrotał przy tym wściekle, ale na tyle cicho, żeby nikt nie zrozumiał. Krasnoludom nie po drodze z elfami, a już szczególnie z Leśnymi, którzy czcili Słońce i Księżyc, praktykowali starożytne gusła, a jedyną bronią,

jaką władali, był łuk. Sama myśl, że jedzie w gościnę do ostrouchych, doprowadzała Sodiego do pasji. Kiedy więc młody elf wyciągnął dłoń po uzdę kuca, Yudherthardere rzucił mu takie spojrzenie, że chłopiec się cofnął.

– Czekali? – zapytał wściekle Yase. – A kiedyście to znać im dali, co? Nie mogliście to powiedzieć? Bym se uwił milutkie gniazdko w jakim zamtuzie, zamiast dupę w lasy tłuć. Ani mnie nie cno do ostrouchych, ani oni za mną ocząt nie wypatrują.

– Leśny władca nalegał – podkreślił mag – na waszą obecność. Potrzebujemy jego pomocy, a on najwyraźniej jednak oczy wypatruje. Chodźcie już, nie marudźcie. Zimno się robi, Likal marznie.

Elfy ruszyły przodem, za nimi Yasa i Likal. Sodi zamykał grupę, zaskoczony tak bardzo zaproszeniem leśnych ludzi, że choć usta miał otwarte, żadne słowo z nich nie padło.

Wioska właściwie nie była wioską, lecz kilkunastoma maciupkami chatami schowanymi między konarami drzew. W maleńkich okienkach migotały słabe światełka, a przed domostwami od czasu do czasu pojawiali się mieszkańcy. Nikt nie zwrócił uwagi na przybyłych, za wyjątkiem mężczyzny siedzącego na pieńku przed jedną z takich chat. Wstał na widok gości, skinął Yasie, potem Sodiemu, na moment zatrzymał wzrok na Likal, a dziewczyna odruchowo się uśmiechnęła. Było coś takiego w tym szczupłym, pięknym elfie, niewiele od niej wyższym, że poczuła, jak jej złość, frustracja i uraza gdzieś się ulatniają.

Mężczyzna nie wyszedł im naprzeciw, czekał. Usta Yasy drgnęły na widok tak jawnego pokazu władzy. Zwłaszcza że idący obok niego Sodi też zrozumiał zachowanie elfa i właśnie zaczął przeklinać pod nosem. Mag stanął więc, kilka kroków od elfa, powstrzymując pozostałych. I też czekał.

Ferion chętnie dalej demonstrowałby swoją powagę, ale będąc dobrze wychowanym elfem, wiedział, że gospodarz powinien wyjść naprzeciw gości. Zrobił zatem tych kilka kroków, dostrzegając, że niesłychanie ubawił tym krasnoluda.

– Witaj, Pierwotny – powiedział nieco chłodniej niż wypadało.

– Panie Leśnych Ludzi... Dziękujemy za zaproszenie. Zechciej poznać moją wychowanicę, Likal, i przyjaciela, Sodiego de Gra Yudherthardere.

– Słyszeliśmy o twojej wychowanicy. – Elf dwornie uklonił się dziewczynie. – A i sława pana de Gra Yudherthardere dotarła do nas. Radziśmy was gościć.

– O kurwa – wyrwało się Sodiemu – ostrouchy rad mnie gościć... Niech ja więcej pomiędzy białymi udami Grubej Zochy uciechy nie zaznam... świat się kończy.

Jeszcze niech mnie na ucztę z dwuletniego jelonka zaprosi, a powiem, że widziałem i słyszałem wszystko.

– Z dzika – uśmiechnął się Ferion – uczta jest z dzika. Więc jeszcze co nieco zostało wam do zobaczenia. Zapewne jesteście strudzeni podróżą. Odpocznijcie więc nieco, a potem zapraszam do stołu. Ie pokaże wam chatę, którą dla was przygotowaliśmy. – Dał znać drobniutkiej dziewczynce, a ta natychmiast podbiegła. Złapała dłoń Likal i pociągnęła ją za sobą, chichocząc radośnie.

Yasa zawahał się, więc Ferion pokręcił głową.

– Jutro. Jutro pomówimy o interesach. Dzisiaj przyjemności. – Widząc, że mag z niepokojem patrzy na podopieczną, dodał: – Nie martw się, tu jest bezpieczna. Cokolwiek jej grozi, tu strzeże jej moc Leśnych Ludzi.

– Taa, panie Yasa, odpocznijmy. – Sodi pokiwał głową. – Sempiterny już prawie nie czuję. Coś mnie się widzi, że tu raczej na chętne panny nie mam co li... – Urwał w pół zdania, nie dlatego, że Yasa zmroził go spojrzeniem ani dlatego, że naraz przypomniał sobie o dobrym wychowaniu. Yudherthardere do wzroku przyjaciela już przywykł, a zasady dobrego wychowania elfów przecież nie tyczyły, co nie? Zamilkł jednakże, bo mijana elfka uśmiechnęła się do niego słodko. Ostroucha czy nie, była jednakowoż dziewczuszką, i to całkiem niebrzydka, a uśmiech miała... co jak co, ale na kobiecych uśmiechach Sodi znał się jak nikt i nie mógł nie zauważyć, że mina niedużej i krągłutkiej elfki była więcej niż zachęcająca. Zatchnął się więc bidulek, zapatrzył i gapiąc tak, nie dojrzał grubego korzenia. Potknął się o niego i zamachał potężnymi ramionami, próbując złapać równowagę. Nieskutecznie. Rymnął jak długi. Przez chwilę, nie dłuższą niż uderzenie serca, leżał nieco zamroczony. Potem zaczął się podnosić. Otworzył usta, żeby wykrzyczeć jakąś długą i kąśliwą wiązanekę...

– Cali jesteście, wielki panie? – elfka, która go do upadku doprowadziła, zaszcebiotała, klękając przy nim. – Tacy jesteście... – westchnęła z zachwytem. – Tacy... Och! – Zarumieniła się okrutnie. – Pomogę wam. Mogę? Pomogę, chętnie, chętnie pomogę – wyszeptwała.

Krasnolud uśmiechnął się szeroko. Poszukał wzrokiem przyjaciela i chociaż nic nie powiedział, kiedy śliczna dziewczuszka pomagała mu wstać, Yasa nawet bez czytania w myślach wiedział, jak bardzo uszczęśliwiony jest mały mężczyzna.

Ostatecznie panny, które bez brzęku talarów uważały Sodiego za atrakcyjnego, można było w Krainie policzyć na palcach... I zdaje się, że wystarczyłby jeno kciuk.

– Idźcie, panie Yasa, z gówniarą. Ja se z... – zawiesił głos, patrząc na elfkę. A że dziewczątka mądrością nie grzeszyło, nie domyśliła się, o co mu chodzi, więc zapytała: – Jak cię zwa, ślicznotko?

– Kyta. – Dziewczyna spłonęła rumieńcem.

– Urodziwe miano dla urodziwej panny – zabłysnął szarmancko Sodi. – No, idźcie, panie Yasa, my se tu z Kytą pogwarzym.

Yasa zerknął na Feriona, a ten wzruszył ramionami.

– Leśni Ludzie nie oceniają. Możesz iść. Kyta zaopiekuje się panem de Gra.

Krasnolud uśmiechnął się tak szeroko, że nawet Ferion lekko się skrzywił. Kyta jednak była zachwycona.

W niewielkiej, krytej słomą chacie Likal siedziała w jedynej izbie, na ławie przy oknie, patrząc w niebo. Kiedy wszedł Yasa, spłoszona poderwała się z miejsca i przez chwilę dreptała tam i z powrotem po ciasnej izbie.

– Może powiemy mu, żeby do nas dołączył? – zapytał miękko mag. Nie tłumaczył, o kogo mu chodzi, a rumieniec na twarzy podopiecznej wyraźnie wskazywał, że nie musi.

– Nie wiem, czy on tam jest – wyszeptwała. – Mówił, że musi wrócić na syrenią wyspę.

– To krewny Deidghe, wiesz o tym, prawda?

Potaknęła bez słowa. Yasa usiadł na miejscu, które przed chwilą zajmowała.

– Może mu się nie spodobać cel naszej wyprawy.

– Uratował mnie, dwukrotnie. I was, tam, w zaczarowanym mieście, a przecież już wtedy wiedział, ktoście... – zawiesiła głos. Przez chwilę patrzyła na opiekuna, wreszcie podeszła i usiadła obok niego. – Panie Yasa... ta wróżka krwi...

Pierwotny milczał. Czyste spojrzenie błękitnych oczu nie ustępowało. Odetchnął więc głęboko. Sodi miał rację, kiedy trzeba, to trzeba...

– Półelfie wróżki krwi potrafią wyczuć więzy krwi – powiedział cicho. – Teura jest najlepsza.

– Nigdy dotąd nie interesowało was, kim jestem.

– Likal – położył dłoń na ramieniu dziewczyny – ja wiem, kim ty jesteś. Jesteś moją uczennicą, potężną, być może kiedyś najpotężniejszą czarownicą, ale przede wszystkim jesteś... jesteś moją córką. Bez względu na więzy krwi, jesteś moją córką.

Samotna łza spłynęła po policzku dziewczyny. Otarł ją delikatnie.

– Nie mogłabyś być bardziej moja, nawet gdybym to ja cię spłodził.

– Ale to nie wy jesteście moim ojcem? – zapytała cicho.

– Nie, nie ja. Nie ma w tobie krwi Pierwotnych. Twoja matka została obdarzona, ale była człowiekiem. Czasami tak się zdarza. Obdarzone służą ludziom, rzucają drobne zaklęcia, warzą zioła, tworzą ochronne amulety. Chłopi zwą je białymi czarownicami.

– Była?

– Umarła. Dawno, kiedy byłaś dzieckiem.

– Więc to nie o nią chodziło?

– Nie, nie o nią. – Yasa zacisnął usta i przymknął oczy, a Likal pojęła, że zaraz stanie się coś nieodwracalnego. Coś, czego ona wcale nie chce, chociaż jeszcze przed chwilą tak bardzo pragnęła.

– Może – zawahała się – może nie mówcie?

– Masz prawo wiedzieć... Nie, musisz wiedzieć, bo on nie odpuści. Zapewne wie, jaką władasz mocą. Przyjdzie po ciebie, więc musisz wiedzieć. Żeby podjąć decyzję, żeby się bronić.

– Nie.

– Likal...

– Nie! – Dziewczyna wstała gwałtownie. – Nie chcę! Niech zostanie, jak jest. Niech będąc znajda, coście ją wyratowali we wsi. Nie chcę! Nie!!! – krzyknęła i wybiegła z chaty.

Yasa westchnął, a potem ruszył za podopieczną.

Likal biegła między drzewami, łkając rozpaczliwie. Słyszała za sobą maga, ale nie zwolniła. Och, wiedziała, że mógłby ją zatrzymać jednym zaklęciem, i gdzieś, w głębi duszy, dziwiła się, że tego nie zrobił.

Minęła ostatnią chatkę Leśnych Ludzi i wbiegła na małą polanę. Naraz odechciało się jej biec. Księżyc srebrzył trawę, a wiatr cichuteńko szumiał w koronach drzew otaczających łąkę. Dziewczyna padła na kolana i zapragnęła przytulić się do trawy i wypłakać w nią wszystkie smutki.

– Nie chcę wiedzieć – wyszeptała chrapliwie, ciężkim od żalu głosem.

Odpowiedziała jej cisza. Daleko w lesie trzasnęła gałązka złamana zapewne przez dzikiego zwierza. Nad polaną ciemniał mroczny aksamit nieba usiany połyskującymi gwiazdami, a okrągła tarcza księżyca zdawała się uśmiechać ze współczuciem do rozżalonej dziewczyny.

– Nie chcę wiedzieć – powtórzyła Likal, patrząc w tę znajomą tkaninę nad głową.

Yasa zatrzymał się wśród drzew. Czekał.

Dziewczyna odetchnęła, żeby się uspokoić. Usiadła powoli, niechętna, ale gotowa, by wrócić i wysłuchać reszty opowieści Pierwotnego. Wstając, poszukała podparcia... I włożyła rękę w strumyk.

Gejzer wody wybuchł szybciej, niż Yasa czy Likal zdołaliby wypowiedzieć zaklęcie, i zamknął się wokół czarownicy. Usłyszała jeszcze krzyżące jej imię opiekuna, a potem zapadła ciemność.

Zerderan długo się zastanawiał, jak ukarać syna. Różne najokrutniejsze pomysły przychodziły mu do głowy. Najchętniej pozbyłby się gówniarza. Nie potrzebował

człowieka. Nie mógł nawet Zerdiemu pozwolić na pokładziny z syrenami, bo z takich związków rzadko rodziły się syreny. Rozwodniona krew, ohyda! Najchętniej więc zrzuciłby dzieciaka z klifów i patrzył, jak tonie... Ale to jednak jego krew, bez względu na to, jak bardzo rozwodniona. Nieważne, bo przede wszystkim dzieciak należał do niego. Był rodziną, a nic nie jest ważniejsze niż więzy krwi.

No i tak cholernie przypominał króla mórz.

Zerderan musiał jednak dbać o autorytet władcy, więc nie mógł pozostawić nieposłuszeństwa bez kary. Uznał, że stłucze gówniarza na kwaśne jabłko. Tak żeby wszyscy wiedzieli, że nie wolno przeciwstawiać się woli swego pana.

Zwołał zgromadzenie, a gdy syreny i trytony zebrały się półkolem wokół pręgierza na głównym placu wyspy, ogłosił wyrok. Zobaczył przerażenie w oczach syna i zawahał się. W końcu to tylko dzieciak. Słaby, głupi człowiek, a wszyscy ludzie są pozbawieni charakteru. Nic na to nie poradzą.

Zebrani wokół pręgierza trwali w oczekiwaniu. Wszyscy piękni, wszyscy doskonali. Syreny pełnej krwi, o regularnych rysach i, nawet w ludzkiej postaci, idealnych kształtach. Duma swego władcy. Kilkoro z nich już ostrzyło sobie zęby na schedę po nim, a w oczach jednego czy dwojga bez trudu czytał chęć pozbycia się go już teraz. Uważali wzięcie na syrenią wyspę człowieka za przestępstwo przeciw świętej Tradycji, a co najmniej za słabość niegodną przywódcy.

Po policzkach Zerdiego spływały łzy, kiedy jego ojciec sięgnął po kańczug i zamierzył się. Chłopak zacisnął usta, obiecując sobie, że nie będzie krzyczał, ale pierwsze uderzenie bolało tak mocno, że nie zdołał potrzymać jęku. Na następne był już przygotowany – zacisnął ramiona wokół pała, do którego go przywiązano, napiął mięśnie i przygryzł wargę... A kiedy nastąpił cios, i tak krzyknął. Ból werznął się aż do kości. Zerderan nie żałował siły. Bił tak, że krew spływała po plecach skazańca. Raz za razem. Drugi, trzeci, czwarty... Miarowe uderzenia rozrywały skórę chłopca. Piąty, szósty...

Jednocześnie chłopak zemdlał i obok pręgierza wybuchł gejzer wody. Uniesiona ręka władcy mórz opadła, nie trafiwszy celu. Tryton odwrócił się zaskoczony. Zwykle to on otwierał wodne portale, te zaklęcia należały do niego. A to... to nie było jego dziełem.

Woda opadła, odsłaniając leżącą dziewczynę, a Zerderan zrobił krok w tył. Młoda czarownica poderwała się na nogi, otarła twarz, odsuwając z niej mokre włosy, i warknęła wściekle:

– Znowu?! Zdurniałeś, parchata rybo?! Wiesz, co Yasa i Pyri z tobą zrobią?!

Gejzer zniknął szybciej, niż Yasa wykrzyczał zaklęcie. Mag stał więc na polanie, kompletnie ogłuszony, patrząc w miejsce, w którym przed chwilą widział Likal. Zaskoczenie błyskawicznie zmieniło się w gniew, a gniew w furję. Zmrużył oczy, żeby przywołać Most... Daremnie. Żeby otworzyć portal, musiał wiedzieć, gdzie będzie jego drugi koniec, tymczasem nie mógł określić miejsca, do którego zmierza. Nie czuł podopiecznej. Jakby nagle znikła z powierzchni ziemi. Zacisnął pięści, skupił moc... I nic.

Czy to był strach? Tak, z całą pewnością.

– Likal – wyszeptał, jakby dziewczyna mogła mu pomóc z miejsca, w którym jest. – Cholera, nie otworzę mostu, nie czuję cię.

– Nie musisz. – Potężny złoty smok zawisł nad polaną. Ogromne skrzydła poruszyły się majestatycznie. Pyri usiadł obok maga i płynnie zmienił formę.

– Nie czuję jej, a żeby otworzyć... – nerwowo tłumaczył Pierwotny.

– Zerderan – warknął młodzieniec, bo wściekłość na kuzyna szarpała mu trzewia – zabrał ją na syrenią wyspę. Tylko ona może stłumić moc Likal. Leciałem za wami, pilnowałem... Byłem tak blisko... i, cholera, nie zdążyłem.

– Wyspy też nie wyczuję.

– Nie musisz. Wiem, gdzie jest – zawahał się. – Pozwolę ci wejść w moje myśli... Poleciałbym, ale mogę nie zdążyć. Zerderan... sam wiesz, bywa szalony. Nikt nie wie, co mu do tego rybiego łba wpadnie! Mogę nie zdążyć, a sam Mostu nie otworzę, bo nie potrafię. Połączymy siły. Dla Likal.

Yasa potaknął bez słowa. Pyri przygryzł wargę, bo z trudem podjął taką decyzję. Wpuszczał najstarszego czarodzieja do umysłu. Wiedział jednak, że Zerderan jest nieobliczalny. Mógł zaśpiewać dziewczynie syrenią pieśń... I Pyri straciłby Likal na zawsze. Na samą myśl czuł lodowaty dreszcz przerażenia.

– Nie ma na co czekać – westchnął, ponownie zmieniając formę. – Już.

Dłoń Pierwotnego pieszczotliwie przemknęła po smoczym karku, aż do miejsca tuż za złocistym uchem. Na krótko palce mężczyzny zatrzymały się, a potem powoli nakreśliły znak.

Oślepiający błysk połączenia zranił i na chwilę sparaliżował myśli obu. Smok warknął głucho, odsłaniając garnitur przerażających zębów, a Yasa cicho jęknął. Pędził złotym korytarzem, pośród barwnych obrazów i łagodnego zaśpiewu szeptanych smoczycich wspomnień. Naraz korytarz zaczął opadać, a umysł Yasy ślizgiem poleciał za nim. Ból znikł, tak jak i jaskrawy blask. Kolorowe obrazy zlewały się w tęczę barwiącą złote ściany korytarza. Złoto nikło pod intensywnością barw, aż pozostał tylko błękit, zieleń i biel skał. Wyspa.

Pierwotny uchwycił ten obraz, zakotwiczył w nim umysł, a potem otworzył Most.

Wściekła dziewczyna zrobiła kolejny krok ku Zerderanowi, lecz naraz jej wzrok padł na poranionego i nieprzytomnego skazańca. Nie widziała jego twarzy, a jedynie pokrwawione plecy, ale i tak błyskawicznie pojęła kto zacz.

– Coś ty zrobił? – wyszeptała. Podbiegła do pręgierza i delikatnie dotknęła Zerdiego. Potem odwróciła się gwałtownie. – Oszalałeś? – krzyknęła do wciąż milczącego króla mórz. – To twój syn! Twój syn! Nie bije się tak dzieci! Ludzi... Ludzi się tak nie bije! Chciałeś go zabić?!

– Jak ty się tu dostałaś? – zapytał wreszcie Zerderan, ignorując pytania dziewczyny.

Likal też go nie słuchała, bo pobity chłopak właśnie otworzył oczy. Spróbował się uśmiechnąć, ale tylko wykrzywił usta.

– Jesteś, panienko – wycharczał. – Wiedziałem, że wrócisz. Mówiłem ojcom, ale nie słuchali. Mówiłem, że wrócisz. Obiecałaś. Przrzekłaś, że będę jak ojce chcą, a przrzeczeń się nie łamie... – I ponownie zwiesił głowę.

Zerderan też go usłyszał i uśmiechnął się. Tak, teraz wszystko rozumiał. I kto by pomyślał, że gówniarz jednak ma trochę rozumu.

– Uwolnij go!

– Nie jesteś w pozycji do wydawania rozkazów. – Tryton podszedł do Likal. Przekręcił głowę i przyglądał się dziewczynie w milczeniu. Potem gestem odesłał obecnych.

– Więc przynajmniej go ulecz – powiedziała dziewczyna, pieszczotliwie odsuwając długie, posklejane krwią włosy z twarzy nieprzytomnego chłopca. – Przecież nie chcesz go zabić. Nie chcesz, prawda?

– Co ty masz takiego w sobie, panno Pierwotnego? – zapytał cicho władca. – Yasa jest gotów za ciebie zabić. Mój kuzyn straszył mnie śmiercią... A, cholera, ja mam ochotę... Chętnie bym cię zatrzymał, dziewczyno.

Parsknęła, wydymając usta.

– Jasne! Powiesz to Yasie albo Pyriemu, kiedy po mnie przyjdą. A teraz ulecz Zerdiego, żeby nie umarł. Ledwie oddycha, nie czujesz?

Zerderan podszedł do pręgierza i też dotknął syna. Rzeczywiście chłopak oddychał z trudem, a jego serce podejrzanie zwolniło. Tryton szybko odwiązał rannego i łagodnie położył na ziemi. Teraz, kiedy czarownica wróciła, chłopiec nabrał wartości.

– Ulecz go – wyszeptała dziewczyna i, klękawszy przy Zerdim, pogłaskała blady policzek nieprzytomnego.

– Nie umiem.

– Jak to nie umiesz? Syreni królowie...

– Nie umiem – warknął Zerderan, czując, że jego misterny plan szlag trafia, i to z jego własnej winy.

Chłopak konał. Serce biło coraz wolniej. Likal patrzyła, jak dzieciak łapie oddech z coraz większym trudem. Świadomość, że spotkało go to z jej winy, najpierw paraliżowała, by zaraz rozpalic wściekłość. Czuła ją na skórze, wraz z krwią i potem Zerdiego. Ulatujące życie chłopca przenikało wraz z jego płynami ciało Likal. Wściekłość i żal jednocześnie szarpały duszą czarownicy.

Zacisnęła usta, zamknęła oczy, skupiła moc i użyła gniewu jak zapalnika. Dopiero wtedy uruchomiła zaklęcie.

Palce czarownicy zaciśnięte na ramieniu chłopca rozjarzyła srebrzysta poświata. Czar stłumiony magią syreniej wyspy ledwie się skrzył, ale to wystarczyło, by zatrzymać półsyrena w drodze w zaświaty. Zerdi jęknął cicho. Serce biło miarowo, a oddech się wyrównał. Chłopiec zasnął.

Likal odetchnęła głęboko. Szczęśliwa, na moment zapominając, gdzie jest, rozejrzała się za opiekunami, chcąc pochwalić się nową umiejętnością. Zaraz jednak pojęła, że na wyspie nie ma ani Yasy, ani Sodiego.

– Odeślij mnie z powrotem, dobrze ci radzę – powiedziała spokojnie.

Zerderan, zszokowany, przenosił spojrzenie z dziewczyny na syna i odwrotnie.

– Jak? – wyszeptał. – Jak mogłaś czarować? Przecież wyspa... Jak?!

Wzruszyła ramionami i wstała.

– Odeślij mnie.

Zerderan również się podniósł.

– Nie mógłbym, nawet gdybym chciał. A nie chcę. Kiedyś uciszyłaś syrenią pieśń...

Nie dokończył myśli, bo ogromny rozbłysk tuż nad jego głową zdecydowanie mu to uniemożliwił. Nie zdążył też się uchylić przed pazurami złotego smoka. Pyri złapał kuzyna, poderwał się wraz z nim i, uniósłszy wysoko ponad wyspę, zawisł w bezruchu.

– Ostrzegałem cię – dobiegł króla mórz beznamiętny głos Yasy. Mag siedział na grzbiecie smoka. – Chwilowo ja i Pyri jesteśmy jednością. Chłopak będzie nieco zły, kiedy dowie się, że roztrzaskałem jego kuzyna na skałach syreniej wyspy... ale może warto spróbować?

Zerderan błyskawicznie ocenił swoje szanse.

– I co ci to da? – krzyknął. – Dziewka i tak na wyspie zostanie. Nie ma takiej mocy, która by ją stąd zabrała, póki nie dotrzyma przyrzeczenia.

– Jakiego przyrzeczenia?

– Przyrzeczenia wyspy. Jesteś z Pyrim jednością? Zapytaj go. On wie.

Czekał kilka uderzeń serca, aż wreszcie smok powoli zniżył lot. Nie postawił jednak Zerderana, lecz puścił go kilkanaście stóp nad ziemią, tak że władca mórz trzasnął z

hukiem o podłóżę. Dopiero wtedy Pyri usiadł wśród traw, niedaleko Likal, a Yasa zeskoczył ze smoczego grzbietu, zrywając więź.

– Jesteś cała? – Mag podszedł szybko do podopiecznej i objął ją zaborczo, a Likal wczepiła się w kurtkę Pierwotnego, szczęśliwa jak dziecko. – Likal?

– Nic mi się nie stało. – Podniosła oczy i uśmiechnęła się radośnie. – Zapanowałam nad gniewem, wiecie? I użyłam go, żeby rozniecić czar. Nawet nie wiedziałam, że tak umiem.

– Nie ma takiej rzeczy, której byś nie potrafiła – wyszeptał Yasa, patrząc wprost w rozjaśnione błękitne oczy podopiecznej.

Stojący obok smok sapnął cicho z zaskoczenia. Nie podejrzewał, że zazdrość aż tak boli.

– Ale ja nie wiedziałam – tłumaczyła Likal.

– Wiedziałaś czy nie, panienko – uśmiechnął się złośliwie tryton – złożenie obietnicy na syreniej wyspie zobowiązuje do jej dotrzymania. Póki tego nie zrobisz, pozostaniesz naszym... gościem.

– Nie zdołasz mnie powstrzymać, jeśli zechcę ją zabrać – chłodno zauważył Yasa.

– Nie muszę. Nie ja uruchomiłem portal. Wyspa to zrobiła. Ściągnie ją z każdego miejsca na ziemi, w którym będzie płynęła woda. Musi dotrzymać słowa.

Pierwotny spojrzał na Pyriego. Chłopak, już w ludzkiej formie, pokiwał głową. Wszyscy trzej siedzieli, tylko Likal nerwowo przemierzała plac. Od czasu do czasu zerknęła na wciąż śpiącego pod pręgierzem Zerdiego. Półtryton przewrócił się na bok, więc widziała, że jej zaklęcie działa, bo skóra na plecach dzieciaka powoli się goiła.

Och, gdybyż pozwoliła mu umrzeć... nie byłoby tego całego zamieszania.

Skarciła się za tę myśl, ale ona i tak wracała.

– Chcesz, żebym zmienił człowieka w syrena? – zapytał Yasa.

– Potrafięś ożywić martwą Pierwotną...

Mag zmarszczył brwi. Nikt nie powinien tego wiedzieć.

– Och, nie dziw się tak. Rzeki płyną, strumyki słuchają, morze wie – powiedział stare syrenie przysłowie Zerderan.

– A wie też, że nie zrobiłem tego sam? Tam była po mojej stronie moc elfów i Zakonu, a tu przeciwko cała syrenia potęga.

– Syreniej wyspy się nie bój, w tym konkretnym czarze raczej ci pomoże, niż przeszkodzi. I tu też nie będziesz sam. Coś mi mówi, że twoja panna chętnie cię wesprze, a i na smoczą moc możesz liczyć, prawda, kuzynie?

Pyri sapnął, ale niechętnie przytaknął. Obiecałby wszystko, żeby zabrać Likal z wyspy.

Yasa pokiwał głową w milczeniu.

– A wiesz, że jest łatwiejszy sposób? – zapytał bardzo cicho. – Jeśli zmiotę ten twój kawałek skały...?

Zerderan zachichotał.

– A spróbuj! Proszę bardzo! Pokolenia czarodziejów próbowały. Słuchaj, Yaso, wiem, że mnie nie lubisz. Nigdy jakoś... No, nieważne, ale przecież rozumiesz, prawda? Chcę, by moje dziecko było podobne do mnie, żeby żyło długo, żeby mój ród nie wygasł. Rozumiesz, prawda?

Mag odwrócił wzrok.

– Morze wie? – zapytał niechętnie.

– Wie.

Zapadła cisza, przerywana piskami mew, szumem wiatru i chlupotem fal.

– To ryzykowne zaklęcie – powiedział wreszcie Yasa.

– A ty i tak będziesz miał męskiego dziedzica – nie wytrzymał Pyri, rumieniąc się gwałtownie.

Zerderan uśmiechnął się.

– O tym porozmawiamy później. I to niczego nie zmienia. Panna złożyła obietnicę. Co to znaczy, że ryzykowne?

– Chłopak może nie przeżyć.

Król mórz spojrzał na śpiącego syna. Zawahał się.

– Jakby go to martwiło! – parsknęła Likal, podchodząc do Yasy. – Prawie zatłukł Zerdiego.

– Nie wiedziałem, że jest taki słaby! – warknął Zerderan. – Nie chcę jego śmierci. Ale człowiek... Człowiek... Zresztą to bez znaczenia. Jeśli nie będzie taki jak ja, ona nie opuści wyspy.

– Dobrze. – Pierwotny wstał. – Obudź go. Nie chcę... zajmować ci więcej czasu niż to niezbędne.

– Może byśmy trochę poczekali, panie Yasa – szepnęła dziewczyna, kiedy Zerderan poszedł obudzić syna. – Dopiero com go wyciągnęła z drogi do przodków. Mówiliście, że to niebezpieczne...

– Twoja moc w jego ciele pozwoli mu przeżyć – odpowiedział Yasa. Pochylił się nad dziewczyną i dodał łagodnie: – Nie chcę śmierci chłopca. Związałaby cię z wyspą na zawsze.

Likal pobladła lekko.

– A myślałam...

– Wiem – potaknął – słyszałem.

Pyri patrzył na nich coraz bardziej poirytowany. Zazdrość szumiała mu w żyłach. Miał ochotę wstać, zmienić formę i zeżreć Pierwotnego, chociaż nigdy, przenigdy nie zjadł istoty myślącej, czy to człowieka, krasnoluda, Gaala, czy elfa. Ponoć kiedyś, dawno, jego przodek zjadł jakiegoś czarodzieja... Tak, Pyri mógł sobie wyobrazić to uczucie. Na samą myśl o nim miał ochotę się uśmiechnąć. Ale nie zrobił tego, bo Yasa delikatnie położyła dłoń na ramieniu podopiecznej i smoka ponownie zalała krew.

Zerdi podszedł, przecierając kułakiem oczy. Był zaspany, ale poza tym wyglądał dobrze. Zupełnie jakby nie umierał ledwie chwilę wcześniej. Jego ładna, niesłychanie podobna do ojcowskiej twarz pojaśniała na widok Likal, a w oczach rozbłysnął absolutny zachwyt.

– Będę jak ojce, panienko? – zapytał.

– Będziesz, Zerdi. Przecież obiecałam.

Chłopiec zawahał się.

– Będzie bolało? – dodał wreszcie.

– Będzie – odpowiedział za Likal Pyri. – Jak cholera!

– Pyri! – wrzasnęła dziewczyna, bo półtryton pobladł gwałtownie.

– Nic to – wyszeptał Zerdi. – Najważniejsze, że będę jak ojce.

– Zaczynajmy – ponaglił Zerderan.

Yasa skinął głową.

– Pyri, rozpal smoczy krąg wokół chłopca – polecił.

Młodzieniec zmienił formę. Spojrzał na Pierwotnego, ponownie wspominając pradziada... Naraz dojrzał błysk w oku maga. Yasa wiedział. Ten skur...

– Pyri, krąg – powtórzył chłodno mag, jakby znał smocze myśli.

Smok splunął ogniem, tworząc idealny okrąg. Niewysokie płomienie tańczyły wokół stojącego w środku półtrytona. Chłopiec rozglądał się nerwowo.

– Patrz na mnie, Zerdi! – krzyknęła Likal. – Patrz na mnie!

Posłuchał i naraz poczuł ogarniający go spokój.

– Likal – poprosił Yasa – połączenie.

Czarownica uchwyciła jego dłoń. Przywołała smoka, a gdy podszedł, położyła rękę na jego boku. Pyri zmrużył powieki, ale i tak nie zdołał ukryć przyjemności mgłacej zielone ślepie. To zaś spowodowało, że i Yasa zmrużył oczy. Z zupełnie innego powodu.

– Mam wam jakoś pomóc? – zapytał Zerderan.

– Nie przeszkadzaj – odpowiedział Pierwotny zmienionym głosem.

Zakłęcie uderzyło jak wichur. Połączone siły dwojga magów i smoczej mocy uderzyły w krąg ognia. Płomienie strzeliły ku niebu z głośnym trzaśnięciem. Szum i syk

narastały naprzemiennie. Zamknięty w ognistej tubie chłopiec, utracił kontakt z Likal, zaczął się szarpać. Płomienie rosły, a wokół niego robiło się coraz zimniej. Naraz spod stóp półtrytona wytrysła woda i błyskawicznie zaczęła się podnosić. Nie gasiła ognia, a on, jakby odporny na jej działanie, jeszcze spotęźniał. Woda szybko sięgnęła kolan chłopca. Rzucił się ku ognistej ścianie, bardziej wystraszony możliwością utonięcia niż ogniem. Płomień strzelił, parząc boleśnie, i Zerdi cofnął się. Woda sięgnęła ud. Serce półtrytona przyspieszyło.

Kiedy woda dotarła do bioder chłopca, przestała się podnosić. Stał, wystraszony jak jeszcze nigdy, i czekał. Chwilę, bo potem kości zaczęły się przestawiać w stawach, a Zerdi krzyczeć. Wrzeszczał rozpaczliwie, jakby powoli obdzierano go ze skóry. Krzyczał i łkał na przemian, a gdy brakło mu sił, jęczał, coraz ciszej i ciszej, aż zamilkł.

Zerderan dreptał przed ognistą tubą i zaciskał dłonie.

– Czy on umarł? – zapytał, nie mogąc znieść ciszy.

Odpowiedziało mu milczenie, bo trójka połączonych utrzymywała zakłęcie. Tryton przygryzł wargę.

Tam, w środku, płonął jego syn. Krew z jego krwi. Nic nie jest ważniejsze od więzów rodzinnych. Kiedy więc chłopiec krzyknął ponownie, Zerderan nie mógł czekać. Coś, czego nie potrafił nazwać, coś szarpnęło, zabołało, bardziej, niż chciałby przyznać. Może serce, może dusza, może... Nie mógł czekać.

Smok drgnął, kiedy król mórz skoczył w ogień, ale Yasa wzmocnił zakłęcie, by powstrzymać Pyriego przed ratowaniem kuzyna.

– Kotwica, Likal – wyszeptał w myśli dziewczyny.

Czarownica westchnęła.

W płonącej tubie Zerderan patrzył na przemianę syna. Nie mógł już uciec, nie mógł zawrócić. Likal zakotwiczyła go w zakłęciu, a Yasa przelewał syreni dar z ojca na syna. Zerderan zawisł więc dwa kroki nad ziemią, skąpany w wodzie i unoszony pierwotną mocą, z zachwytem i bólem patrząc, jak jego syn, krew z jego krwi, staje się wreszcie pięknym. Staje się syrenem.

IX

Zoto zosa

Krągłe piersi Kyty kołysały się tuż nad twarzą Sodiego. Miękkie i twarde jednocześnie, cudownie jedwabiste i słodkie w smaku. Kiedy dochodziła, sutki tężały w dwa małe guzeczki, brązowe i sztywne. O, tak jak teraz. Tętno jej przyspieszyło, mięśnie zeszywniały...

Sodi jęknął równocześnie z elfką. Długi, przeciągły jęk, kolejny tej nocy. Dziewczyna opadła na pierś krasnoluda, a on trzepnął ją łagodnie w krągły tyłeczek.

– Kurwa, dziewczyno... – wyszeptał z zachwytem.

Zachichotała cicho i zsunęła się w pościel.

– U nas tak nie wolno – wydyszała.

– Znaczy jak? – zainteresował się. – Ostrouchym pannom na górze nie wolno? Czy może w ten drugi – uśmiechnął się jednoznacznie – no wiesz, panna, drugi sposób...

– Takich słów używać – dokończyła już spokojniejszym tonem. Złapała wielką łapę krasnoluda i położyła ją sobie na piersi. – Jeszcze – powiedziała prosząco.

– Jakbym, kurwa, wiedział, że mnie tu takie delicje czekają, zajrzałbym już wcześniej. Tyle człek talarków niepotrzebnie stracił – zauważył rezolutnie.

– Mówcie jeszcze... – Kyta już jęczała, ocierając się pośladkami o podbrzusze mężczyzny.

– A co byś panna chciała wiedzieć? Oooo... ooo... bogowie... To może ci rzeknę, jakem kiedyś u królowki... Ooooo kuuuurwa! – wrzasnął, tym razem nie z przyjemności.

Tropiciel zawył gwałtownie, szarpnął, rozdarł świadomość krasnoluda i wyrwał się na wolność.

Yasa i Likal wyskoczyli z Mostu przed chatą, którą przydzielił im elf. Ledwie ich stopy dotknęły leśnej ściółki, wokół rozpętało się piekło. Jaśniejący blask portalu zgasł zdmuchnięty uderzeniem magii. Ziemia się poruszyła, ciszę nocy rozerwały grzmoty, wichura szarpnęła koronami drzew... by po chwili ponownie pogрузić okolicę w kompletnej ciszy i mroku.

Likal spojrzała na opiekuna pytająco, ale Yasa nie patrzył na nią. Przyglądał się drzewom. Las ożył. Konary poderwały korzenie z gleby, by tańczyć do rytmu wygrywanego przez wiatr. Do chłoszczącego liście wichru ponownie dołączyła burza. Pioruny przecinały niebo, a grzmoty trzęsły elfią wioską. Drzewne stwory płaśły wokół chat, to oświetlane oslepiającymi błyskami, to znów pograżające się w ciemności. Biel i czerń, naprzemiennie w opętanym tańcu.

Kolejny podmuch szarpnął dziewczyną, ale Yasa zdążył podtrzymać ją i uchronić przed upadkiem. Szalejące zakłęcie podrywało z ziemi połamane gałązki i rzucało nimi we wszystkich kierunkach. Pierwotny w ostatniej chwili rozpiął niewidzialną tarczę. Kamienie i gałązki odbijały się od niej, padając pod stopy dwójki czarodziejów, a oni stali, zaskoczeni, obserwując nawałnicę. Staliby tak może i dłużej, gdyby niewidzialnej osłony nie przebiła rozedrgana wstęga Tropicielea. Trafiła maga w ramię, zacisnęła się wokół niego i podrygiwała nerwowo. Krwistoczerwona i cienka jak sznurki przy koszuli Sodiego. Yasa nie próbował się uwolnić. Macki Tropicielea nie były realne, niewielu mogło je zobaczyć. Likal z niepokojem spojrzała na opiekuna.

– Chwyć mnie. Mocno – polecił Yasa, a kiedy to zrobiła, postąpił w kierunku wskazywanym przez czerwoną wstęgę, nieustannie utrzymując osłonę. Krok za krokiem, smagani magicznym wiatrem, przyciskani do tańczącej pod ich stopami ściółki, szli do chaty, w której czekał na nich krasnolud. Wokół drzewostwory wyginały konary w szalonych płaśach. Wiatr wył, uderzały pioruny... Tuż obok przebiegł potężny jelen z przerażeniem w ogromnych wilgotnych ślepiach. Za nim równie wystraszone biegło stado wilków. Żadne ze zwierząt nie zwróciło uwagi na samotną dwójkę zmagającą się z wichurą.

Nim dotarli do chaty, kolejne pięć magicznych wstęg przebiło niewidzialną tarczę i ciągnęło oboje czarodziejów. Ustąpiły dopiero, gdy Yasa otworzył drzwi...

Sodi leżał kompletnie nagi, zwinięty jak przerażone zwierzę, i charczał cicho. Zaciśnięte wokół kolan ramiona podrygiwały nerwowo, a ciemne oczy brodacza rozglądały się nieprzytomnie. Obok niego, na legowisku, leżał niedźwiedź. Mruczał niespokojnie, najwyraźniej wystraszony jak i krasnolud i jak on niezdolny, by się ruszyć.

Pierwotny błyskawicznie uchwycił dłoń Likal, spojrzał na nią, porozumieli się bez słów. Dopiero wtedy Yasa dotknął ramienia Sodiego.

– Wracaj, wracaj, wracaj – wyśpiewała czarownica. Moc spłynęła ze splątanych palców i rozlała się w myśli obojga czarodziejów. Powolutku, bardzo powolutku rosła, potężniała, by wreszcie w ponownie wyśpiewanym zakłęciu uderzyć w szalejący czar.

Nie zdołała go pokonać. Nie to było celem. Uratowała jednak Sodiego, przywołując rozedrganego Tropicielea i zamykając go ponownie w podświadomości krasnoluda.

Dopiero wtedy Yasa objął tarczą również nagiego przyjaciela.

Yudherthardere przestał rzeźnić. Jeszcze chwilę leżał w tej samej pozycji, chłonąc na nowo odzyskanymi zmysłami otaczającą go rzeczywistość. Nagła ulga sprawiła, że chyba się posikał, ale to w tej chwili nie było ważne.

– Żyjecie, panie Sodi? – zapytała łagodnie Likal.

Potaknął powoli i sięgnął po prześcieradło. Dopiero kiedy się okrył, usiadł i spojrzał na przyjaciół.

– Co to, kurwa, było? – wyszeptał, bo głośno mówić chyba nie zdołał.

– Zdaje się, że owe przyjemności, na które zapraszał nas Leśny Pan – chłodno zauważył Yasa i podał Sodiemu chusteczkę. Krasnolud przez chwilę patrzył na nią, nie rozumiejąc.

– Krwawicie z nosa – stwierdziła czarownica.

Yudherthardere przyłożył materiał do olbrzymiego kinola, z którego rzeczywiście kapłała posoka. Pochylił głowę i z żalnością spojrzał na leżącego obok niedźwiedzia. Łzy zakręciły się w ciemnych oczach krasnoluda. Szczere, najprawdziwsze łzy. A był to widok tak zaskakujący i kompletnie nieznan, że Likal aż otworzyła buzię.

– Co wam, panie Sodi? – zapytała przestraszona.

– A dyć, kurwa, raz się mnie trafiła niewiasta, co i docenić całe to – zrobił nieokreślony ruch dłonią wokół siebie – całe to dobro potrafiła... Raz się trafiła. A i język wiedziała, do czego służy... No, czego tak patrzycie, panie Yasa? A wiedziała! Może i nie jako owa nauczycielka, co mnie we szkołach liter uczyła, ale swoje rozumiała. I co? I jakiś, niech go kij samobij po jajach trąca, czarownik w miśka ją przerobił! A to taka dobra dziewczuszka! Zacna! Może bym się i nawet ustatkować zechciał. Dzieciaki by może nie najmądrze się porodziły, ale za to ojca by szanowały, a gębę jakby miały po matce, to pół Krainy by mnie ich zazdrościło. Aaaa – zapłakał Sodi nas swoją niedolą, bo teraz, skoro już o ożenku być mowy nie mogło, to mu nawet do głowy przyszedł.

– Nie martwcie się, panie Sodi. – Likal naraz odkryła w sobie pokłady współczucia dla krasnoluda i nieporadnie poklepała go po ręce. Może był to efekt żalnej miny Sodiego, a może nowo odkrytych uczuć po pewnym pocałunku...

– Ano nie martwcie się, Yudherthardere. – Yasa uśmiechnął się pod nosem. – Coś mi mówi, że jeszcze będziecie mogli o rękę panny zabiegać. – Wskazał na niedźwiedzia, który właśnie tracił futro. Odpadało płatami, odsłaniając jasną skórę, a każdy fragment brunatnej sierści nim dotknął prześcieradła, znikał.

Sodi poderwał się z łóżka. Prześcieradło nieco się osunęło, odsłaniając więcej całego tego dobra, niż Likal była gotowa zobaczyć, więc dziewczyna, wpatrzona przed chwilą ze współczuciem w krasnoluda, odwróciła głowę i też spojrzała na niedźwiedzia.

Zwierzak stracił i sierść, i kształty. Naga Kyta spała snem sprawiedliwego z rozanielonym uśmiechem na ładnej buzi. Na ten widok krasnolud wyprężył się dumnie i wykrzywił usta tak jednoznacznie, że Likal przewróciła oczyma.

– To jak? Budzimy pannę, żebyście mogli poprosić ją o rękę, czy idziemy poszukać leśnego pana? – zapytał ironicznie Yasa.

Wyrwany z chwilowego samozadowolenia Sodi zamrugął gwałtownie. Westchnął na poły rozczarowany, na poły niespokojny.

– Wiecie, jak tak patrzę, to tak se dumam, że może lepiej niech se dziewczuszka śpi, nie? Się bidulka zmęczyła... – Uniósł brwi, a usta wykrzywił w uśmiechu.

– Najbardziej wtedy, kiedy jakiś krasnolud darł się jej do ucha – wymamrotała Likal, bo współczucie nie obejmowało napuszonego Sodiego.

– A żebyś, panna, wiedziała, że wtedy się męczyła najbardziej – zachichotał Yudherthardere.

Likal fuknęła z niesmakiem.

– Ale czekajcie – Sodi zamarł, wkładając spodnie – toż nie wiadomo, czy cały czar cofnięty. A jak wyjdziem na zewnątrz, a tam nas jakie magiczne... tfu, tfu... insze bydłatko, co to nie ma takich cycków jak ta moja Kyta, za dupę złapie? Nie żeby w wasze moce wiary nie miał, ale tamto... toż to pierdolnik był, że strach. Jak mnie przydusił, to zem już przodków wszystkich, kółeczkiem na moje przywitanie stojących, obaczył.

Likal podeszła do drzwi i wychyliła głowę. Las spał, burza minęła i po magicznej nawałnicy nie został ślad. Dziewczyna wyszła, a Yasa w milczeniu poszedł za nią.

Sodi stał jeszcze i patrzył na śpiącą elfkę. Spała z rozchylonymi ustami, ładniutka i nieco pulchna, zupełnie tak jak lubił. Może to nie był taki głupi pomysł, co nie? Ostrouchych w rodzinie kilku było, żaden wstyd... a takie delicyje miałby na własność.

Eech, się wziął, się zadumał. Toż za młody jest na pomnażanie Yudhertharderowskiego rodu!

Leśny pan czekał przed tą samą chatą, przed którą spotkali go po raz pierwszy. Siedział oparty o ścianę, a obok niego płonęła pochodnia, oświetlając bladą, zmęczoną twarz elfa. Nie podniósł się na spotkanie gości, ale tym razem nie był to pokaz siły, a słabości.

– Takie wdziwanie i zzuwanie niedźwiedzia skóry to strasznie sterać może, co nie? – warknął Sodi, bo kiedy ostrouchego królika dojrzał, przypomniał mu się cały ból sprzed chwili. – Jużeście nie tacy cacuśni jak pierwej.

– Więc wiecie...

– Jakbyście tak, kurwa, uprzedzić raczyli, by się człowiek jakoś osłonić zdołał. Wiecie, jak to bolało?

Elf opuścił ciężkie powieki i przez chwilę mogło się wydawać, że zasnął.

– Musiałem sprawdzić... – powiedział wreszcie.

– No kurwa, trzymajta mnie! – zaperzył się Yudherthardere. – Coście chcieli sprawdzić? Czy ducha nie wyzionę?!

– Mniej więcej – przytaknął elf.

Na taką zdumiewającą szczerość Sodi nie znalazł odpowiedzi. Spojrzał na Yasę, dając przyjacielowi do zrozumienia, że ktoś go musi powstrzymać, co by urodziwego lica ostroucha nie przefasonował.

– Ferionie, panu Yudherthardere należą się przeprosiny – powiedział sucho Yasa

– Potrzebujecie czegoś od nas, a my czegoś od was – wzruszył ramionami elf. – To normalne, że muszę wiedzieć, czy się do tego nadacie, prawda?

– My nie narażamy waszego życia.

Ferion roześmiał się cicho.

– Chcesz artefaktu ze Złotego Dębu. I obaj wiemy, przeciw komu chcesz go użyć. To wystarczająco ryzykowne. Nie udawaj więc, że jesteś ode mnie lepszy.

Yasa zacisnęła zęby. Zerknął na Likal, a potem na Sodiego.

– Masz rację – powiedział. – Nie jestem od ciebie lepszy. Ale to nie moim życiem tej nocy ryzykowałeś i nie mnie winien jesteś przeprosiny.

Zapadła cisza. Ferion popatrzył na gości.

– Dobrze. Panie de Gra Yudherthardere, przepraszam. Powinienem was uprzedzić o zaklęciu.

– Anoście powinni – przytaknął krasnolud nieco uspokojony. Usiadł obok elfa i poklepał go po udzie. Może i miał to być prawie przyjacielski gest, ostatecznie dzięki łaskawości Leśnego Pana Sodi zaznał najlepszej w życiu darmowej pochedóżki... I to jakiej! Może więc i miał to być przyjacielski gest, ale Sodi włożył weń tyle siły, że elf aż jęknął. – To rzeknijcie, co to za cholera cacuśne pieszczoszki mojej Kyty futrem okryła, co?

Likal wierciła się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Była zmęczona, ale sen jakoś nie przychodził – tyle strasznych, dziwnych, wspaniałych... w ogóle niesamowitych rzeczy jej się przytrafiło. Kręciła się z boku na bok, wciskała głowę pod poduszkę, by po chwili, z trudem łapiąc oddech, wychynąć spod pierza.

– No, panna, wlażło ci coś w ten mały kuperek, że go w miejscu utrzymać nie możesz? – Sodi nie wytrzymał, bo przez podrygi dziewczyny budził się co chwilę.

– Nie mogę spać.

– To, cholera, widzę. Co się mnie oko zamknie, to go panna otwierasz, podskakując w pościeli. Dałabyś już dupie siana, co nie? Człek zmęczony, już tam wiesz dlaczego.

Odpowiedziało mu fuknięcie. Przez chwilę był spokój, więc Yudherthardere znów osuwał się w błogostan...

– Panie Sodi...

– Jasna dupa! Czego zaś?

– Bo wiecie, panie Sodi, ja o ten artefakt chciałam zapytać.

– A nie możesz panna do rana poczekać?

– Dyc już rano. Szarzy się za oknem. Ino patrzeć, jak słońko wstanie. Jakbyście już wy tam wiecie czego pół nocy nie robili, toby wam dziwne nie było.

– Oj, już mnie panna nie czaruj delicji wspomnianiem. Niech ci będzie. Co chcesz wiedzieć?

– Wiecie, pan Yasa... – zerknęła w kąt izby, w którym spał Pierwotny. Czują jego sen, głęboki, bez obrazów. – Kazał mi czytać o różnych zaklęciach, przedmiotach i takich tam... ale nie było w tych księgach nic o Złotym Dębem.

Sodi westchnął. Też rzucił okiem na Yasę, upewniając się, że ten śpi. Nie bardzo wiedział, ile może dziewczynie powiedzieć. Inna sprawa, że pewnie gdyby Likal się skupiła, włazłaby mu w myśli i nic by ukryć nie zdołał. Aż dziw, że ostatnio tak się starała, by tego nie robić.

– Panie Sodi? Zasnęliście?

– Jakbyś, cholera, panna, pozwoliła – sarknął. – Nie, nie śpię. Yasy nie pytałaś?

– Zmęczony był.

– Nie no, ja zaś wypoczęty jak Doru po próbach zabawy z twoją klaczką. Aż, jak mój kuc, słaniem się z wypoczęcia.

Likal zachichotała cicho, wspominając widok krasnoludzkiego kuca.

– Ano bidulkowi kopytka się plątały.

– Tak z chłopami bywa, jak im baba za skórę wlezie.

Dziewczyna podejrzanie milczała, więc Sodi popatrzył na nią.

– Aaaa... znaczyś panna już zakosztowała i takiego widoku. Ten twój smoczy kochaś, co? Nie trza przeczyć, przecie widzę, że ci się gębula śmieje.

– Panie Sodi! – szepnęła, zerkając prędko w stronę Yasy.

– Dobra, dobra. Ino żebyś wiedziała, jak ci się tak oczyska błyszczą... No, miło jest.

Zamilkli oboje nieco wzruszeni.

– To jak z tym Złotym Dębem? – nie wytrzymała długo dziewczyna.

– Eeeech, wołałbym, żeby Yasa... Nic to, skoro akurat dzisiaj ma takie spanie... pamiętasz panna, jakem ci opowiadał, że Zakonna poszła przed Pierwotnych bogów,

żeby dupę twojego szacownego opiekuna ocalić? Pamiętaj. No to ciż sami bogowie uznali kiedyś, dawno, dawno temu, że zabawią się tworzeniem magów. Siedzieli se tam, na tych, o, chmurkach i się ludziskom przyglądali. I chyba uznali, że nudny ten świat i trza mu jakiejś tej, no, rozrywki. No i stworzyli Pierwotnych. A potem jeszcze kilku takich pomniejszych czarodziejów. I tak se obserwowali, co się w tej naszej Krainie wyprawia, skoro na magów scedowali część swojej mocy. Ponoć tym pierwszym czarodziejom, to im się w dupach poprzewracało i światy chcieli tworzyć, coby się z bogami zrównać. No to przedwiecznych kurwica wzięła i posadzili w Lesie Elfów takie drzewko, co to, jak się z niego jedną figurkę wyrzeźbiło... ale rzeźbić trza było latami, a i zaklęć użyć przy tym całe mnóstwo... No więc jak już tę figurkę się wystrugało, to z jej pomocą można było takiego czarodzieja, co to mu się w tyłku i łbie namieszało, mocy pozbawić. Miały tego drzewa Leśne Elfy pilnować. No i przez wieki całkiem dobrze im szło, aż, jakieś sto lat temu, się Złoty Dąb zjarał. Ponoć piorun... ale niektórzy mówią, że to wasz tatulek, jak podpierdolił artefakt, postarał się, żeby następnego nikt nie zorganizował.

Likal wciągnęła gwałtownie powietrze. Sodi spojrział w jej kierunku i zafrasował się.

– Cholera, Yasa o tatulku wam nie wspominał?

– Nie zdążył.

– A bo też i on powinien... Szlag.

– Ten... mój ojciec...

– Orian, takie ma miano. Orian.

– Orian – powtórzyła dziewczyna, badając, jak smakuje to nowe słowo. – Mówicie, że ukradł artefakt? To skąd on znowu u elfów?

Sodi usiadł. Podrapał się po łepetynie, zlął z łóżka i podszedł do Likal.

– Cholera... Wiesz, panna, udało im się odzyskać.

– Coś żeście przemilczeli...

– A bo Yasa powinien...

– Panie Sodi, proszę. Z wami jakoś tak łatwiej.

– Ano ze mną zawsze łatwiej. – Krasnolud uśmiechnął się krzywo. Poklepał dziewczynę, ale bardziej odruchowo niż z czułością. – Pewnikiem chcecie wiedzieć wszystko? Ano tak. Yasa mi jaja na słoninie usmaży... No więc, panna, był taki Pierwotny, Uter mu było. Lubił... – zatchnął się, bo mimo że uważał Likal za całkiem już podrośniętą, jakoś nie wydawało się słusznym rzec pannie, że czarownik młodych chłopców do łóża brał – ludzi... znaczy ludzi lubił. Słabość miał takową. Ze sto lat temu z okładem znalazł se kolejnego... pomocnika, a że dzieciakowi rozumu nie brakowało, szybko se Utera urobił i mag dupy nigdzie bez niego nie ruszał. Co więc,

jak mówią, zaczął chłopaka uczyć, tajemnice mu nawet powierzać. Niektóre gadały, że wasz tatulek wrodzony dar miał... jak to było? A tak: że obdarzony. To taki...

– Człowiek, co potrafi niewielkie zaklęcia rzucać. Wiem, pan Yasa mi tłumaczył.

– No właśnie. Tak mówią niektórzy, a inni, że Uter jakimś zaklęciami trochę mocy na Oriana przelał, coby mógł dłużej młodość i te, no... lico urodziwe zachować. Grunt, że lata mijały, a wasz tatulek ciągle trwał przy Pierwotnym. Aż jednej zimy Uter zabrał chłopaka na zgromadzenie, a tam celebrowali święto Złotego Dębu. Leśny Pan, ten sam, co nas tak cudnie ugościł, przywiózł wtedy artefakt. Taki zwyczaj mieli. Modlitwy, tańce, pijaństwo i orgie do białego rana. No, a nad ranem się okazało, że artefaktu ni ma. I waszego tatulka też. Bystry był chłopak, nie ma co. Wiedział kiedy i jak. Ja tam Pierwotnych nie żałuję, a już ostrouchego całkiem nie. Jakby dupą nie dumali przez pół nocy, toby im nikt cuda takowego nie podpierdolił. Trza wiedzieć, kiedy miętosić pościele, a kiedy dobra pilnować.

Likal uniosła brew, bo jakoś była pewna, że w tym krasnolud mógłby ścigać się z owymi wspomnianymi magami. Zmilczała jednak, a Sodi udał, że miny nie zobaczył.

– I widzisz, panna – kontynuował cicho, nie patrząc na dziewczynę – jeszcze przed wiosną wasz tatulek odgadł, jak artefaktu użyć. Jednej nocy wrócił do domu protektora i wysłał z niego całą magię. Jak Utera znaleźli, to już tylko imię Oriana wycharczał i do przodków poszedł.

Likal sapnęła cicho i wcisnęła się w kąt łóżka.

– Mój ojciec... zabił tego maga? – wyszeptwała.

– Może i nie chciał, kto wie? Nie każdy poznał, że w magii Pierwotnego jest jego życie.

– Mówiliście, że czarodziej uczył go wszystkiego...

– Może nie był aż tak durny, żeby tłumaczyć, jak siebie wysłać na tamten świat.

– Ale dlaczego? Dlaczego, panie Sodi? Wiem, że pewnie go nie lubił. Chędożenie nie wystarczy, żeby kogoś kochać. Oj, nie patrzcie tak, przecież nie jestem dzieckiem, a i od dwóch lat was słucham. Wiem, że ojciec i tamten Pierwotny... Może to i wystarczający powód, żeby pozbawić go magii.

– Ech, panna, mówiłem, że Yasa powinien. On by to jakoś tak... W te twoje niewinne patrzydła by zajrzał i każde słowo byś łykła...

– Panie Sodi! – syknęła dziewczyna, rumieniąc się gwałtownie.

– A niby nie?

Likal milczała.

– Nic to, panna. Chciałaś, cobym ci wszystko rzekł, to rzeknę. Potem jeszcze czterech innych czarodziejów eee... podzieliło los Utera. Pewnie byłoby i więcej, jakby

leśne elfy z Zakonnymi i pozostałymi Pierwotnymi nie dopadły Oriana. Odebrali mu artefakt i, tak mnie uczyli, wysłali do przodków.

– Ale przecież...

– Dyc mówię, że mnie uczyli. Musiało się im coś popieprzyć, skoro kilkadziesiąt wiosen później razem z waszą mamulą was wyrzucili.

– Pan Yasa też? – zapytała po dłuższym milczeniu Likal. – No wiecie, też go ścigał?

– Nie. Yasa był wtedy zajęty czymś innym. Ale przez wiek prawie nikt o Złodzieju Magii nie słyszał.

– Złodzieju Magii – powtórzyła cicho dziewczyna.

– Tak go Zakonni nazwali, bo ten wasz tatulek to nie taki, wiecie, święty jeden, co by moc czarownikom zabierał, żeby ją w świat wypuszczać i równowagę w naturze i takie tam pierdoły... On ją sobie brał. Pasł to, co wcześniej albo Uter, albo bogowie mu podarowali. To z tej przyczyny Zakon też do łapania Oriana się wziął. Mówili, że za dużo magii w jednym człeku może Krainę rozpieprzyć czy coś...

Likal milczała, rozmyślając. Patrzyła przed siebie, w szarzejący krajobraz za oknem.

– Jeśli Orian jest moim ojcem – powiedziała wreszcie – to moja magia nie jest moja. Nigdy do mnie nie należała.

– Orian jest twoim ojcem – odezwał się Yasa zaspanym głosem. – Wróżki krwi nigdy się nie mylą. A magia należy do ciebie. Urodziłaś się z nią.

– Zakonna może być innego zdania.

– Rosa nie musi o tym wiedzieć.

Likal wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Okłamiecie ją? Dla mnie?

Przez chwilę Yasa milczał i dziewczyna myślała, że zasnął albo po prostu zignorował pytanie.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał – odpowiedział wreszcie. Poprawił poduszkę i dodał: – Już dnieje, przed nami długa droga. Idźcie spać.

Sodi wstał, unikając wzroku maga.

– Ano, panna, idźcie spać. Ja to chyba se zajrzę do Kyty. Nie wiadomo, kiedy znowu dziewczuszkę obaczę, a serducho tęsknić będzie.

– Coś się mi widzi, że prędzej inna część ciała – wymamrotała Likal, a potem przytuliła się do poduszki, udając niesmak na widok zadowolonej miny krasnoluda.

Powinna być zmartwiona albo przestraszona... przynajmniej zaniepokojona. Powinna rozmyślać o tajemniczym rodzicielu i bracie, który był tak do niej podobny, a tak inny jednocześnie. Powinna bać się spotkania z nimi, a może przeciwnie, tęsknić do niego.

A jedyne, o czym mogła dumać, to fakt, że pan Yasa okłamał dla niej Zakonną.

Wyjechali z elfiego lasu przed południem, aż do granic odprowadzani przez Feriona. Nim minęli ostatnie drzewa, Leśny Pan kolejny raz zapytał Yasę, czy nie wolałby zostawić Likal u niego w gościnie. Tym razem Pierwotny, zamiast znów odmówić, przyjrzał się elfowi w milczeniu. Od pierwszego spotkania dziesiątki lat wcześniej wiedział, że nie przeczyta myśli jasnowłosego. Teraz jednak naprawdę tego żałował. Intensywność elfiego spojrzenia, a nawet, Yasa dałby głowę, próby manipulowania zaśpiewem w głosie bardzo zastanawiały maga.

– U nas będzie bezpieczniejsza niż tam, gdzie zmierzacie – namawiał elf, błędnie uznając milczenie Yasy za wahanie.

– Już raz obiecywałeś jej bezpieczeństwo – chłodno stwierdził mag.

– Tamto to co innego. Władam lasem, wody należą do morskiego króla.

– Rozumiem. Mimo to Likal pojedzie z nami. Jeśli tak bardzo dbasz o jej bezpieczeństwo, zrezygnuj z zapłaty za artefakt.

Ferion przygryzł wargę, a potem z żalem pokręcił głową.

– Czar zabija wioskę. Zwierzęta uciekają, drzewa powoli obumierają. Niedługo pozostanie tylko martwe pole, a my albo będziemy musieli odejść, albo pomrzemy z głodu. Tylko ty i pan de Gra poradzicie sobie z tym, który nas przeklął. Potrzebujemy tej... usługi.

– A potem oddasz nam artefakt?

– Potem oddam wam artefakt.

Yasa zmarszczył brwi. Leśne elfy nie kłamią, a jednak było coś w tonie głosu Feriona, jakiś cień w spojrzeniu...

– Zatem do zobaczenia wkrótce, Leśny Panie. – Pierwotny uklonił się lekko.

– Do zobaczenia.

Ruszyli z kopyta. Kiedy jednak elf pozostał na tyle daleko, że nawet z umiejętnością słyszenia szeleszczącej trawy nie mógł podsłuchać rozmowy, Yasa zwolnił, by Sodi i Likal mogli się z nim zrównać.

– Wiecie, że mnie uczono, co leśne elfy łączyć nie mogą? – zapytał cicho krasnolud.

– Zauważyliście?

– No – potaknął Yudherthardere. – Jak on prawdę mówił, to mnie zaraz tu dwa cacuśne cycki wyrosną i se będę mógł czas w drodze umilać jak nic. Coś mu za bardzo na naszej Likal zależało. Albo zapałał do niej takim afektem jak Kyta do mnie... Znaczący nie powiem, nasza gówniara wyrosła na niebrzydką pannę, ale gdzie jej się tam równać z urokiem pewnego krasnoluda, co nie? No więc... albo się ostrouchy do naszej pannicy ślini i chciałby móc się na cudne jej lico gapić bez przerwy. Zaś panna nie

przewracaj oczyskami. Może i tak być. Przecie nie tylko tego twojego gadziego... ekhm... przyjaciela bogowie afektem do ciebie pokarać mogli, nie? Elfa też z nóg zwalić by zdołało. Kochliwe te ostrouchy... Znaczy te leśne, bo taka jedna, z nożykami na plecach i Yorhami przy boku, to już niekoniecznie.

– Yudherthardere – ostrzegł Yasa.

– Dyc tylko se z naszą Likal konwersuję, nie?

– Albo? – zapytała dziewczyna, żeby ciszę, jaka zapadła po wspomnieniu Zakonnej, przerwać.

– Albo skurwiel ukrywa jakiś mroczniejszy sekret – dokończył Sodi, przestając się uśmiechać. – Może ten, co go jedziem przekonywać, coby z wioski czar zdjął, nie taki łatwy będzie do przekonania, jak nam Leśny udowadniał. Albo...

– Wystarczy, Yudherthardere!

– Czyli też żeście pomyśleli...

Yasa rzucił Sodiemu swoje słynne spojrzenie, więc krasnolud zamilkł. Nieusatysfakcjonowana Likal nie dała się zbyć. Zamiast jednak krzyżeć czy domagać się odpowiedzi, sama o nią zadbała. Ledwie kilka uderzeń serca później Sodi poczuł wsuwające się w jego myśli macki. Nim zdołał rzucić ochronne zaklęcie, Likal odczytała obawy obu mężczyzn. Zerknęła na krasnoluda, a on na nią. Żadne słowa nie rzekło, pozostawiając tę wymianę myśli bez komentarza.

Ostatecznie Yasa nie musiał wiedzieć o wszystkim.

Zatrzymali się na posiłek dopiero popołudniu, chociaż Sodi głośno wyrzekął na niesprawiedliwość losu, a jego spory przecież brzuch dawał koncerty, odkąd słońce stanęło w zenicie. Dowodził więc krasnolud, że duzi mężczyźni potrzebują nie tylko stawy dla ducha, o którą już na szczęście Kyta zadbała, lecz także i dla ciała, a o tę nikt zadbać nie chce. Dowodził głośno i wyraźnie, a przygrywała mu orkiestra na kiszki. Niestety, na Yasie nie robiło to wrażenia i, póki słońce nie zaczęło marszu ku horyzontowi, a wzgórze, do którego zmierzali, nie wyrosło tuż przed nimi, mag nie pozwolił się zatrzymać.

Dzień był pogodny, chociaż chłodny. Wiosna wciąż jeszcze drzemała, wrywana ze snu co jakiś czas. Trawy na łąkach nieustannie pogrążone w szarości, nadal czekały na świeże źdźbła. Gdzieś tam, co prawda, wychynęły pierwsze samotne kwiatki, próbując, acz bez powodzenia, ubarwić okolicę. Gałęzie niektórych drzew powoli ubierała zieleń, ale większość wciąż stała naga.

Jako iż krajobraz znakomicie uzupełniał ponury nastrój Likal, dziewczyna podziwiała go, tak jadąc, jak i kiedy się zatrzymała. Początkowo, po wyjeździe z lasu, zerkała w

niebo, ale z czasem, czy to z powodu zmęczenia, czy faktu, że na niebie dostrzegą co najwyżej pojedyncze chmurki, przestała. Rozczarowana wbiła wzrok w kark klaczki, pozwalając jej biec za prowadzącym ogierem Yasy. Kiedy się zatrzymali, znów spojrzęła w górę.

– Ni ma, co? – z niejakim współczuciem zapytał Sodi.

– Musiał zostać na syreniej wyspie – wyszeptała. – I nie był zachwycony... tym, co zrobiliśmy Zerderanowi. – Spojrzęła na Yasę, ale mag milczał. Rozłożył derkę na trawie i usiadł na niej.

– Weź się, panna, nie frasuj. – Krasnolud poklepał dziewczynę po ramieniu, sięgnął do juków, wyjął z nich pajdę chleba i, rozłożywszy się obok przyjaciela, podał Likal kawałek. – Zjedz coś. Jak bebechy pełne, to i frasunek mniejszy. Nad rozlanym mlekiem deliberować ni ma co – dodał, kiedy młoda czarownica posłuchała. – A jak ten wasz... ekhm... przyjaciel rozum ma, to mu całe to niezachwycenie minie. Gdzie on drugą taką pannę jak nasza podopieczna znajdzie, ha? Siadaj, panna, a podkówki nam tu z gębuli nie rób. Patrzaj, jak słońce ładnie zachodzi, nie, panie Yasa? – Zerknął na Pierwotnego, ale ten milczał, wpatrując się w wierzchołek wzgórza. – Co wy tak nie jecie, panie Yasa? Złapaliście humory od Likal czy jak? Czekacie na co?

– Na zaproszenie – odrzekł spokojnie mag.

Zaskoczony Sodi skierował wzrok w miejsce, na które spoglądał Yasa. Na wysokim wzniesieniu, niemal pozbawionym roślinności, stała maciupenka chatka. Niewidoczna z daleka, nawet z tak niewielkiej odległości zdawała się jedynie punktem ciemniejącym na tle nieba. Trudno było ocenić, czy stoi pusta, czy też ktoś w niej czeka na nadchodzących gości. Krasnolud już miał skomentować słowa przyjaciela i zakpić z ewentualnego kurdupła, który taki domek sobie postawił, kiedy śpiący dotychczas Tropicielek warknął, obudzony bliskim zaklęciem. Warknięcie błyskawicznie przeszło w wycie. Macki Tropicielek już rozrywały krasnoludzki umysł...

Trawa wokół derki zadrgała. Konie zarżały gwałtownie, stanęły dęba i ruszyły galopem przed siebie. Ziemia wybuchła. Płaty brązowego wilgotnego błota eksplodowały we wszystkich kierunkach, a z dziur w ziemi wychynęły gigantyczne robale.

Sodi walczył z Tropicielem, rzucając kolejne ochronne zaklęcia.

Yasa poderwał się, odpychając zaskoczoną Likal, bo olbrzymia różowa dżdżownica rozwarła szczęki tuż na głowę dziewczyny. Stwór pacnął w miejsce, w którym przed momentem siedziała czarownica, i błyskawicznie podskoczył, by zaatakować ponownie. Druga larwa pełzła ku sparaliżowanemu krasnoludowi.

Pierwotny wykrzyczał zaklęcie. Naelektryzowane powietrze roziskrzyły dziesiątki igiełek. Oba robale zamarły. Pozbawione oczu pyski odwróciły się ku połyskującemu

skupisku. Igiełki pulsowały nerwowym, nierównym rytmem, przyciągając nie tylko magiczne stwory, ale i sam tworzący je czar.

– Oooo – westchnął Sodi, zdoławszy wreszcie zapanować nad alter ego. Wyrwał zza paska toporki i skoczył ku robalom. Nic tak nie przydawało Yudherthardere odwagi jak ostre wkurwienie po ataku Tropicielea. Uderzył na oślep, rozcinając larwę na pół. Gorąca posoka opryskała mu twarz, ale nie cofnął się. Ciął szybko, szaleńczo, atakując jak rozjuszony byk. Wściekłość grała mu w żyłach, krwawa mgła przesłaniała wzrok. Kawalki larw stały się pod stopami krasnoluda, a on tańczył na padlinie, skąpany we krwi stworów.

Nie trwało to długo, acz patrzącej na Sodiego dziewczynie wydawało się wiekiem. Nie zdążyła nawet wstać, by pomóc któremuś z opiekunów, a już po ataku magicznych dżdżownic pozostała tylko krwawa masa. Yudherthardere zmęczył się wreszcie albo dotarło do niego, przez zasłonę furii, że ćwiartuje truchło, bo przestał walczyć. Zasapany stanął, obejrzał pobojowisko wokół siebie, a potem uśmiechnął się nieco zawstydzony.

– Cały się człek upieprzył, no... – Przez chwilę bezskutecznie strzepywał resztki stwora z odzienia. Potem otarł ostrza o trawę i, spojrzawszy na Yasę, zapytał: – Na to zaproszenie czekaliście?

Pierwotny potaknął w milczeniu.

– Ano nie wypada takiej grzecznej inwytacji nie przyjąć. Wstawaj panna, ni ma co zwlekać. Pójdziem jaśnie wielmożnemu czarodziejowi pokłon złożyć. Może na jaką ciepłą polewkę chłop zaprosi. Koszulę i porcięta da jakie czyste i balijkę wody do kąpieli. Co tak panna oczy wytrzeszczasz? Trza być dobrej myśli...

Dziewczynie brakło słów, bowiem bycie dobrej myśli absolutnie nie pasowało do marudnego krasnoluda.

– No dalej, panna, bo się nam jaśnie wielmożny czarodziej obrazić jeszcze może...

– Czarownica – spokojnie skostatował Yasa, ruszając w kierunku małej chatki na wzniesieniu. Sodi i Likal szybko do niego dołączyli.

– Znajoma wasza? – nie wytrzymał krasnolud.

– Jeśli się nie mylę... Ale ten rodzaj magii uprawiała tylko jedna osoba. Kiedyś jednak nie używała jej przeciwko mnie. – Uśmiechnął się krzywo, nie odrywając wzroku od szczytu wzgórza. Nagle spoważniał. Złapał Sodiego, przyciągnął do siebie Likal... I błyskawicznie zamknął ochronny czar.

Pędzący z góry potężny gład z hukiem trzasnął w niewidzialną tarczę i rozprysł się na tysiące połyskujących drobin. Za nim już pędziły następne. Uderzały w magiczną barierę, wprawiając ją w drgania, bliskie wygaszeniu. Wewnątrz osłony Tropiciel rwał się na wolność, szarpiąc i drapiąc.

– Likal, przejmij! – poleciał szybko mag, a gdy młoda czarownica ujęła czar, zmrużył oczy, zebrał myśli i wyszeptał: – Chcę porozmawiać, Wereno. Tylko porozmawiać. Przestań.

Kolejny kamień grzmotnął w tarczę.

– Nie zmuszaj mnie, proszę... – Zaklęte w moc słowa płynęły mimo ochronnego czaru.

Spadający kamień wybuchł tuż przed wspinającą się na wzgórze trójką. Zamiast jednak rozprysnąć się ostrymi drobinami próbującymi przebić osłonę, ściągnął wszystkie kawałeczki do malejącego w mgnieniu oka wnętrza, kurcząc się w sobie. Następny zatrzymał się ledwie kilka kroków od szczytu wzniesienia i cofnął powoli.

– Chodź – błysnęło w umyśle Pierwotnego.

Tropiciel warknął ostatni raz, kiedy Likal cofnęła ochronne zaklęcie. Przed nimi ostre nagie skały przestawiały się błyskawicznie, tworząc szerokie, wygodne schody, ale ten czar nie ranił już alter ego krasnoluda. Tym razem gospodyni maciupieńkiej chatki zadbała o właściwe zaproszenie.

Siedziała na ławie przed domem, głaszcząc kota wtulonego w jej podołek. Podniosła wzrok, kiedy podeszli, i uśmiechnęła się jadownicie, widząc zaskoczenie w oczach Yasy.

– Tylko nie mów, że czas obszedł się ze mną łagodnie. – Głos Wereny skrzypiał niczym zardzewiały zawias.

– Nie zwykłem okłamywać... kobiet.

– Och, zwykłeś! – Chichot przeszedł w kaszel. Wystraszony kot próbował wyrwać się czarownicy, ale przytrzymała go mocno. – Widzę, że przyprowadziłeś wsparcie? To ta twoja słynna podopieczna? Ładna dziewczuszka. Jak ja kiedyś.

Sodi rozwarł usta, zaskoczony faktem, że malutka pomarszczona brzydula mogła kiedykolwiek być pięknnością. Staruszka skrzywiła się, jakby czytała w myślach krasnoluda. Sięgnęła za plecy, by przerzucić przez ramię gruby warkocz. W zachodzącym słońcu błysnęły złote włosy, intensywne i połyskujące, niczym splecione z prawdziwie złotych nici. Był tak ogromny dysonans między nimi a starym ciałem i brzydką twarzą kobiety, że trójka gości drgnęła odruchowo. Kobieta znowu zachichotała, ale jakoś tak gorzko.

– Pamiętasz, Yaso, dawne czasy? Pomyślałbyś wtedy, że nawet krasnolud będzie się krzywił na mój widok? – Zakaszłała gwałtownie. – Yudherthardere, jak mniemam? Znałam waszego dziadula. Niejeden garniec miodu żeśmy obrócili. Cóż, nie tylko miód... Aaa... dobre, stare czasy. Widzę, żeście moje robalki spotkali – mrugnęła. – Niby wyczarowane, a posoka prawdziwa, nie? Kurtka już do wyrzucenia. Niczym nie

doczyścicie... Co to ja miałam? Aaaa... siadajcie, siadajcie. – Wskazała ławę naprzeciwko siebie. – Niestety zaprosić was do środka nie mogę. Byście się nie zmieścili. Kurczy się razem ze mną.

Puściła kota, który z głośnym miauknięciem uciekł do chatki, i wzięła w dłonie warkocz. Rozplatała go powoli, a słońce igrało w złocie przelewającym się przez kościste palce. Sodi gapił się na nie jak zauroczony, pierwszy raz od dawna nie mogąc dobrać słów.

– To po coście przyszli? Aaaaa... porozmawiać. Tak rzekłeś. Mów więc.

– Rzuciłaś czar na elfi las.

– Mój! – wrzasnęła kobieta, podrywając się z ławy. Zaraz jednak opadła na nią ciężko. – Mój las! Był mój, zanim Ferion i jego banda tam zawitali. Przyszli nieproszeni... Usiedli na moim krzeselku, zeżarli moją owsiankę, zasnęli w moim łóżeczku... – wymamrotała, przeplatając złote pasma. – Ale żem ich nie pogoniła. Las, myślałam, wielki, zwierzyny dużo, jagód starczy dla wszystkich. Tak myślałam. I pewnie by wystarczyło, jak by Ferion przepadliście nie był. Jakiś wiek temu wygnał mnie z mojego domu. Wygnał! Złodziejem magii straszyl! Artefaktem! I poszłam. Co miałam robić? – Szare oczy czarownicy zaszyły łzami. – Bez domu, bez korzeni... Umieram, Yaso. Umieram bez moich drzew, moich niedźwiadków, moich jelonków. Kurczę się, marszczę... To żem rzuciła zaklęcie. Jak sobie pójdą, będę mogła wrócić. Walczę, Yaso, o życie, bo...

– Złodziejem magii? – przerwała staruszce Likal. – Jak to Złodziejem Magii?

Werena popatrzyła na nią, zmarszczyła brwi, jakby się nad czymś zastanawiała, palce rozplatające warkocz zamarły na moment.

– No Złodziejem. – Wzruszyła ramionami, a palce ponownie ruszyły w taniec. – Blisko wtedy byli. Zanim, oczywiście, Ferion z zazdrości nie zdradził przeklętnika Pierwotnym i Zakonowi. No, ale wtedy to ja już tu siedziałam. Zwierzęta mi doniosły... Wpadają czasem przytulić się do matuli – wymamrotała, skłaniając głowę. Pomarszczone dłonie zsunęły się po śliskim złocie i opadły na podolek, a potem ciszę, jaka zapadła po ostatnich słowach czarownicy, przerwało głośne chrapnięcie.

Trójka gości przyglądała się śpiącej w milczeniu.

– Wiecie, panie Yasa – odezwał się w końcu Sodi – nie godzi się bardziej starowinki krzywdzić. Zawszem mówił, że z ostrouchych nic dobrego, a już ten, psia jego mać, wyjątkowy skurwiel. Wiem, żeśmy się zobowiązali z niedźwiedzim czarem poradzić... A i ja chętnie bym Kytę bez misiej mordy oglądał, ale jakoś tak niełacno kobiecie, co już prawie do drzwi na tamten świat puka, w otwarciu ich pomagać.

Yasa pokręcił głową. Już miał odpowiedzieć, gdy Likal wstała i podeszła do Wereny. Potrząsnęła nią lekko, ale wiedźma tylko osunęła się na siedzisko, chrapiąc jeszcze

bardziej. Dziewczyna odwróciła się do opiekunów.

– Pomóżmy jej – powiedziała cicho.

– Potrzebujemy artefaktu – odrzekł po chwili Pierwotny.

– Poradzimy sobie i bez niego, a pan Sodi rację ma: nie wypada potrzebującej nie wspomóc.

– A dyć, kurwa, nic żem takiego nie rzekł! – Poderwał się Sodi, bo niegłupi był z niego krasnolud i wiedział, kiedy go w sam środek magicznej rozróby ciągną. – Nie krzywdzić kobieciny to jedno, a z ostrouchym, co może i ciebie, szczyłu jeden, i pana Yasę z mocy wytrzebić, na wojenkę iść, to całkiem insza rzecz.

– Tam! Obojga naraz toby chyba nie zdołał! – Roześmiała się dziewczyna. – A jakby mnie trzebił, toby mu pan Yasa... – Zatchnęła się, a już chciała w stylu Sodiego odmalować, co by też jej doskonały opiekun z okrutnikiem chcącym ją skrzywdzić zrobił. Zerknęła jednak na Yasę i pohamowała entuzjazm, bo Pierwotny, marszcząc brwi, intensywnie wpatrywał się w śpiącą.

– I jak se to ty, panna, wyobrażasz? – kontynuował krasnolud. – Weźmiemy babunię na plecy i pójdziem do lasu? A jak ostrouchy ją zobaczy, to się przywita grzecznie? O ile babunia dychać jeszcze będzie, bo mnie to ona wygląda na trzy ćwierci do śmierci.

– Sodi – przerwał wywody przyjaciela Pierwotny – uczyli was w Radzie, co będzie z czarem, jeśli czarodzieja rzucającego zaklęcie pozbawić mocy?

– No – potaknął krasnolud – czar umrze...

Zapadła cisza, Yasa czekał.

– Zaraz... – wyszeptał nagle Yudherthardere – to czego ostrouchy z artefaktem się do staruchy nie pofatygował?

– Zadamy mu to pytanie, kiedy wrócimy. – Yasa wstał i podszedł do podopiecznej. – Masz rację, Likal. I pan Sodi ma rację. Należy pomagać potrzebującym. Zwłaszcza gdy nie koliduje to z naszymi planami. Yudherthardere... będzie bolało.

Schodzili z wzgórza powoli i ostrożnie, bo po magicznych schodach nie został ślad. Sodi potykał się co chwilę. Jego eleganckie trzewiki ze skóry bazyliuszka ślizgały się na kamieniach, więc kilka razy rymnął na tyłek, przeklinając okrutnie. Tym bardziej że wyprzedzający go Yasa pomagał schodzić Likal i nawet razu nie obejrzał się, czy szanowny Yudherthardere karku nie skręcił.

Likal tymczasem, absolutnie uszczęśliwiona, zaciskała dłoń na ręce opiekuna, w drugiej niosąc maleńką klatkę z popiskującą w niej złotą myszką.

Ro d iazX

Wied ma

Mała chuda służąca przysunęła stołek, wdrapała się na niego i zapaliła świecę na szczycie potężnego kandelabru. Potem kolejną i następną. Zapalała tak jedną po drugiej, rozświetlając szeroki korytarz. Płomyki tańczyły w ogromnych zwierciadłach zdobiących wysokie ściany, igrały w złocistych żłobieniach świecznika i kładły cienie na puszysty czerwony dywan. Złote nici dywanowego obszycia migotały w narastającym świetle, tworząc magiczną drogę wzdłuż korytarza, od westybulu aż do sali balowej, od szerokich schodów z drewnianymi inkrustowanymi balustradami do olbrzymiej komnaty o ścianach wykładanych aksamitem i podłogach z połyskującego delghartowskiego marmuru, bielszego niż śniegi na szczytach gór.

Gdzieś daleko, w pałacowej kuchni, krzątała się służba, krzyczały podkuchenne, ogień pod piecami trzaskał głośno, na patelniach skwierczał tłuszcz, a w kotłach bulgotały zupy. Tutaj jednak wciąż panowała cisza, zaklęta magiczna chwila światła, nieskazona żadnym dźwiękiem.

Mała chuda dziewczynka nie kontemplowała jednak piękna pałacu ani nie podziwiała głębi ciszy. Zapaliła ostatnią świeczkę, złapała stołek i pobiegła w kierunku pomieszczeń dla służby. Gruby dywan stłumił odgłos stóp.

Sala balowa trwała w oczekiwaniu.

Zmierzchało, gdy dotarli do rozwidlenia dróg. Likal zmęczona przeżyciami ostatnich dni drzemała w siodle. Mysz w trzymanej przez dziewczynę klatce też przestała popiskiwać i, ułożywszy się w kąciку swojej celki, zasnęła. Jechali niespiesznie, więc i Sodi chwilami tracił kontakt z otoczeniem, by zaraz obudzić się z cichym marudzeniem na niewygodę siodła i absolutny brak zainteresowania ze strony Yasy.

Kiedy dotarli do rozstaju, jadący na czele mag zatrzymał się. Zaskoczony krasnolud podjechał do przyjaciela i też stanął.

– A ten tu czego? – warknął.

– Panie Yudherthardere! – Podążający od strony elfiego lasu jeździec uniósł się w siodle i rozpaczliwie machał rękami. – Bogowie! Jaka radość!!! Jaka radość! Jużem myślał, że was nigdy nie znajdę! Będzie... nie zliczę już dni, jak za wami jeżdżę!

Gdzieżem nie był! Czegom nie widział! Wreszcie do elfów zaszedłem. Nie powiem, miłe ludziska... znaczy elfy, znaczy... no wiecie, ale powiedzieli, żeście wyjechali i nie wrócicie. Jedno dziewczę to nawet strasznie płakało... Tom ruszył, gdzie pokazali, nie było na co czekać. I tak jadę, jadę... aż was zobaczyłem. Taka ulga. Panie Yudherthardere, taka ulga! A witajcie, panie Yasa, panno Likal. – Zsunął się z konia i uklonił ceremonialnie. – Was również miło widzieć, ale, rozumiecie, miłościwa nasza pani za panem Yudherthardere mnie wysłała, to i jego widok w pierwszej kolejności mnie radował.

– Miłościwa pani? – zapytał Sodi. – A czegóż to... ekhm... wasza miłościwa pani ode mnie chce? Nie obiecała to czasem mojemu szacownemu przyjacielowi, że da nam spokój do przyszłej zimy?

– Ano nie wiem. – Wzruszył ramionami posłaniec. – Listy kazała oddać. Czytać nie zezwoliła, to i żem nie czytał. – Sięgnął do sakwy, żeby wygrzebać rzeczoną korespondencję. Sodi tymczasem fuknął wściekle, ale nie zsiadł z kuca.

– I musiała aż szambelana słać? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Cóż, może listy ważne? Albo i we mnie największą ma wiarę? Do rąk kazała oddać. – Szambelan królowej Serbithów podał zapieczętowany dokument krasnoludowi, ale ten wcale nie kwapił się go przejąć. Patrzyli na siebie, jeden z oczekiwaniem, drugi z niechęcią, a papier lekko drżał w wyciągniętej dłoni posłańca. – Bierzcie, panie Sodi. Przecież wiecie, że jak już was znalazłem, to i tak musicie wziąć. Pani ma glejty waszej Rady, to i was na własność.

– Kurwa – warknął wściekle Sodi, świadomy słuszności słów szambelana. Chwyił list, złamał pieczęć i otworzył pismo. Przeczytał szybko, a potem zaklął ponownie, tym razem głośniej i soczyściej niż poprzednio. – Niech ją osioł tyркаć nie przestaje! Toż żmija nieskubana! W dupie ją mam! – Zmiał dokument i rzucił pod nogi wierzchowca posłańca. – Powiedzcie waszej, niech jej pypeć już wy tam wiecie gdzie wyrośnie, królowce, żeście mnie nie widzieli. Obiecała żmija nie włóczyć mojej przeszacowanej sempiterny po Krainie? Obiecała! I co? Żadnego szacunku! Żadnego! Toście mnie i nie spotkali, ot co! – Szarpnął wodze kuca, ale Doru nawet nie drgnął. Zagniewany krasnolud uderzył piętami końskie boki. Znowu nieskutecznie. Kuc nie zamierzał ruszyć w wybranym przez Sodiego kierunku. Parsknął niecierpliwie i przekręcił łeb, próbując spojrzeć na jeźdźca. Yudherthardere szarpał rzemienie i przeklinał coraz głośniej, a jego wierzchowiec przebierał nerwowo nogami w miejscu.

– Dajcie spokój, Yudherthardere – cicho polecił Yasa.

– Ano, dajcie spokój – potaknęła Likal, której żal się Sodinego zwierzaka zrobiło. – Przecież wiecie, że magia glejtów waszym kucem włada. Musi iść tam, gdzie królowa wam nakazała. Nie ma co konikiem poniewierać.

Krasnolud zacisnął usta i popuścił wodze. Zrozpaczony popatrzył na przyjaciół.

– A tak się mnie wolność roiła – wymamrotał. – Znaczy co? Koniec mojej z wami wyprawy? Nie mogę dupy ruszyć do lasu, bo mnie glejtowe czary nie puszczą, a wam pewnikiem spieszno z ostrouchym się rozmówić?

Pierwotny zerknął na Likal, ale dziewczyna zamiast w niego wpatrywała się w Sodiego. Znała go już bardzo długo i sądziła, że nic nie może w nim zaskoczyć, ale łzawe, błagalne spojrzenie czarnych oczu, rozpaczliwe i żebracze, próbujące nadać okrutnie brzydkiemu obliczu sarniej łagodności sprawiło, że dziewczyna otworzyła usta, zacisnęła palce na brzegu siodła i gapiała się jak zaczarowana. Yasa uśmiechnął się odruchowo. Rzeczywiście widok był oszałamiający, jakby niedźwiedź próbował z jelonkiem na skórę się zamienić.

– W sumie – wyszeptła wreszcie dziewczyna, wrywając się spod uroku – jeden dzień to moglibyśmy nadłożyć, prawda, panie Yasa? – Zerknęła na opiekuna. – Pomoglibyśmy panu Yudherthardere. On mnie nigdy w potrzebie nie opuścił. Zamek, do którego pani Serbithów go wysyła, całkiem blisko, widać go było z drogi, jakeśmy z elfiego lasu wyjeżdżali.

– Ano! – potaknął ochoczo krasnolud, wyjątkowo nie komentując, że dziewczyna czytała mu w myślach. – A i królowka na bal nas – bez zająknięcia użył liczby mnogiej – śle. By się nasza panna zabawiła. Nic ino po lasach i wsiach ją targacie, a potańcówki wszelkie gwałtem omijamy. A dziewczę by zapewne i kieckę jaką wdziało i zatańcowało z jakimi szlachetnymi rycerzami, co nie?

Niechętny pomysłowi mag miał już zaprzeczyć, ale jedno spojrzenie w roziskrzone oczy podopiecznej sprawiło, że zmienił zdanie. Na dźwięk słowa bal Likal naraz rozpromieniła się. Nie widział takiego blasku na jej twarzy od... od Bertho. Naraz znów wyglądała jak tamta nastolatka niezmiennie kłócąca się z krasnoludem. Jak dziecko, za którym tęsknił.

– Elf i tak poczeka, panie Yasa – cicho powiedział Sodi. – Może nawet lepiej, jeśli pomyśli, że czarownica nam poradziła. Miększy potem będzie, co nie?

Yasa milczał, nie spuszczać wzroku z Likal. Nawet gdyby chciał, nie potrafiłby odmówić błyszczącym nadzieją niebieskim oczom. A nie chciał. Skinął więc głową w milczeniu.

Obserwujący ich szambelan odetchnął z radością. Wreszcie mógł wracać do domu. Jak dobrze pójdzie, królowa zapomni o tamtej pomyłce... Nie ma się co okłamywać, pewnie i nie zapomni, ale jeśli on się postara, jeśli odpowiednio długo w drogę pani wchodzić nie będzie, to i może już go więcej z zamku nie wysła.

– Żegnajcie. – Ukłonił się głęboko i błyskawicznie dosiadł konia. Żeby przypadkiem nie próbowali go zatrzymać. Nie zdążyli nawet odpowiedzieć, a już galopował na

południe.

Samotny pałac na wzgórzu jaśniał wśród zmierzchu. Blask setek pochodni kładł cienie na białe ściany i igrał w kolorowych szybach witraży. Kostka brukowa drogi wiodącej ku otwartym bramom błyszczała jak wypolerowane srebro. U wejścia służący w haftowanych złotem liberiach uśmiechali się szeroko, kłaniając w pas.

Sodi szedł pierwszy. Zachwyt pierwszej chwili dawno minął i krasnolud rozglądał się nerwowo, co rusz drapiąc brodę.

– Co się dzieje, panie Sodi? – zapytała uprzejmie Likal. – Złapaliście cosik od tej waszej misiwatej panny? Dziwne by nie było, w takiej gęstej niedźwiedziej sierści to i pcheł musi być bez liku.

Yudherthardere zerknął na nią. Wyszarpał dłoń z trefionych rudych loków, a potem spojrzał na palce, jakby rzeczywiście obawiał się zobaczyć owe niesympatyczne stworzonka. Zaraz jednak strzepnął ręką i fuknął gniewnie.

– Pierdoły panna pleciesz! Nic mnie przecie nie żre. No, chyba że panny kiepskie krotochwile. – Ponownie nerwowo popatrzył na boki. – Ino dziwnie tak. Cholera, dziwnie, no.

– Co dziwnie, panie Sodi?

– A dyć, nie czujesz, panna?

– Czego?

– No, rzecz w tym, że niczego! Niech ja więcej nadobnych aromatów Jurnej Zyty nie powącham, nic, kurwa, nie czuję! Normalnie to Tropiciel pomrukuje, odkąd żeśmy w granice smocznych włości prawie zaszli. Nie żeby tam od razu coś... ale trochę się bestyjka szarpie, trochę buczy... A tu, cholera, nic. Cisza. Śpi...

– To chyba nieźle? Przecież nie lubicie...

– Och, panna – przerwał jej krasnolud – niczego nie pojmujecie! Bo się też mnie tłumaczyć gówniarze zachciewa, no! Weź, panna, na niebo se polukaj, złotołuskiego wypatruj, a nie mnie w pogawędki ciągnij.

Dziewczyna przestała na moment się uśmiechać.

– Strasznieście, panie Sodi, nerwowo – powiedziała poważnie, a z jakimś takim smutkiem, że Sodi błyskawicznie pożałował ostrych słów.

– A boś, panna, eech! – Machnął ręką i ścichł, ponownie rozglądając się wokoło.

Pozostający w tyle Yasa zrównał się z pozostałą dwójką.

– Tropiciel śpi? – zapytał, widząc zdenerwowanie przyjaciela.

– Ano. Pamiętacie, jakeśmy zeszłej jesieni zatrzymali się w jednej karczmie? Wtedy, cholera, też tak cicho, tak spokojniutko było... A potem jak pierdolnęło! Wtedy się bazyliszek ze strzygą ścigali, kto więcej okolicznych zeżre. I jeszcze Zakonni

dojechali... Się działo, nie? No i wtedy też Tropiciele ani, cholera, drgnął na początku. Ino potem łeb mi chciał przez sempiternę przetargać. To się teraz ociupinkę boję.

Yasa potaknął ze zrozumieniem. Nie zdążył jednak skomentować wspomnień przyjaciela, bo krasnolud podał właśnie listy polecające od królowej Doliny Serbithów eleganckiemu odźwiernemu, a mężczyzna, przeczytawszy nazwisko gościa, zakrzyknął z wrażenia.

– Pan de Gra! – powtórzył radośnie. – To się nasza pani ucieszy! Tak czekaliśmy wszyscy! Cały pałac! Już prowadzę! Już!

– Cosik dziwnego na tym świecie się dzieje – wymamrotał zaskoczony Yudherthardere. – Wszystkie się oglądaniem mojej facjaty tak cieszą, jakby mnie naraz bogowie w nadobnego młodziana przerobić zechcieli albo i, co pewniejsze, na cudnej urody dziewczę. Nie żebym na urok swój niezaprzeczalny narzekać miał, ale ostatnimi czasy to aż tego uwielbienia nadto. Ostatnio to się na mój widok tak chłopska gębula radowała, jakeśmy tego waszego, panna, wójta odwiedzali.

Likał zadrżała, bo oczyma wyobraźni zobaczyła nalaną, czerwoną gębę Gorde. Zacisnęła palce, ale zaraz rozprostowała, bo Yasa łagodnie uchwycił jej dłoń.

– Trzymajcie się blisko, Yudherthardere – szepnął mag.

– Znaczy co? Też mam się was chwycić? – zapytał przymilnie krasnolud. – Nie będziem jak wioskowe przyglupy wyglądać, tak w wianuszek splecione?

Pierwotny zignorował pytanie, więc Sodi tylko uśmiechnął się krzywo i ruszył za odźwiernym.

Dziesiątki świec w rzeźbionych kandelabrach rozświetlało szerokie korytarze. Grube dywany tłumiły odgłos kroków. Z odległej komnaty dobiegały dźwięki muzyki, jeszcze niepewne, niekompletne, jakby ktoś sprawdzał możliwości instrumentów, mimo to płynne, bez śladu fałszu. Ściany odbijały tak fragmenty melodii, jak i hałas rozmów, ale, nim dotarły do uszu trójki idącej za odźwiernym, cichły aż po szmer.

Sługa otworzył drzwi jednej z komnat i zaanonsował przybyłych. Potem wycofał się, przepuszczając gości.

Szczupła kobieta w średnim wieku podniosła się na widok wchodzących. W przeciwieństwie do odźwiernego nie okazywała zachwyty. Na niezbyt ładnej twarzy królowej Oleny, prócz wyniosłej uprzejmości, nie malowało się żadne uczucie.

– Pan de Gra Yudherthardere – powiedziała niskim obojętnym głosem. – Zatem moja ukochana kuzyneczka zechciała podzielić się swoim Tropicielem.

Sodi zamrugął gwałtownie. Oj, bardzo nie lubił być nazywany czyjąś własnością. Tak bardzo, że krew w jego głowie zaczynała wrzeć, a łapa sama sięgała po toporek. Już więc był gotów popuścić pary i nawrzucać starej maszkarze... a Sodi nawrzucać potrafił jak mało kto... kiedy dotarła do niego pierwsza część wypowiedzi.

– Królowka jest waszą kuzynką? – zapytał zdziwiony. – Żem myślał, że nie ma rodziny.

– Ona też zwykle tak myśli. Dlatego tak mnie dziwi, że odpowiedziała na moją prośbę i was do mnie wysłała. – Spojrzała na Yasę, potem na Likal i wreszcie ponownie na Sodiego. – Przedstawcie mi waszych towarzyszy.

– Jakbyście, kur... – zająknął się krasnolud. Może i głupia, brzydka i starawa, ale zawsze tutejsza pani. No i rodzina królowki! A królowce wolałby za skórę nie zachodzić. – Jakbyście nie wiedzieli, wasza wysokość – skrzywił się okrutnie w namiastce uśmiechu – że to Pierwotny i jego uczennica, panna Likal.

Olena ponownie popatrzyła na młodą czarownicę. Zerknęła na trzymaną przez dziewczynę klatkę, a potem ponownie przyjrzała się Likal. Długo i z zastanowieniem. Zauważywszy, że nie spodobało się to Pierwotnemu, uśmiechnęła się do niego chłodno.

– Miło mi was gościć, Pierwotny Magu. Wasza obecność zdecydowanie mi się przyda. Nie patrzcie tak na mnie. Nie chcę zrobić krzywdy waszej wychowawcy. Ale to już wiecie, prawda? Czytacie mi w myślach.

Yasa bez słowa skinął głową.

– Nie muszę więc opowiadać, dlaczego o was prosiłam?

– Myślałem, że prosiliście o naszego przyjaciela. – Mag wskazał z chłodnym uśmiechem krasnoluda.

– Was Leonerre nie ma na własność.

– Mnie, kurwa, też nie! – wrzasnął wściekle Sodi. Raz mógł zdzierzyć... ale przecież nie był jakimś dobrym duchem czy innym błogosławionym wśród przodków, by dzielnie znosić obraźliwe aluzje. – Nie jestem pieprzonym kryształowym podnóżkiem jaśnie wielmożnej królowki, coby mnie innej dupę wysoko noszącej babie wysyłała!

– Tak, kryształem rzeczywi... – Kobieta próbowała przerwać tyradę krasnoluda, ale ten już się nakręcił i nie zamierzał przestać:

– Kto to, kurwa, widział, żeby tak człeka po Krainie telepać, co?! Się wam wydaje, że ja jestem jaki piesek salonowy?! Ogon wsadzę między nogi i na dwóch łapkach między pannami tańczyć będę obertańca?! Popieprzyło się wam w tych trefionych łbach? Tropiciel to nie jakiś dupodajec, co na zawołanie dogadzać będzie!

Zapewne krzyczałby dalej, bo bynajmniej nie wyczerpał jeszcze barwnych określeń, a i nerw raz popuszczony jakoś zapanować nad sobą nie pozwalał. Zatem krzyczałby, gdyby w chwili, w której nabierał tchu do dalszej perory, gospodyni, dotychczas nad wyraz dostojna, nie parsknęła głośno, zachichotała, a potem zaczęła się śmiać. Głośno i nieco histerycznie, aż po łzy płynące po drżących policzkach. Sodi zamarł z rozwartymi ustami, gapiąc się niezbyt rozumnie w rozchichotaną magnatkę. Kiedy zaś

nie przestawała się śmiać, staniając i czerwieniejąc coraz bardziej, krasnolud spojrział na Yasę.

– A tej co zaś? Zara ją jaka apopleksja trafi i królowka mnie gotowa o skończenie z jej nadobną krewniaczką oskarżyć.

– Wybaczcie – wycharczała kobieta, uprzedzając odpowiedź maga – ale tak dawno nie dane mi było... – Otarła policzki i wyprostowała się powolutku. – Dziękuję, panie Yudherthardere. Naprawdę dziękuję.

– A dyć, kurwa, nie ma za co – wymamrotał Sodi. – Jak tak was to uszczęśliwia, mogę jeszcze przez jaki czas gębę podrzeć. Byle nie za długo, bo sprawę mamy gdzie indziej. Nie? Nie chcecie? No, to może czas, by rzec co i jak, bo za drzwiami ludziska się schodzą, a ten od smyczków coraz głośniej rzępoli... Nie powiem, sprawnie mu to idzie, przyjemnie słuchać, ale i pewnie bał się zaraz zacznie i nijak wtedy gadać nie będzie. Bo, wiecie, obiecałem pannie Likal, że tej nocy stańcuje takie cacuśne pantofelki, cośmy to jej sprawili kilka niedziel temu.

– Rozumiem, że wy czytać w myślach nie potraficie? – zapytała nieco zdziwiona Olena.

– Ano, jakoś bogowie nie chcieli dać – wzruszył ramionami krasnolud. – Chyba byłoby już za wiele, jakbym tak i piękny, i mądry, i jeszcze w myślach czytający był, nie?

– Z pewnością – potaknęła kobieta. – Zechciejcie usiąść. – Wskazała wyściełane ławy. Czekala, aż skorzystają z zaproszenia, a potem również opadła na niewielkie podwyższenie naprzeciwko gości. – Poprosiłam Leonerrę, żeby mi was... Żeby pozwoliła mi was gościć, bo potrzebuję usług Tropicieła.

– Tegom się już domyślił. Coś się mnie nie widziało, że dla urody niepospolitej mnie zaprosiliście.

– I rzeczywiście liczyłam na to, że i czarodzieje wam towarzyszący zechcą nas odwiedzić – kontynuowała niezrażona. – Widzicie, dawno, dawno temu mój nieodżałowany małżonek wybrał się na łowy. Zawsze miłował leśną włóczęgę. Tego jednakowoż dnia oderwał się od grupy i zapędził w nieznane rejony...

– O cholera – jęknął krasnolud – znam tę klechdę. Będą w niej straszne złe wilki i jeden taki, zdaje się jeź, co króla uratuje i zażąda tego, co już doń należy, a on jeszcze o tym nie wie, co nie? A król jak do dom wróci, dowie się, że mu córcię żonka powiła...

– Tej klechdy nie znacie – przerwała mu Olena. – Nie ma w niej dziecka niespodzianki ani straszego wilka, ani jeża. Jest za to wiedźma. Znalazła króla zmarzniętego, kiedy koń pod nim padł. Zabrała do chaty, nakarmiła... Był sam, wystraszony, a ona ponoć... – zawahała się, a potem zacisnęła zęby.

– Jasna dupa – zachichotał Sodi, nagle rozumiejąc – wasz mężuś wychędożył leśną wróżkę! No... toście nie mieli najmędrszego chłopca, co? Leśna wróżka cud natury, ale nigdy za darmo dupy nie daje. Obecnie tu Pierwotnego byście zapytali, on wie najlepiej, nie, panie Yasa?

– Yudherthardere – ostrzegł Yasa.

– Dobrze, może i nie najlepiej, ale coś tam wiecie, nie? Przecie ta zielonooka...

– Yudherthardere!

– Patrz, panna, jaki to się drażliwy zrobił, co nie? – Krasnolud uśmiechnął się krzywo do Likal. Dziewczyna, dotychczas znudzona rozmową i zainteresowana tylko dźwiękami dochodzącymi z zewnątrz, nagle wyostrzyła zmysły. Nie słyszała wcześniej o żadnej zielonookiej leśnej wróżce. Zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w opiekuna. Yasa westchnął, a kiedy młoda czarownica nie odpuszczała, wskazał bez słowa gospodynię.

– Ano, co racja, to racja – przytaknął niechętnie krasnolud. – Nie wypada jape po próżnicy wietrzyć, a wielmożnej pani do słowa nie dopuścić. Opowiadajcie, wasza miłość. Na czym toście skończyli? Aaaa, na dupie leśnej wróżki. Tak. To co wasz nieodżałowany małżonek wróżce za ratunek obiecał?

Olena zacisnęła zęby i przez chwilę milczała. Dobry humor błyskawicznie ją opuścił. Wreszcie cmoknęła i odpowiedziała krótko:

– Małżeństwo.

– Noooo...! Się dziewucha ceniła, nie ma co. A w tej waszej klechdzie to król nie był już ochajtany?

– Nie był. Posłał już umyślonych do mojego ojca, ale do ślubu jeszcze nie doszło. Mógł jeszcze... – przygryzła wargę – ale kiedy wrócił do zamku, czar wiedźmy przysł, a Garen dotrzymał słowa danego mojemu ojcu. Potem przyszły na świat dzieci. Przez lata Garen trzymał... klechdę w tajemnicy, a wiedźma nigdy nie upomniała się o swoje. Kiedy jednak zmogła go śmiertelna choroba, kiedy nie mógł już wstać z łoża, zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Drzewa wychodziły z puszczy, dzikie zwierzęta wpadały na zamkowy dziedziniec, puszczyki dobijały się do okien. Aż, tuż przed śmiercią Garena, żelazny stwór, ni to wilk, ni niedźwiedź, wbiegł do komnaty, gdzie czuwałam przy umierającym. Stanął w drzwiach. Tak, stanął na tylnych łapach. – Wspomnienie sprawiło, że zamknęła oczy, pochyliła głowę i zacisnęła pięści. – Był olbrzymi. Sięgał pod powałę. A kiedy warknął, szyby zadrżały w oknach. Dwóch rębaczy wpadło za stworem, a on... tak po prostu... tak po prostu ich odepchnął. Słyszałam, jak uderzyli w ścianę, i myślałam... myślałam, że zaraz umrę, ale on podszedł do łoża, powiedział: wrócę po swoje, a potem wyskoczył przez okno.

Zamilkła i przez chwilę jedynym dźwiękiem w komnacie były stłumione odgłosy nadchodzącego balu. Łagodna melodia lutni i skrzypiec dziwnie współgrała z

opowieścią, jakby muzycy świadomie przygrywali słowom Oleny.

– I wtedy Garen powiedział mi wreszcie o wiedźmie – kontynuowała cicho.

Sodi pokiwał głową, cmoknął raz i drugi, a potem podrapał po rudej czuprynie.

– No, straszna ta wasza klechda, nie powiem. Jeno mojego w niej udziału jakoś nie widzę.

Kobieta wyprostowała się. Nieładna twarz pobladła, a palce pozostawały zaciśnięte.

– Potrzebuję was, żebyście moim rębajłom miejsce w lesie wskazali – wytłumaczyła zimno.

– Toście pani źle trafili. – Krasnolud przestał się uśmiechać. – Gdyby to rzeczywiście wiedźma była, gdyby wam albo rodzinie waszej zagrażała, albo gdybyście chociaż zełgać chcieli, że ino z dziewczuchą pogadać chcecie. Wtedy może i bym wam Tropicielea użyczył. W mordzie na wróżce, co to ino jej pochędózkę z waszym nieboszczykiem skutecznie przyszło, brać udziału nie zamierzam.

– Nie rozumiecie! – Olena podniosła się. – On jej obiecał małżeństwo!

– No! Się zdarza! – Sodi też poderwał się z ławy. – Ja też niejednej cichodajce z syrellskiego zamtuza składałem obietnice! Nikt za to dziewczuch siekać nie będzie.

– On jej obiecał ślub z tutejszym władcą! – wrzasnęła histerycznie. – A ona wróci! Wróci, żeby dotrzymać obietnicy!

– A niech wraca! Wykopki zrobi waszemu na grzebalniku czy jak?!

Olena oddychała gwałtownie, przygryzając usta, ale nim zdołała odpowiedzieć, Yasa ją wyręczył.

– Macie syna? – zapytał łagodnie.

Przytaknęła bez słowa.

Sodi klapnął ciężko, rozumiejąc naraz problem gospodyni.

– No, kurwa, to rzeczywiście jest bida – wymamrotał.

– Dzisiaj świętujemy jego zaręczyny. – Olena też usiadła. – Nie wybrał najlepiej. Panna z gminu, wstyd. Ale przynajmniej zwyczajna. Żadnej magii. I młoda. I kochanką jego ojca nie była – wyszeptwała gniewnie. – Nic to, że kiedy ją przywiódł na dwór, ręce miała w sadzy jak jakiś kopciuch. Ludziom się spodobało, że pan taki... swój, że nie szuka wśród szlachcianek z obcych miast, a jedną z własnych, z miłości bierze. Dziewka niegłupia, czytać i pisać potrafi. Nie będzie złą żoną. Mam jeszcze dwie córki, wyda się je za mąż za pobliskich szlachetków, żeby ich dobrze usposobić i o koneksje postarać... – mówiła bardziej do siebie niż do gości. Wreszcie zamilkła.

Yasa, Sodi i Likal wymienili spojrzenia.

– Wiecie, pani – zaczął Sodi – obietnica wróżce złożona to nie nieodczynialne zaklęcie czy święte przyrzeczenie. Nie trzeba dziewczuchy utłuc, żeby moc jego przerwać.

– Pan Yudherthardere chce przez to powiedzieć – wtrącił Pierwotny – że, jeśli pozwolicie, wybierzemy się rankiem do lasu i spróbujemy wytłumaczyć leśnej pani, żeby zrezygnowała z żądań.

– A jeśli się nie zgodzi?

– Dyc, wasza miłość – uśmiechnął się krasnolud – jak by mogła? Weźcie se na nas popatrzcie. Przecie jak dwóch takich ładnie prosić ją będzie, to musiałaby serca nie mieć, coby odmówiła.

Olena zamrugwała gwałtownie. Rzeczywiście widok był niepośledni, gdy niemiłosiernie wykrzywiony Sodi prezentował uzębienie.

– No! – Krasnolud radośnie klepnął się w uda i wstał. – Tośmy ustalili. Niech no jaka miła dziewczuszka pokoje nam wskaże, cobyśmy się odziać pięknie mogli na te tańce, com to je pannie Likal obiecał.

I, nie dając gospodyni czasu na ewentualne protesty, otworzył szybko drzwi. Odległe dźwięki od razu nabrały mocy, wypełniając całą komnatę słodką melodią lutni i drżących dzwoneczków. Zachwycona Likal mocniej zacisnęła palce na klatce ze złotą myszką. Zmrużyła oczy i cichuteńko westchnęła, gdy muzyka wypełniła jej zmysły. Uszczęśliwiona zerknęła spod opuszczonych rzęs na opiekuna. Yasa uśmiechał się, ale nie patrzył na nią. Dziewczyna ponownie westchnęła.

W melodię wkraść się smutek.

Nieobecność Tropicielea niesłychanie irytowała Sodiego. Likal miała rację: generalnie Yudherthardere nie przepadał za gryzącym, szarpiącym i, w towarzystwie czarodziejów, wiecznie rwącym się na wolność alter ego. Ale to było jego alter ego, jego, jak to sobie wielokrotnie powtarzał, wrzód na sempiternie. A kiedy naraz siadasz, a tyłek, który bolał od zawsze, nie boli... No, zaczynasz się bać. I Sodi bał się. Z każdą chwilą spokoju niepokoił się bardziej.

Szedł więc rozświetlonymi korytarzami, zerkał w roziskrzzone zwierciadła, by podziwiać nową jedwabną koszulę i misternie haftowaną kamizelkę ze skóry erghańskiego bazyliuszka, ale ani ów zacny widok, ani odczuwany dzięki niemu błysk samozadowolenia nie poprawiały krasnoludowi humoru. Stanąwszy u drzwi komnaty Likal, miał już tak zły nastrój, że był gotów nakrzyczeć na dziewczynę pod byle pretekstem.

Kiedy jednak otworzyła drzwi, kiedy stanęła w nich, odziana w bieluteńką suknię mieniącą się dziesiątkami kryształów... Kiedy Sodi dojrzał złote pukle opadające kaskadami na odsłonięte ramiona podopiecznej Pierwotnego i jaśniejącą szczęściem śliczną twarzyczkę Likal, cały gniew wyparował z rudej łepety. Stał z rozwartymi

ustami i gapił się w absolutnym zachwycie, jakby pierwszy raz zobaczył młodą czarownicę.

Dziewczyna uśmiechnęła się słodko, a potem uniosła wzrok nad ową rudą czuprynę, by zobaczyć, jakie wrażenie jej starania zrobiły na podchodzącym magu. Szczupłe palce zacisnęły się gwałtownie na szczebelkach klatki, a czarownica aż wstrzymała oddech w oczekiwaniu.

– Nie sędzę, by obecność myszy, nawet złotej, była mile widziana na królewskich zrękowinach. – Głos Pierwotnego pozostał obojętny i nic nie wskazywało na to, by wygląd podopiecznej w jakiś sposób nim wstrząsnął.

Likal zamrugła. Spojrzała półprzytomnie na magiczne zwierzątko.

– Boję się ją tu zostawić – wyszeptała rozczarowana.

– Nic jej nie będzie. Zamknij komnatę ochronnym zaklęciem.

Dziewczyna potaknęła, nie patrząc na maga. Za to Sodi spojrzał. W chwili kiedy Likal odkładała klatkę i przymknęła oczy, by rzucić czar, Yudherthardere popatrzył z wyrzutem na przyjaciela. Zrobił się ostatnio dziwnie czuły na dziewczynskie łzy, a przecież właśnie to ukradkiem wycierała młoda czarownica.

– Wyglądasz pięknie, Likal – powiedział cicho Yasa.

Dziewczyna odwróciła się raptownie.

– No, kurwa, jakbym jej przez pół roku prawil słodkości, nie rozświetliłaby tak gęby jak po waszym jednym słówku – fuknął Sodi, bardziej rozbawiony niż gniewny. – Będziecie tak teraz ślepią w siebie wciskać, aż wam tchu braknie i popadacie mnie tu pod nogi jak taka jedna cichodajka, jakem jej sztuczkę ze smoczym jęzorkiem pokazał, czy pójdziem potańcować?

Zarumieniona Likal wsunęła rękę pod ramię opiekuna, a potem zerknęła na krasnoluda.

Tropiciel westchnął, gdy niewidoczne palce trzepnęły ucho ukryte w gęstwinie rudych włosów. Tylko westchnięcie, ale naraz usta Sodiego rozciągnęły się w grymasie, który lubił zwać uśmiechem.

Bal już trwał. Grajkowie właśnie rozpoczynali kolejny, dość skoczny utwór, a zgromadzeni w sali goście ustawiali się do bardzo skomplikowanych figur dworskiego tańca. Stroje zgromadzonych mieniły się kosztownościami, a – zgodnie z ostatnim krzykiem mody przygranicznych królestw – większość sukien uszyto z materiałów w intensywnych odcieniach zieleni.

– Nie no, żabi, cholera, festyn – zachichotał Sodi. – Jakem kiedyś na bagnach drogi pomylił, to ropuchy o równie cudacznym ubarwieniu też tak podrygiwały. No,

zwłaszcza jakim jedną z buta potraktował... Całkiem przypadkiem – wyjaśnił szybko, kiedy Likal zmarszczyła brwi. Rozglądał się dalej, z ogromną radością, bo rzeczywiście zbite pośrodku sali towarzystwo, podskakując i wykrzywając ciała to w jedną, to w drugą stronę, przypominało nieco konające płazy. – Widziałaś panna? Chyc, chyc, nie bój nic, w błotko plum, będzie bum! – Naśladował ruchy tancerzy, co rozbawiło dziewczynę do łez. I chociaż śmiała się cicho, część towarzystwa zaczęła zwracać na nich uwagę. Ludzie rozstępowali się, przepuszczając przystojnego mężczyznę prowadzącego najpiękniejszą dziewczynę na przyjęciu. Trudno było przejść obojętnie obok urody Likal, zwłaszcza że kolor jej sukni tak dobitnie ją podkreślał, wyróżniając jednocześnie w zielonym tłumie.

Pierwotny zatrzymał się pośrodku sali. Nie wypuszczając ręki Likal, zajrzał jej w oczy. Skinęła głową, bez słowa.

Skoczna melodia płynnie zmieniła się w owe słodkie, miękkie dźwięki, harmonijnie splatające lutnie i skrzypce, by chwilami zdrzeć setkami cichnących dzwoneczków. Wstęgi czarującej pieśni bez słów otoczyły opiekuna i jego uczennicę. Mężczyzna objął Likal i poprowadził...

Oddalony od nich ledwie o kilka kroków, a jakby o cały świat, Sodi patrzył na tańczącą parę z marsem na czole. Coś się właśnie zmieniało bezpowrotnie, a on, cholera, nie lubił zmian.

Wokół Yasy i Likal, płynących w słodkiej melodii tuż nad delghartowskim marmurem podłogi, ustawił się krąg ciekawskich; zielony krąg wokół diamentowej pary. Nikt więcej nie tańczył, jakby muzyka nie pozwalała innym dołączyć do czarodziejów. Kobiety podziwiałały grację tancerza, mężczyźni zachwycali się tancerką.

Ukryty między filarami szczupły jasnowłosy gość również nie odrywał wzroku od Likal. Patrzył jednak inaczej niż pozostali, z rozpaczliwą zachłannością. I chociaż widok tańczących najwyraźniej sprawiał mu ból, nie potrafił ani na moment przestać patrzeć.

Wejście Oleny przerwało tańce. Yasa, nie patrząc na Likal, odprowadził ją do Sodiego i stanął obok. Królowej towarzyszył młody następca tronu. Był podobny do matki; niezbyt atrakcyjny, średniego wzrostu i nieco pulchny. W przeciwieństwie jednak do rodzicielki miał ciemne błyszczące inteligencją oczy, które tej nieatrakcyjnej fizjonomii dodawały uroku.

– Witajcie, moi mili – zaczął, uśmiechając się. – Wiem, że czekaliście na to od wielu miesięcy. Tak, tak, wiem – powtórzył, kiedy na sali rozbrzmiały śmiechy. – Wszyscy mówili, że powinienem szybko znaleźć sobie żonę. Nadszedł dzień, w którym wasze życzenie się spełni. Przedstawiam wam, najmilsi, miłość mojego życia, najukochańszą moją towarzyszkę i przyszłą żonę. Oto Koana.

Przy wtórze oklasków, okrzyków radości i narastającej kakofonii dźwięków weszła młoda kobieta. Szła powoli, dostojnie stąpając po płatkach kwiatów sypanych przez poprzedzającą ją młodziutkie dwórki. Tak jak inne obecne damy, tak i przyszła królowa nosiła zieloną suknię, lecz jej jakoś wydawała się bardziej pasować. Piękna blada twarz księżęcej narzeczonej pozostawała smutna, a zielone oczy wolno przesuwają się po obecnych. Jediną ozdobą idącej był wianek z dużych białych kwiatów na rozpuszczonych długich czarnych włosach.

– O kurwa – szepnął Sodi.

Yasa bez słowa skinął głową.

Przyszła królowa drgnęła lekko, gdy napotkała wzrok Pierwotnego. Zawahała się na uderzenie serca, ale nawet nie zmyliła kroku i już szła dalej, patrząc na kolejnego z gości. Wreszcie stanęła obok narzeczonego, a księżę objął ją z dumną miną posiadacza.

Zgromadzeni wiwatowali. Olena patrzyła z czułością na syna i lekką wzdargą na przyszłą synową.

– Całus! Całus! – krzyczeli zebrani. Harmider narastał. Księżę pomachał zgromadzonym...

– Przeszkadzimy im? – zapytał Sodi.

Yasa uśmiechnął się krzywo.

– Nie sędzę, by akurat ten pocałunek coś zmienił. – Wzruszył ramionami.

– Taaa... znając tę waszą znajomą, to pewnie nie takie rzeczy już z księżątkiem robiła. – Krasnolud zachichotał. – Nic to, przynajmniej w las iść nie musimy.

Do Likal naraz dotarły słowa Yudherhardere.

– To ona? – szepnęła.

– Ano ona – potaknął Sodi. – Coraz bystrzejsze się robią leśne cichodajki, coraz bystrzejsze. Nie czekała, aż inni słowa dotrzymają, jeno wzięła sprawę we własne ręce. Dosłownie. – Rozmarzył się nieco, więc westchnął. – Kurwa, jak se pomyślę... Ma chłopina farta, co nie, panie Yasa? Wy wiecie najlepiej...

– Yudherhardere!

– No przecie Likal wie, żeście nie mnich świątobliwy, co w górskiej pieczarze modlitwy o czystość zanosi, nie? Nie patrzcie tak na mnie. Już od lat wam mówię, że się nie boję. To jak? Idziem z panną pogadać, zanim kapłani pobłogostawiają, czy zostawim królowkę w błogiej nieświadomości i będziem się modlić, coby pierwородny księciunia z poróżem się nie urodził?

Yasa spojrział na Likal. Dziewczyna przyglądała się narzeczonej księcia z niechęcią.

– Likal... Likal – powtórzył, bo podopieczna nie słuchała. Kiedy wreszcie podniosła wzrok, westchnął. – To było dawno – wyrwało mu się. Właściwie nie wiedział

dlaczego. Dotychczas jakoś się jej nie tłumaczył. Zmarszczył brwi zaskoczony i przez chwilę milczał. Wreszcie dodał:

– Chcę, żebyś tu została, kiedy pójdziemy z panem Yudherthardere złożyć uszanowanie młodej parze. Ona jest potężnym przeciwnikiem. Niebezpiecznym. Możemy potrzebować twojej pomocy.

Czarownica skinęła głową.

– Likal...

– Dobrze, zostanę – powiedziała gniewnie.

– Ech, dzieciaki – parsknął Sodi. – No, to chodźmy się przywitać.

Podczas gdy księżę całował narzeczoną, a Pierwotny z krasnoludem powoli zmierzali, by zniszczyć przyszłość tego związku, jasnowłosy gość ukryty dotychczas między filarami ruszył w kierunku Likal. Przemykał między stojącymi, niezauważalny dla nikogo, nie odrywając wzroku od podopiecznej maga. Był tak na niej skupiony, że zapewne gdyby tylko zamknął oczy, zdołałby podać rozmieszczenie każdego piega na drobnym nosku dziewczyny. Kiedy wreszcie znalazł się tuż za nią, zawahał się. Serce biło mu jak szalone.

I może ostatecznie by stchórzył i zawrócił, gdyby właśnie wtedy młoda czarownica nie wyczuła jego obecności i nie odwróciła się.

Czas stanął. Mimo że mężczyzna milczał, Likal wiedziała, kim jest. Wyglądał młodo. Zbyt młodo jak na swój wiek. Młodo i delikatnie. Jakby był tworem z kruchej porcelany, gotowym pęknąć pod dotykiem. Z niebieskich oczu wyzierała tęsknota i miłość. Nie tego się spodziewała, a i tak wiedziała, że to on.

– Likal – wyszeptał wreszcie. Wyciągnął dłoń, ale nie dotknął dziewczyny. Szczupłe palce zawisły tuż obok jej ramienia, drżące z niepewności.

Czarownica odsunęła się gwałtownie. Milczała.

– Wiesz, kim jestem, prawda? – zapytał cicho.

Skinęła głową. Pragnienie zawołania Yasy walczyło z chęcią poznania... jego.

– Niech ci się przyjrzę. – Uśmiechnął się smutno. – Jesteś taka podobna do matki. Taka podobna... Myślałem, że mi cię zabrali. Że zabili was oboje. Ciebie i Kalię. Tak mi powiedzieli. Nie chciałem w to uwierzyć. Tyle... tyle miłości. Na marne. Bogowie, córeczko, ale jesteś śliczna. Jak ona. – Ponownie wyciągnął rękę, a Likal znów się odsunęła. Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Nie znasz mnie. Wiem. Gdyby świat... Gdyby tamci ludzie... byłoby inaczej. Kochałbym cię, od początku. Patrzyłbym, jak zaczynasz chodzić. Usłyszałbym twoje pierwsze słowo. Opiekowałbym się tobą. Musisz mi wierzyć. – Zacisnął palce, a potem je rozprostował. – Nigdy bym cię nie opuścił. Gdybym wiedział, że żyjesz... NIGDY.

Szeptał gwałtownie, nabrzmiałym emocjami głosem, a Likal, chociaż bardzo chciała nie słuchać, słuchała. Jeszcze nie wiedziała, czy wierzy, ale słuchała. Wspomnienia z dzieciństwa przemykały w jej wyobraźni. Wszystkie złe. Samotność, ból, rozpacz, pustka. Wszystko, co ją spotkało.

– Likal... Uwierz mi, zawsze cię kochałem. Nawet wtedy, w spalonej chacie, kiedy myślałem, że wśród popiołów są też prochy twoje i twojego brata. Zawsze cię kochałem. Jesteś częścią mnie. Likal...

Dziewczyna milczała. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Pamiętała, że tam, za jej plecami, jest Yasa. Powinna spojrzeć, czy jej nie potrzebuje... Powinna, ale nie mogła przestać słuchać ojca, nie umiała odwrócić się od błękitnych tęczówek.

– Chcesz mnie zabrać? – zapytała wreszcie łamiącym się głosem.

– Twoje miejsce jest z nami. Ze mną i z Kaliem. Jesteśmy rodziną. W tym świecie nigdy nie będziesz bezpieczna. Nikt nie będzie cię kochał tak jak ja.

– Chcesz mnie zabrać?

– Chcę, żebyś sama do mnie przyszła – odpowiedział łagodnie. – Nie zmuszę cię do niczego, córeczko. To musi być twój wybór, Likal.

Była gotowa mu uwierzyć. Była gotowa...

Od chwili, w której leśna wróżka rozpoznała Yasę wśród gości, wiedziała, że nie wszystko pójdzie zgodnie z jej planem. Jeszcze uderzenie serca wcześniej wierzyła w przyszłość. Zawarła nawet ryzykowne przymierze, żeby tylko spełnić starą obietnicę. Kiedy w drzwiach sali balowej palce jej stóp dotknęły pierwszego płątka, kiedy poczuły ból umierającego kwiatu... w tamtej chwili była pewna, że lata oczekiwań wreszcie się dopełnią. Zostanie żoną, matką, panią w świecie ludzi. Uwolni się od cierpień lasu.

A potem zobaczyła Pierwotnego.

Nadzieja trwała jeszcze, gdy słodki głuptyś u jej boku dopełniał zrękwini pocałunkiem. I zgasła, gdy Yasa wyszedł z tłumu. Nie będzie męża i dzieci.

Niewiele jest rzeczy straszniejszych niż wściekłość leśnej wróżki, a tym razem cały gniew był skierowany przeciwko jednej tylko osobie. Koana wrzasnęła.

Okiennice uderzyły o mury, wichura wdarła się do pałacu, a za nią dziesiątki stworzeń. Owady, ptactwo, wszelkie latające zwierzątka uderzyły w zgromadzonych. Przedarły się przez spanikowany tłum, by rzucić na Pierwotnego. Osłonięty tarczą zaklęcia Yasa obserwował wściekłość natury. Każde uderzenie dzioba, każde ukąszenie osłabiało czar. Brakowało siły, by zaatakować, bo mag próbował utrzymać osłonę, by uchronić Sodiego. Uderzenie mocy, po godzinach kompletnej ciszy, wyrwało Tropicielea na wolność. Wył i szarpał, rozrywając umysł krzyżującego krasnoluda.

Oslona maga nie wystarczała. Sodi upadł na kolana, bezskutecznie próbując zatrzymać Tropiciela.

Kiedy przez otwarte wejście do sali balowej wdarty się drapieżniki, Yasa wreszcie poprosił o pomoc.

Była gotowa mu uwierzyć. Zamknięta w iluzji Oriana, nie słyszała i nie widziała, co się dzieje w sali balowej pałacu. Zostali tylko we dwoje, ona i ojciec, w słodkiej rozmowie, o jakiej marzyła przez całe życie.

– Likal – powiedział Orian z czułością – to twój wybór. Chodź ze mną, córeczko... Zawsze będziemy razem. Będę się tobą opiekował. Nigdy cię nie zostawię. Jesteśmy twoją rodziną.

Kiedy zamknęła oczy, wspomnienia wróciły. Ból, żal, samotność... i ten, który ją z tego wyrwał. Yasa.

– Ja już mam rodzinę – wyszeptwała.

Iluzja pękła.

W jednym momencie Likal pojęła, co się dzieje. Potężny stwór, żelazny wilkoniędźwiedź gotował się do skoku. Dziesiątki żyjątek obsiadło Yasę, próbując go kęsać...

– Ja już mam rodzinę! – krzyknęła czarownica. Gniew buzował pod skórą. Była gotowa zabijać w obronie tych, których kochała.

Na chwilę zapadła cisza. Absolutna, złowieszcza. Jak kiedyś, w Bertho. Czas zwolnił. Wszystkie stworzenia wezwane przez leśną wróżkę zamarły wpatrzony w jaśniejącą bielą istotę. Likal odetchnęła. Powoli, powolutku zebrała cały gniew, całą wściekłość, całą chęć mordowania, spłotła je jak warkocz, wizualny, ognisty warkocz bieli i złota. Przyglądała mu się z zainteresowaniem, jak nowej formie życia, wyjątkowo ciekawej, ale i niebezpiecznej. Potem owinęła wokół ręki i łagodnie nią poruszyła.

– Odejdź – szepnęła, patrząc na leśną wróżkę. – I nie wracaj. A pozwolę ci żyć.

Koana spojrzała na córkę Złodzieja Magii, a potem na jej ojca. I uwierzyła w tę obietnicę.

XI

Las

Syrenia para wyskoczyła z wody. Kaskada kropeł trysnęła we wszystkich kierunkach, mieniając się niczym kryształ w południowym słońcu. Wielobarwne promyki załamane światła tańczyły wśród fal, pieszcząc wzrok czulego na piękno smoka. Pyri przeleciał nad igrającą w morskiej toni dwójką i miękko lądował na szczycie wyspy, tuż obok obserwującego młodych starca. Zerderan podniósł wzrok na kuzyna, by zaraz ponownie opuścić go na syreny.

– Wygląda jak ja, prawda? – wyszeptał. – Zupełnie jak ja.

Pyri przez chwilę przypatrywał się młodemu trytonowi tańczącemu wśród fal. Potem z mieszaniną żalu i współczucia spojrział na jego ojca siedzącego obok.

– Przestań, Pyri – zachichotał Zerderan. – Nawet na ciebie nie patrząc, wiem, że masz pysk zbitego psa. Wiedziałem, na co się piszę. Swoje przeżyłem. Kiedyś trzeba się zestarzeć, u mnie trochę szybciej poszło i tyle. Przynajmniej mam dziedzica. I to jakiego! Pierwotny dobrze się spisał. Ty też.

– Zerd...

– Tylko mi tu nie rycz jak baba. Wystarczy, że Titr histeryzowała. I moje syrenki. Coś mam wrażenie, że córca nie z miłości, tylko z żalu. Gdybym posunął się w latach nieco wcześniej, nie ryzykowałyby figury dla mojego wnuka. Co? Nic nie powiesz.

– A co mam powiedzieć?

– Nie ożenisz się z moją Titr, co?

– Żadne z nas tego nie chce.

Zerderan pokiwał głową.

– Ano nie. Szkoda. Chociaż młoda ma temperament po mnie. Na wierność nie mógłbyś liczyć. No i jest jeszcze ta mała czarownica.

– Zerd...!

– Spokojnie. Próbowałem dwa razy, więcej dziewczyny nie tknę. Co prawda Zerdi wciąż o niej mówi, ale trzeba dbać o gatunek, poszukam mu syreny. Nic tak nie wypiera z pamięci niespełnionej miłości jak śpiew dochodzącej syreny. – Śmiech byłego trytona przeszedł w kaszel. Krztusił się przez jakiś czas, bezskutecznie próbując złapać oddech. Kiedy wreszcie mu się udało, spojrział na smoka z zastanowieniem. – Chociaż na ciebie to chyba nie zadziało.

Pyri nie odpowiedział. Nie musiał. Patrzył daleko, za linię horyzontu, w owo błękitne miejsce przejścia morza w niebo, a z zielonych smoczycz ślepi wyzierało nieskrywane pragnienie.

– Ano, nie zadziało. Szkoda. Dziewczyna należy do Yasy, Pyri. Widziałeś, nie jesteś głupcem. A Pierwotny nie lubi się dzielić. Twoja siostra wie najlepiej.

Smok wciąż milczał. Złote łuski połyskiwały w słońcu, kiedy wolno poruszał ogonem.

– Może jednak jesteś głupcem. – Starzec pokiwał głową. – Nic mi nie jesteś winien, możesz lecieć do tej swojej czarownicy.

Pyri spojrzał na kuzyna.

– Przekaż Titr, że wrócę przed rozwiązaniem.

– Wiesz, że nie musisz.

– Muszę.

Wzbił się w niebo i przez moment wisiał nad wyspą, doskonały złoty smok na bezchmurnym błękitnie. A potem pomknął ku horyzontowi.

Dzień był piękny, słoneczny. Trawa z wolna nabierała typowego dla pełni wiosny soczystego odcienia, by wraz coraz gęściej kwitnącymi kwiatami wyścielić okolicę barwnym dywanem. Nawet niebo, wyjątkowo bezchmurne tego dnia, wydawało się intensywniej błękitne. Do wrót lasu pozostało zaledwie kilkaset kroków, a Sodi zwalniał coraz bardziej. Nie, nie tęsknił do pałacu, który opuścili rankiem, acz Olena wyjątkowo hojnie odwdzieczyła się za przegnanie leśnej wróżki. W sakwach przy siodle słodko pobrzękiwało złoto, śpiewając krasnoludzkiemu sercu. Doru też nie opierał się przed dalszą jazdą, najwyraźniej Sodi wypełnił żądania królowej Serbithów i znów na chwilę był wolny. Mimo to jednak Yudherthardere nie kwapił się do wjeżdżania w elfi las.

Yasa zwolnił, by zrównać się z przyjacielem. Nie spojrzał na niego, ale krasnolud uznał to za ewidentne zaproszenie do rozmowy:

– A bo patrzcie, panie Yasa, taki gówniany borek. No, istny pypeć na kraińskiej dupie... Taki gówniany borek, a najpierw jakaś czarownica, potem leśniaki, wróżka też ino stąd być mogła, gdzieżby indziej chędożony nieboszczyk się zapuszczał, skoro tu mu lasek piękny rósł? Tyle cudów w takim malutkim borku. Strach wracać. Coś mnie tu dziwnie wonie, panie Yasa... No, niby wiem, że wasi pierwotni bogowie ponoć w niewielkim lasku tego chwosta posadzili, co to z niego można było artefakt wystrugać, ale zem dotąd dumał, że to ino bajdy. Jak się nagle bajdy w rzeczywistość przeobiekają, to jakoś mi tak... no, niemiło wracać.

Pierwotny milczał.

– No, a jak wspomnę tę waszą znajomą, co to was bożatkami szczyła wczoraj, a pewnikiem do dom wróciła, to już mi się zupełnie chce Doru najmilszego piętami popędzić w inną stronę.

– Koaną bym się nie martwił – powiedział cicho Yasa, wspominając przerażenie w oczach wróżki. – Ona nie zechce Likal wejść w drogę.

– Ano to też jakieś takie dziwne, nie? Was się panna nie złąkla, a jak na to nasze chuchro polukała, to raz-dwa i już jej nie było.

– Ona chyba niezupełnie Likal się wystraszyła – westchnął Pierwotny.

– Jak nie? Przecież całkiem wyraźnie, chociaż posoka mnie już z kinola na bieluchne marmury kapała, no... całkiem wyraźnie widział, jak przed naszą gówniarą...

Yasa wbił wzrok w sztywne plecy milczącej od poprzedniego wieczoru Likal. Dziewczyna pierwsza dosiadła konia i nie odwróciła się ani razu. Wyprzedzała ich teraz o trzy długości.

– Uczyli was, kogo Orian okradł z magii? – zapytał cicho mag.

Sodi cmoknął niecierpliwie.

– Po co pytacie, jak wiecie?

– Igrila miała taką moc... Przenosiła odbicie swojego ciała i pozwalała go zobaczyć tym wybranym. To nawet nie było zaklęcie, tylko dar.

Krasnolud ściągnął tak gwałtownie wodze, że zraniony kuc zarżał boleśnie.

– Kurwa... Chcecie powiedzieć...?

Pierwotny potaknął.

– Likal nie odzywa się od wczoraj – odpowiedział cicho. – Jestem prawie pewien, że rozmawiała z... Orianem. I że to jego Koana się wystraszyła.

Sodi podrapał się po kudłatej łepetynie.

– Nie żebym nie wierzył czy co, ale może naszej gówniarze to słów brakło, boście ją wczoraj obtańcowali jak nigdy. Tak też być przecie może, nie? Dziewucha nie nawykła do waszych czułości. Może trza ją zapytać, a nie dumać po próznicy, ha?

– Może. – Westchnął Pierwotny.

Zamilkli, świadomi, że żaden tego nie robi.

Likal w tym czasie jechała powoli w kierunku lasu, trzymając w rękach małą klatkę ze złotą myszką. Dziesiątki myśli plątały się po zmęczonym umyśle dziewczyny. Niewiele spała tej nocy, a wczorajsze przeżycia mocno nią wstrząsnęły. Nie wiedziała, jak powiedzieć Yasi o Orianie, bo tego, że musi powiedzieć, była pewna.

Jej świat stawał na głowie, ale, kompletnie wyczerpana, nie miała siły, żeby się tym przejmować.

Mysz w klatce właśnie się obudziła i cicho piszczała. Czarne koraliki oczu połyskiwały, zerkając co rusz na trzymającą ją czarownicę. Wąsiki drgały nerwowo, jakby stworzenie czytało myśli Likal. Dziewczyna pogłaskała odruchowo szczebelki klatki. Mysz zamarła w oczekiwaniu, a gdy dłoń się cofnęła, stworzonko zaczęło biegać, ocierając się o ściany więzienia. Likal westchnęła. Rozumiała zwierzątko, miała wrażenie, że jej dusza siedzi w tej samej klatce.

Dziewczyna odetchnęła głęboko i obejrzała się. Pierwotny rozmawiał z krasnoludem, pochylony lekko w siodle. Żaden nie zauważył, że Likal patrzy.

I już miała się nad sobą rozzalić, kiedy wysoko nad jej głową, na idealnym błękitnie nieba zamajaczył cień. Najpierw odległy i niewielki, zbliżał się nieskończenie wolno, rosnąc z każdą chwilą. Nim jednak plama stała się potężnym złotym smokiem, Likal już wiedziała, że to właśnie on. Zaciśnęła palce na rzemieniach końskiej uprzęży i lekko uniosła się w siodle. Serce waliło jak szalone, a usta, tak jakoś bez jej wiedzy, rozciągnęły się w uśmiechu.

– Myślisz o mnie, Likal? – Zamajaczyło na granicach jaźni czarownicy. – Myślisz?

Zaśmiała się, nie odpowiadając, a złoty smok przemknął przez nieboskłon i znikł między drzewami elfiego lasu.

Jadący za dziewczyną mężczyźni też dojrzel smoka. Każdy z nich pomyślał co innego, ale nie podzielili się swoimi spostrzeżeniami. Za to widząc rozpromienioną buzię Likal, obaj odetchnęli z ulgą.

Przyspieszyli, żeby zrównać się z podopieczną. Uśmiechnęła się do nich.

– Coście tacy markotni? – zapytała, zerkając na Sodiego. – Nie spieszo wam do misiowatej panny? Coś tam wspominaliście, że serce tęskni... Czy inna część ciała.

Sodi też się uśmiechnął.

– A dyć, ty panna wiesz najlepiej, nie? – Wskazał głową niebo.

Yasa milczał, ale również spojrzał w górę. Przez czysty błękit snuł się samotny pierzasty obłok, a niżej przelatował klucz ptaków. Idealne półkole czarnych skrzydeł na białobłękitnym tle. Spokojny, wiosenny obrazek. Zupełnie obcy duszy Pierwotnego.

– To co? Jak trza, to trza – markotnie zauważył Sodi, bo właśnie dotarli do granic elfiego lasu.

Mag skinął głową i powoli wprowadził wierzchowca między drzewa.

Półmrok zamknął się wokół nich. Słońce przemykało między koronami drzew, muskając liście, i ledwie wspomnieniem docierało ku ścieżce, którą zmierzali. Konie parskały niespokojnie, klaczy Likal i ogierowi Yasy udzieliła się nerwowość krasnoludzkiego kuca. Wyschnięte gałązki strzelały pod kopytami, a Doru strzygł uszami, jakby dobiegały go jakieś bardzo niepokojące odgłosy. Pochylony nad karkiem zwierzęcia Sodi poklepywał go uspokajająco. Niestety, wyczulony na emocje swojego

pana kuc bardziej reagował na strach Yudherthardere. Sodi zaś nie tylko próbował zapanować nad wierzchowcem, ale przede wszystkim nad warczącym Tropicielem. Magiczne alter ego próbowało się wyrwać od chwili, w której przekroczyli linię drzew.

– Ostatnio tak się nie denerwowały – zdziwiła się Likal. Złota mysz też szalała w klatce, gryząc szczebelki. Kiedy dziewczyna wsunęła palce do środka, żeby uspokoić zwierzątko, to wbiło ząbki w dłoń opiekunki. Likal krzyknęła i włożyła zraniony palec do ust. Zaraz jednak wyjęła go, by wyszeptać zaklęcie.

Tropiciel zamruczał gniewnie, ale nie przestał kąsać Sodiego, a i zwierzęta nadal były niespokojne.

– Co się dzieje? – mruknęła czarownica. Splotła palce, by wzmocnić ochronne zaklęcie, ale nim zdążyła je wypowiedzieć, konie zamarły, a uwolniony od ciężaru walki z Tropicielem Sodi jęknął z ulgą.

Tylko mysz wciąż ciskała się w klatce.

Jak poprzednio pomiędzy koronami drzew rozbłysły elfie migotki, a po chwili dołączyło do nich pohukiwanie i wreszcie pojawiły się elfy.

Ferion siedział przed chatą. Przez moment, kiedy zobaczył gości, nie wyglądał na szczęśliwego, ale zaraz zapanował nad wyrazem twarzy. Tak jak za pierwszym razem nie wyszedł im na spotkanie, lecz poczekał, aż się zbliżą i dopiero wtedy wstał. Nim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, z pobliskiej chaty wybiegła Kyta. Wykrzykując imię Sodiego, rzuciła mu się na szyję i obsypała pocałunkami. Ścisnęła krasnoluda, na przemian to całując go, to chichocząc radośnie. Yudherthardere nie nawykł do takiej wylewności. Ba! Nie nawykł, by jakakolwiek panna na jego widok okazywała radość. Poddawał się więc owym czułościom nieco stropiony, zerkając to na maga, to na młodą czarownicę.

– Cóż, widzę, że jednak ktoś się cieszy z naszego powrotu – zauważył z przekąsem Yasa.

– Drogi Yaso, oczywiście, że raduje nas wasza obecność – chłodno skłamał elf. – Jesteśmy wam winni wdzięczność. Cofnęliście przekleństwo, wczoraj nie było przemiany.

– Jesteście nam winni coś innego – równie chłodno stwierdził mag.

Ferion westchnął.

– Wiesz, że to nie takie łatwe.

Pierwotny nie odpowiedział.

– To święty artefakt, jedyna pozostałość po Złotym Dębie. Obowiązkiem mojego gatunku jest go strzec.

Yasa wciąż milczał. Ferion pokręcił głową.

– Zawsze byłeś cholernie uparty, Yaso – wyszeptał. Zerknął z niechęcią na rozanieloną Kytę i zatopionego w jej objęciach krasnoluda, a potem z niejakim żalem na stojącą obok maga dziewczynę. – Cóż, obiecałem ci artefakt ze Złotego Dębu, jeśli usuniesz przekleństwo z wioski, więc muszę ci go oddać. Obietnica to obietnica. Najpierw jednak zapraszamy w gościnę.

– Wybacz, mój drogi – uśmiechnął się zimno Pierwotny – ale twoja ostatnia gościna prawie zabiła mojego przyjaciela. Tym razem więc nie skorzystamy, jeśli pozwolisz.

Usłyszawszy towarzysza, Yudherthardere wyzwolił się z objęć kochanki.

– Wiecie, panie Yasa, moglibyśmy tak w sumie ciuteńkę zabawić, co nie? Patrzcie na Likal, toż się nam panna na nóżkach ślania. Odsapnęłyby. Droga przed nami daleka, a się dziewczuszka wczoraj namęczyła, nie?

Yasa spojrział na podopieczną. W czarnej kurtce narzuconej na prostą podróżną suknię rzeczywiście wyglądała blado. Już miał zapytać, czy nie chciałaby zostać, ale dziewczyna weszła mu w myśli. Wymienili zdania w milczeniu. Likal przytuliła mocniej ukrytą pod kurtką klatkę i przysunęła się do opiekuna.

– Ferionie – kontynuował Yasa – nie lubię upominać się o swoje.

Elf zacisnął usta. Przez chwilę wyglądał, jakby walczył sam ze sobą. Potem skinął głową bez słowa, odwrócił się i znikł wśród drzew.

Drzemiący od jakiegoś czasu Tropiciel warknął niespokojnie. Sodi zmarszczył brwi i rozejrzał się. Wtulona w niego elfka ocierała się zachęcająco, ale Yudherthardere jakoś nie potrafił skupić się na tej odrobinie przyjemności. Dziadulo zawsze powiadał, że odmawiać darmowej pochędzki grzech, tym razem jednak chyba zrozumiał. Tropiciel jeżył się pod krasnoludzką skórą i zaczynał szarpać myśli. Sodi odsunął się od Kyty i wyszeptał ochronne zaklęcie. Spojrzał przy tym na Yasę i Likal. Pierwotny potaknął bez słowa.

Coś się zbliżało. Coś magicznego i niekoniecznie pokojowo nastawionego.

Ferion wrócił, niosąc szkatułkę. Zdobiący wieczko rubin odbił krwawym światłem tych kilka promieni słonecznych, które zdołały się przebić przez gęste korony drzew. Elf stanął przed Yasą i pieszczotliwie przesunął palcami po olbrzymim kamieniu. Pod jego dotykiem rubin rozbłysnął feerią odcieni purpury i różu, rozświetlając całe niewielkie drewniane pudełko. Rubinowe płomyki tańczyły przez moment na powierzchni, a potem, zwielokrotnione, uderzyły ku niebu. Ledwie chwila i cała polana tonęła we wszelkich zabarwieniach czerwieni. Ferion uśmiechnął się z lubością, a potem odsunął palce od kamienia. Światło zgasło.

– Zgodnie z obietnicą – powiedział, oddając szkatułkę Yasi.

Pierwotny przyjął pudełko, a potem bez słowa podał je Sodiemu. Krasnolud zawahał się. Przygotowany na uderzenie mocy, jakie powinien nieść tak potężny artefakt, w duszy szeptał wszelkie znane zaklęcia ochronne. Zacisnął zęby, przymknął oczy i dopiero wtedy przyjął pudełko.

Uderzenie nie nastąpiło. Sodi uniósł jedną powiekę, zerknął na szkatułkę, zważył ją w dłoni. Potem powoli otworzył drugie oko... wreszcie spojrzął na Yasę i Likal.

– Ech, panie Yasa – westchnął z udawaną rozpaczą. – Tyle lat człek najlepsze szkoły zwiedzał, tyle go uczyli... Tyle czasu zmarnowanego, nie? Na ten przykład, se wspomnę, jak mnie mistrz Herto po dupie złożył, bo się mnie nie mieściło, że leśne elfy łąć nie potrafią. Jak to nie potrafią? Mówię, a on raz w dupę, no! Muszę go tera na grzebalniku odwiedzić i mu rzec: aha! I co? Iście się mylili! Łżą i nawet im powieka nie drgnie! Jak w tym puzderku jest magiczny przedmiot, to ja jestem prześlicznej urody rusalka.

Trójka gości wbiła wzrok w elfiego pana. Ferion cofnął się nieznacznie, nie przestając uśmiechać.

– Cóż – wzruszył ramionami – warto było spróbować, chociaż nie miałem wielkiej nadziei, że uwierzycie... Szkoda. Naprawdę szkoda.

Naraz korzenie ożyły. Kiedy Sodi, Likal i Yasa wpatrywali się w szkatułkę, pnącza łagodnie podpełzły ku ich stopom. A teraz zacisnęły więzy. Nie pomogły ochronne zaklęcia. Pnącza jak żywe stworzenia sunęły wokół ciała i krępowwały ruchy. Kyta krzyczała przeraźliwie, drapiąc opasujące krasnoluda drzewiane więzy. Yasa rzucił czar, ale ten odbił się pustym echem na leśnej polanie. Kolejnego nie zdążył, bo gibka gałązka owinęła się już wokół szyi Pierwotnego, naciskając łagodnie, acz ostatecznie.

– Nie próbuj, Yaso. – Ferion odepchnął Kytę tak mocno, że uderzywszy o ziemię, przestała krzyczeć. – Twoja uczennica też lepiej, żeby nie próbowała. Mrugnę, a pnącze złamie ci kark. Jesteście w moim lesie. Moje drzewa tłumią waszą moc.

– Nasze, Ferionie – poprawiła go leśna wróżka, wychodząc z ukrycia.

– Cóż – skrzywił się elf i poprawił, acz niechętnie: – Nasze.

Koana podeszła do Yasy i spojrzała na niego z nienawiścią.

– Role się odwróciły, Pierwotny, prawda? Jesteś w moich rękach. Jak to jest stać, czekając na wyrok?

Yasa nie odpowiedział. Związany niczym larwa w kokonie z korzeni, ledwie mógł oddychać. Nawet ci, którzy go dobrze znali, nie potrafili odczytać myśli maga. Jego twarz pozostawała obojętna, jedynie w ciemnych oczach, gdzieś głęboko, na samym dnie, można byłoby zobaczyć strach. Nie o siebie. O siebie Yasa nie bał się od czasu, gdy Rosa powiedziała Czterem Bogom Pierwotnych, że Yasa należy do niej.

Ten, kto dobrze znał Pierwotnego i potrafiłby czytać z jego spojrzenia, zobaczyłby strach o Likal.

– Naprawdę mi przykro, Yaso. – Ferion pokiwał głową. – Ale Koana nalega na twoją śmierć. Zniszczyłeś jej szansę na normalność czy coś takiego.

Leśna wróża fuknęła wściekle.

– Nie podoba mi się to, ale muszę jej ustąpić – kontynuował elf. – Tylko dzięki niej możemy mieszkać w tym lesie. Zawarliśmy przymierze, dziesiątki lat temu, ja i ona. Pomogła mi zatuszować... pewien błąd, a ja jej uzyskać obietnicę. Niestety, z jej spełnieniem jest mnóstwo kłopotu. Między innymi z twojego powodu. A szkoda. Gdybyś wczoraj się nie wtrącił, mogłoby być inaczej.

– Byłabym człowiekiem! – warknęła wróżka. – Nigdy więcej bólu lasu! Wiesz, jak to jest, być połączonym z tym? – Wskazała okolicę. – Wszystko zmieniłoby ślubowanie tego... kochanego głuptasa – wyszeptwała. Przez chwilę milczała, a jej ładna twarz o lekko zielonym odcieniu pozostawała szczerze smutna. – A ty wszystko zepsułeś. Mogłam być szczęśliwa. On też. Jego głupia matka nigdy by się nie dowiedziała... A ty wszystko zepsułeś!

Usiadła na pieńku, daleko od Feriona. Gniew najwyraźniej ją opuścił, zastąpiony żalem. Oparła głowę na dłoniach i przymknęła oczy.

– Łżecie, panie elf – wycharczał Sodi. Jego pnącza też skrępowały, a Tropiciel wciąż kąsał drażniony magią leśnej wróżki. Nic to jednak w porównaniu do wściekłości, jaką czuł krasnolud. Ta nie tylko pozwalała zapanować nad alter ego, ale też przede wszystkim stępiła strach. – Już jakeście nas do Wereny kierowali, zamierzaliście nas do przodków wysłać.

– Ach, Werena. – Ferion uśmiechnął się. Podszedł do Likal. Posłuszne mu pnącza rozsunęły się, kiedy sięgnął ku nim. Wyciągnął zza poły dziewczęcej kurtki klatkę i podniósł ją ku swojej twarzy. – Myślałaś, moja droga – zapytał Likal – że nie zauważyłem? To mój... nasz las. Nic i nikt nie wejdzie tu bez naszej zgody. – Przyglądał się złotej myszce z zainteresowaniem, a potem odłożył ją delikatnie. – Za rozwiązanie problemu Wereny jestem wam dozgonnie wdzięczny. Kiedy wygnaliśmy Złotowłosą z lasu, nie sądziłem, że ten się zbuntuje i sprzymierzy z czarownicą przeciwko nam. Ostatecznie była Koana, prawda? Koana stała po naszej stronie. Bez jej pomocy nie pozbylibyśmy się Wereny. Las miał swoją wróżkę... Kto by pomyślał, że ona mu nie wystarczy? Moi ludzie byli już bliscy buntu, kiedy Yasa zechciał poprosić o artefakt. Jeszcze kilka dni, a uciekliby z lasu. Mojego lasu! Conocne przemiany, wyczerpanie... A kiedy wysłałem wojowników do Wereny, zamieniła ich w pożywkę dla larw. Na szczęście pojawiliście się wy.

Sodi spróbował się poruszyć, ale każda zmiana położenia sprawiała, że pnącze zaciskało się mocniej. Wściekły krasnolud popatrzył na Yasę, a potem Likal. Twarz maga poczerwieniała, najwyraźniej coraz trudniej było mu oddychać. Młoda czarownica za to wyglądała, jakby spała. Pod koniec przemówienia Feriona dziewczyna przymknęła oczy, a ładnej buzi nie szpecił najmniejszy nawet grymas. Krasnolud najpierw zmarszczył brwi, a potem naraz pojął...

– Znaczy co? Będziecie nas tak ściskać, aż flaki wyplujem, boście artefakt zapodziali i przyznać się do tego nie chcecie? – zapytał, ponownie ściągając na siebie uwagę elfa.

– Drogi panie Yudherthardere – uśmiechnął się z pogardą elf – co do artefaktu kompletnie się mylicie. Was zaś zabiję choćby dlatego, żeście poważyli się wychędożyć elfią kurewkę. – Kopnął z obrzydzeniem leżącą Kytę. – Krasnolud powinien znać swoje miejsce.

Sodi raczej nie należał do wojowników, a i kiedy nie trza było, do bitki się nie rwał. O szlachectwie, które przypominał mu przydomek przed nazwiskiem, też starał się nie pamiętać. W życiu są przecież ważniejsze sprawy niż owo de Gra, a i lepiej ujść całemu, niż po próżnicy łba nadstawiać w przegranej sprawie. Tak więc Sodi Yudherthardere rzadko wspominał, że wywodzi się z książęcej linii de Gra, dla której, pokolenia wcześniej, honor był przewodnikiem. Czasami jednak owe pokolenia przypominały Sodiemu, kim jest.

– Tknijcie ją jeszcze raz, panie królu – wyszeptał więc Sodi de Gra Yudherthardere, prawnuk Idara, potomek Benerii – a sprawdzimy, czy wasze pęta, czy moje toporki są mocniejsze.

Elf zamrugnął zaskoczony. Po chwili roześmiał się, ale nieco nieszczerze.

– Wierzcie mi, Yudherthardere, że pęta. Nie ma takiej mocy, która by je rozerwała. Dawno by was udusiły, ale po pierwsze, długo nie miałem możliwości dobrze się zabawić... A po drugie, obiecałem poczekać – dokończył cicho. Poblądł przy tym, jakby samo wspomnienie, komu obiecał, przynosiło falę gwałtownych emocji. – On ma jakiś plan. I chciał mieć was żywych.

Powiedziawszy to, usiadł pod drzewem i zamilkł.

Pyri przeleciał kilkakrotnie nad wierzchołkami drzew elfiego lasu. Coś w tym miejscu... coś nie pozwalało mu tak po prostu tam zajrzeć. Czuł to już poprzednio, acz nie z taką siłą. I nie był to ostry zapach igliwia przyprawiający smoka o ból głowy, ani nawet ohydnie mdły aromat mchu. W ogóle nie była to oczywista woń, jak różane szaleństwo Titr czy ta, którą pachniała Likal, a którą wciąż próbował dopasować do

jakiegoś ze wspomnień. Las wydzieliał dziwny, przerażający zapach mrocznej mocy. Nie aż tak strasznej jak Las Spalonej Czarownicy, ale i tak okrutnej.

Niestety, tam właśnie zawędrowała Likal, więc Pyri krążył w okolicy, czekając na sposobność, by spotkać się z dziewczyną. Zerderan miał rację, na tę miłość śpiew dochodzącej syrenki nie pomógł.

Smok rozprostował olbrzymie skrzydła. Słońce grzało złote łuski. Promyki migotały w nich jak w tysiącach zwierciadeł, tworząc nierówne tafle światła. W taki piękny dzień jak ten sam lot, nawet kompletnie bez celu, sprawiał Pyriemu niemal fizyczną przyjemność.

– Pyri! Pomóż!

Krzyk Likal zadrzał na granicy smoczej jaźni. Odległy i słaby, skrępowany mocą lasu, a jednocześnie tak wyraźny, jakby wyszeptała go wprost do smoczego ucha.

Złotołuski zamarł nad wierzchołkami drzew. Potężny cień, gotowy zabijać dla swojej czarownicy.

Skrepowana przy boku Pierwotnego, Likal czuła, jak opiekun walczy o każdy oddech. Uniosła powoli powieki i spojrzała na siedzącego pod drzewem elfa. Przyglądała mu się długo z ciekawością człowieka widzącego po raz pierwszy egzotyczne stworzenie i pewnego, że przyjdzie mu to stworzenie zabić. Potem przeniosła wzrok na pogrążoną w zadumie Koanę. Na nią również patrzyła długo. Tak długo, aż leśna wróżka podniosła głowę. Na końcach rzęs kobiety drżały niewyplakane łzy. Miękkie serce młodej czarownicy drgnęło. Gniew, jaki jeszcze przed chwilą czuła do leśnej istoty, cichł.

– Odejdź, Koano – powiedziała łagodnie. – A dotrzymam słowa.

Wróżka pokręciła głową.

– Gdzie pójdę? Las jest moim domem – dodała z nieukrywaną goryczą. – Mogę równie dobrze poczekać tu na śmierć.

– Jaką śmierć? – zapytał nerwowo Ferion. – On...

– On mnie zabije, bo ją tknęłam – przerwała mu Koana. – I dobrze. To i tak lepsze niż wieki wśród mchu!

– On będzie wdzięczny...

– Głupcze! – Skoczyła ku elfowi. – On nigdy nie jest wdzięczny!

Dwójka współników wymieniała obelgi. Likal tymczasem wezwała smoka.

Pyri wpadł między korony drzew, łamiąc je jak cienkie patyczki. Zanurkował ku polanie i zawisł tuż nad ziemią, pilnując, by nie dotknąć żadnego kłacza.

– Klatka, Pyri! – rozbrzmiało w smoczej głowie.

Klatka ze złotą myszą stała na pieńku. Smok złapał ją i, nim pierwszy rzucający się ku niemu korzeń zdołał dotknąć smoczej łapy, otworzył, wypuszczając złotą mysz.

Mała mysia stópka dotknęła omszałej gałązki, a las zaszumiał głośno.

– Werena! Werena! Werena! – rozkrzyczały się liście.

– Werena! Werena! – zaśpiewały ptaki.

– Werena! – jęknęły łamiące się gałęzie.

Dziki zwierzęta powtarzały imię swojej czarownicy. Drzewa szumiały, krzyczały, śpiewały. Wszystko, co żywe w okolicy, biegło na powitanie ukochanej. Cztery różowe łapki wrosły między igliwie. Moc lasu gwałtownym grzotem połączyła się z zaklęciem Pierwotnego, by w złocistej feerii iskier zamknąć złotą mysz. Dziesiątki tysięcy złotych kropeł tańczyło wokół stworzenia, jakby szalona wichura, roztrzaskawszy najpierw w drobny mak złote naczynie, zapragnęła złożyć je w całość. Na niewidzialnym garncarskim kole, z zawrotną prędkością, nieistniejący garncarz toczył rosnącą błyskawicznie złotą wazę. A wszystko to przy akompaniamencie lasu wyśpiewującego imię swojej pani.

Naraz tuba opadła. Werena, młoda i piękna, jak tylko młode i piękne potrafią być czarownice, poprawiła włosy. Wzięła do ręki długi złoty warkocz i powolnym ruchem zaczęła go rozplatać. Im więcej uwalniała włosów, tym bardziej opadały więzy trzymające dotychczas Likal, Yasę i Sodiego. Aż wreszcie stanęli wolni. Yasa upadł na kolana, łapiąc oddech, a Likal uklękła przy nim, łagodnie głaszcząc po ramieniu. Pokręcił głową i spojrzał na dziewczynę przepaszająco. Uśmiechnęła się, a potem potaknęła bez słowa. Kiedy wstawiała, Pierwotny złapał ją za rękę i zatrzymał na moment. Pozwolił młodej czarownicy wejść w swoje myśli i odczytać to, czego nie potrafił powiedzieć.

Smok tymczasem, stojąc tuż obok, dumiał nad strawnością czarodziejów. Wreszcie Likal podeszła do niego. Położyła dłoń na złotej skórze Pyriego, pieszczotliwie przesunęła po niej palcami, by w końcu przytulić głowę do smoczego boku.

– Myślę o tobie, Pyri – wyszeptwała w jego myśli. – Nieustannie.

Otrząsnawszy się z bólu, jakiego przysporzył mu Tropiciel, kiedy Werena wracała do ludzkiej postaci, Sodi od razu pomyślał o Kycie. Idąc do niej statecznym, powolnym krokiem... zaś mu nie wypadało robić widowiska, co nie? Tak więc Sodi, idąc do podnoszącej się Kyty, zauważył i zazdrość smoka, i wściekły błysk w oku Pierwotnego, gdy Likal do złotołuskiego przyłgnęła. A że Sodi rzadko był szlachetny, za to często złośliwy, pomyślał z ową przekorną radością, że będzie się działo... Oj, będzie.

Werena nie zwracała na nich uwagi. Patrzyła tylko na oniemiałą dwójkę, która przepędziła ją z domu.

– Witaj, Ferionie! – Silny i dźwięczny głos czarownicy niósł się echem po polanie. –
Koano, moja droga...

XII

Zotwd b

Jasnowłosy Ferion pobladł tak bardzo, że jego skóra wyglądała na przezroczystą. Koana tylko ciężko opadła na mały pień i, nie dowierzając, wpatrywała się w czarownicę. Było zaś w zielonych oczach wróżki tyle rezygnacji, że Werena ledwie zerknęła na przeciwniczkę, całą uwagę poświęcając elfowi.

– Przygarnęłam cię, głupcze – powiedziała chłodno. – Ciebie i cały twój lud. Dałam wam dach nad głową. Nakarmiłam i odziałam. A ty spiskowałeś przeciwko mnie. Wyrzuciłeś mnie z własnego domu. Pozbawiłeś moje dzieci – zrobiła ruch ręką, wskazując okolicę – matki. Jak myślisz, co powinnam z tobą zrobić?

Ferion milczał. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

Werena powoli sięgnęła do rozplecionego warkocza. Najpierw delikatnie zawinęła pasmo złotych włosów wokół palca... Korzenie otaczające elfa powtórzyły ten gest. Powoli przysunęły się do Feriona i musnęły jego stopy. Mężczyzna szarpnął się, a wtedy Werena pociągnęła mocniej kosmyk włosów. Pnącza szczelnie owinęły elfie stopy. Czarownica zaczęła splatać włosy. Ciasno, bardzo ciasno. Co któryś ruch ponawiała pociągnięcie, a opasujące elfa kłacza boleśnie się zaciskały. Kiedy dotarły do gardła, Werena wyciągnęła zza paska wstążkę i łagodnie zawiązała włosy. Na tyle luźno, by naśladowujące ją korzenie nie udusiły więźnia. I uśmiechnęła się wzgardliwie, samymi tylko ustami.

Następnie rozejrzała się wokoło. Pokręciła dłonią, a za jej plecami wyrósł olbrzymi dębowy tron o złoconych bokach, wyściełany leśnym poszyciem i wyłożony miękkimi poduszkami. Czarownica zasiadła na wyczarowanym siedzisku, a potem, zerknąwszy na gości, uśmiechnęła się i ponownie poruszała palcami. Szerokie ławy stanęły po prawicy i lewicy pani lasu. Obie, jak tron Wereny, pełne miękkich puchów i barwnych aksamitów.

– Wybaczcie, moje maniery zardzewiały na wygnaniu. – Roześmiała się perliście. Wskazała im miejsca. Na dłużej utkwiała wzrok w Pyrim. – Znałam, zdaje się, twojego przodka, mój drogi. Strasznie porywczy był z niego gad. – Uśmiechnęła się. – Z tego, co pamiętam, kiepsko się to dla niego skończyło. Uwierz mi, Pierwotni są cholernie ciężkostrawni. – Zachichotała.

Smok pochylił łeb, uciekając pytającemu spojrzeniu Likal.

– Myślę, chłopcze, że czas, byś przybrał bardziej... pasującą do reszty towarzystwa formę, prawda? – poprosiła miękko czarownica. Kiedy spełnił tę prośbę, obejrzała go bezceremonialnie i cmoknęła z przyjemnością. – Tak, z całą pewnością znałam twego przodka. Prawda, Yaso? To jak nic potomek Yha Hredhertgherre. Kawał był z niego chłopca... w każdej postaci.

Pierwotny zacisnął usta, co wprawiło Werenę w jeszcze lepszy nastrój. Poklepała miejsce tuż obok siebie i poczekała, aż Pyri usiądzie, a potem z przyjemnością obserwowała, obok kogo wybierze miejsce młoda czarownica. W głębi duszy miała nadzieję, że to będzie smok. Irytacja maga niezwykle bawiła Werenę. Kiedy więc Likal spełniła jej oczekiwania, kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– Powinłam się na was zezłościć za tę... mysią przygodę, ale jakoś nie potrafię. Może nie na wszystkich, a jedynie na ciebie, drogi przyjacielu. – Skinęła magowi. – Ostatecznie wiesz, jak nie znoszę gryzoni. Uznam to jednak za rewanż: potraktowałam was larwami i głazami, ty mnie wsadziłeś do klatki... Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło i jesteśmy kwita. Jak myślisz, mój piękny smoczku? – Uniosła palec do ust i przez chwilę przesuwiała nim po dolnej wardze, w pełni świadoma, że irytuje Likal. I tylko ją, bo na wpatrzonym w dziewczynę młodzieńcu zachowanie Wereny nie robiło wrażenia. – Widzicie, panie Yudherthardere, że nie łągałam, wspominając dawne czasy – mrugnęła do krasnoluda – i młodzieńców mną zainteresowanych. Dom dodaje sił, kochani! – Uderzyła w oparcia fotela, a potem ponownie wpatrzyła się w Feriona, nie przestając się uśmiechać. – I co, głupcze, wymyśliłeś, co mam z tobą zrobić?

Elf zerknął na Koanę. Widząc, że nie może liczyć na jej wsparcie, rozejrzał się za swoimi ludźmi. Jednakże naraz na polanie z elfiej rodziny pozostał tylko on i Kyta. Elfy, widząc, jak potraktował jedną z nich, i słysząc, co sprawiło, że dręczyły ich tak długo demony lasu, błyskawicznie się od niego odsunęły. Został sam przeciwko leśnej czarownicy wspieranej pierwotną magią.

– Rób, co chcesz – warknął. – Jesteś tylko brudnym pomiotem, efektem znudzenia bogów. Tacy jak ty wcześniej czy później wyginą.

– Zapewne – zgodziła się Werenka. – Mogę się jednak założyć o panowanie nad tym miejscem, że znacznie później niż ty, mój drogi.

Uniosła się, ale nim rzuciła czar, Yasa odchrząknął cicho. Czarownica westchnęła.

– A tak, zapomniałabym... – Pokręciła głową, patrząc na Pierwotnego. – Wybacz, znów to wygnanie. Moje maniery... Pobaw się, przyjacielu. Tobie też się coś należy.

Yasa podszedł do skrzepowanego korzeniami elfa.

– Oddaj nam artefakt, Ferionie – powiedział łagodnie – a może przeżyjesz.

Leśny Pan zaśmiał się gorzko.

– I to mnie zarzucacie łgarstwo?! – zapytał. – Ona mnie zabije. Zbyt długo na to czekała.

– Fakt, czekałam – potaknęła Werena. – Jednakże zabijać można na różne sposoby, mój drogi. Oddaj Pierwotnemu, o co cię prosi, a może... może... może się zastanowię.

– Rzecz w tym, Yaso – odpowiedział elf, a w jego czarnych oczach błysnęła mściwa satysfakcja – że elfy nie kłamią. Dałem ci artefakt ze Złotego Dębu.

– Taaa, i jeszcze mi rzeknijcie, że Tropiciel nosa stracił i mocy wyczuć nie potrafi – warknął Sodi, na chwilę wyrывая się z objęć Kyty. Wziął w ręce szkatułkę, zważył ją, obejrzał z bliska. Zwłaszcza tajemniczy kamień, który pod dotykiem elfa jarzył się czerwienią, a kiedy krasnolud go pomacał, pozostał niezmienny. Zlustrował dokładnie, przesuwając palcami wzdłuż każdej nierówności, a Tropiciel w tym czasie drzemał słodko w krasnoludzkim umyśle. Nawet kiedy Sodi, wiedziony niezdrową ciekawością, polizał rubin, alter ego nie drgnęło. – Uczyli mnie, że Złoty Dąb posadzili bogowie, coby ludzkość przed magią zabezpieczyć, a żeby artefakt z niego wystrugać, trzeba było latami modlitwy wznosić, w odpowiedniej kolejności, co dnia, zawsze z ostatnim promieniem słońca padającym na złote liście dębu. Strasznie dużo zachodu, coby se skrzynusie ustroić, i to jeszcze taką, co to się jej otworzyć ni cholery nie da.

Rzucił ją Yasie, a ten, złapawszy, również przyjrzał się pudełeczku.

– Wybacz nasz brak wiary – powiedział wreszcie do więźnia – ale trudno uwierzyć, że to artefakt, jeśli Tropiciel nie czuje w nim magii.

– Bo nie rozumiecie, jak działa – powiedział Ferion. – Zabiera moc i zamyka ją wewnątrz. Ściany ze złotego dębu bronią do niej dostępu. Żaden Tropiciel jej nie wyczuje. Chyba że znasz sposób, by szkatułkę otworzyć i zaczerpnąć.

– Tak jak Orian? – wyszeptła Likal.

– Tak. – Elf zadrżał, słysząc imię Złodzieja Magii. Wpatrzył się w dziewczynę, a potem westchnął: – Wyglądasz jak on. Zupełnie jak on. Miał takie same oczy. Niewinne, jasne. Bogowie, jak ja go kochałem.

Likal zacisnęła pięści. Nie mogła zdecydować, czy chce, czy nie chce usłyszeć historię elfiej miłości. Jeszcze nie pozbierała się po spotkaniu z ojcem poprzedniego dnia. Wciąż nie była pewna, czy wierzy w jego obietnice, w jego uczucia do niej i brata. Na myśl o Orianie miała ochotę krzyczeć. Zwiódł ją. Omamił. Mogła nie zdążyć, mogła zawieść Yasę. Przez tamtego porcelanowego człowieka.

– Nie byłem już dzieckiem, nie byłem nawet młody – kontynuował Ferion – przez moje życie przewinęło się mnóstwo istot. Mówiłem sobie, że to musiała być magia. Tyle jej ukradł, może więc użył jakiegoś zaklęcia... jakiegoś daru. Tak sobie to tłumaczyłem, ale prawda jest taka, że go kochałem, zanim stał się Złodziejem Magii. Kochałem... Jego oczy, uśmiech... dotyk. Zrobiłbym dla niego wszystko. Wszystko.

Kiedy przyszedł tamtej nocy i poprosił o artefakt... po prostu mu go dałem. Gdyby zażądał mojego serca, też wyprułbym je sobie z piersi.

Likal zacisnęła usta. Pyri na początku nie wiedział, co się dzieje, ale powoli zaczęło do niego docierać, o kim mowa i co ten ktoś ma wspólnego z Likal. Powiedziała mu to jej blada twarz i myśli, do których wyjątkowo nie zabroniła smokowi dostępu. Chłopak wsunął palce w zaciśniętą dłoń młodej czarownicy. Popatrzyła na niego i pokręciła głową, ale ręki nie cofnęła.

Za to Werena od początku wyglądała na kogoś, kto świetnie się bawi. Nie tylko nie powstrzymywała więźnia, ale nawet poluzowała nieco jego więzy, żeby łatwiej było mu mówić.

– To ja uczyniłem z niego Złodzieja Magii – kontynuował elf. – A potem pomogłem go ścigać. Nigdy mi tego nie wybaczy. Przyjdzie tu... Liczyłem na to, że przehandluję ciebie za swoje życie.

– Głupcze – wyszeptła milcząca dotychczas Koana, nie podnosząc głowy – już za samo to on cię zabije. Wyrznął całą wioskę, bo zabrali mu dzieci. Mnie powiedział... powiedział, że nie wolno mi jej tknąć. Nie wolno, choćby włos... Powiedział, że pomoże z obietnicą, jeśli postaram się ściągnąć ją na bal, ale ma być bezpieczna. Wszystko zrobił tak... Jest sprytny. Sprytniejszy niż ktokolwiek.

– Nooooo – Sodi wstał i ziewnął przeciągle – zrobiła się nam tu prawdziwa tragedia. Kiedyś, jak mnie całkiem przypadkiem Król Królów na syrellskim dworze gościł, przedstawiali taką... Na końcu to ino goście ostały żywe, a i to nie wszystkie, bo się jeden taki, co zreć nie przestawał, kosteczką zadławił i był zeszedł. Znaczy ja tam nic do tragedij... ale byście przynajmniej jeść dali, bo słońce ma się już ku zachodowi, a mnie kiszki grać poczynają. A na pełne bebechy to i strawienie tych wszystkich miłosnych pierdów łatwiejsze będzie.

Werena uśmiechnęła się szczerze.

– Co racja to racja. Mnie też już zemdliło od nadmiaru słodkości. – Wstała. – Zaraz coś się przygotowuje. Mamy tu przecież wioskę, prawda? Moja droga – miękko zwróciła się do Kyty – goście są głodni.

– Tak, pani – skłoniła się elfka i znikła między drzewami.

– Widzisz, Ferionie – Werena odprowadziła dziewczynę wzrokiem – teraz będą moi. Las ich przyjmie, bo będą należeć do mnie. Zawsze mogło tak być, ale ty wolałeś wojnę. – Spojrzała na niego z niechęcią, ale bez nienawiści, a potem przeniosła spojrzenie na leśną wróżkę. – Żal mi cię, Koano. Trudno żyć z nienawiścią do własnego przeznaczenia. Nie sądzę, byś gdziekolwiek mogła być szczęśliwa, bo tacy jak ty wiecznie mają niedosyt. To wystarczająca kara za twoją zdradę. Powiem ci więc to samo, co powiedziała panna Likal: odejdz stąd i nigdy nie wracaj. A pozwolę ci żyć.

Wróżka zawahała się. Podniosła się powoli i spojrzała na skępowanego elfa, a potem na resztę obecnych.

– Och, na litość boską! – warknęła Werena i trzasnęła palcami.

Tropiciel szarpnął i zawył. Uderzenie magii wyrwałoby go na wolność, gdyby Yasa nie zareagował błyskawicznie, rzucając ochronne zaklęcie.

Czar wstrząsnął wróżką, uniósł ją tuż nad ziemię i poderwał ku niebu ramiona kobiety. Przez moment trwała tak niczym modlitewne uosobienie, a tren długiej zielonej sukni, lekko kołysany wiatrem, pieścił leśną ściółkę. Nagle błysnęło pomiędzy koronami drzew. Pojedynczy oślepiający blask jak uderzenie pioruna przemknął pomiędzy gałęziami i uderzył w zawieszoną Koanę.

I szybciej od mgnienia powieki zmienił wróżkę w smukłą sosnę.

Likal wciągnęła gwałtownie powietrze. Przenosiła wzrok z jaśniejącego pośrodku polany drzewa na czarownicę i z powrotem.

– Musiałaś? – chłodno zapytał Yasa, patrząc na leśną czarownicę.

– Ileż razy mieliśmy ją ostrzegać? – Wzruszyła ramionami Werena. Podeszła do sosny, poklepała pień i uśmiechnęła się złośliwie. – Postoi trochę, przemyśli swoje zachowanie i przyszłość. Dobrze jej to robi, a mnie nie będzie denerwowała tym cierpięciznym nastrojem.

– To ona żyje? – zapytała Likal.

– Kochanie, ja nigdy nie zabijam bez potrzeby. To pochłania za dużo energii. Koniec z marudzeniem. Moje – podkreśliła, patrząc na Feriona – dzieci niosą posiłek.

Likal podeszła do sosny i z zawahaniem położyła dłoń na stwardniałej korze. Drzewo było chłodne i nieco tylko wilgotne. Młoda czarownica uniosła głowę, żeby zobaczyć długie smukłe gałązki pokryte igłami.

– Co, panna? – Sodi stanął obok dziewczyny. – Ma ta nasza złoto-szczurza starowinka parę w łapkach, co nie?

Likal nie odpowiedziała, bo właśnie rozmyślała nad tym, co jest straszniejsze: śmierć czy trwanie w takiej postaci.

Posiłek pod samotną sosną szybko dobiegł końca. Nawet Sodi, jeszcze niedawno głośno domagający się poczęstunku, jakoś stracił apetyt. Tropiciel nieustannie mruczał w krasnoludzkim umyśle, a walka z jego ustabilizowaniem od dawna drażniła Yudherthardere. Nie pomagały ani czułości Kyty, ani obserwowanie zazdrosnego Yasy. No, może trochę pomagały. Ostatecznie jak często można zobaczyć zimnokrwistego Pierwotnego zaciskającego usta, kiedy tylko do jego podopiecznej zbliża się smoczek.

A że młodziak prawie panny nie odpuszczał, usta maga dawno zmieniły się w cienką kreskę pod chudym nosem...

Dobra, to rzeczywiście poprawiło Sodiemu nastrój. Zachichotał lekko, a że pełny brzuch dodatkowo wzmógł jego zadowolenie, cmoknął nawet pulchniutką elfkę przyklejoną do jego ramienia. Dziewczyna odebrała to jako oczywistą zachętę i jej rączka powędrowała pod stołem w wiadome miejsce...

Taaaa, to też poprawiło Sodiemu nastrój.

– Nigdy nie sądziłam, że tego doczekam. – Werena zaśmiała się cicho, podchodząc do Yasy. – Aż żałość bierze. Emocje Pierwotnego. Piękna rzecz.

Yasa spojrział na nią bez słowa.

– To ojcowska zazdrość, mój drogi Yaso, czy raczej... ta druga? – kontynuowała czarownica, nie przestając się śmiać. – Bo nie potrafię zdecydować.

– Odpuść, Wereno.

– Ale dlaczego? Od stu lat nie miałam dobrego powodu do zabawy. Daj mi się nacieszyć. Trochę psujesz mi plany. Miałam nadzieję na coś więcej niż rozmowa, po tym jak wszystko u mnie – zerknęła na swoje ciało – wróciło na swoje miejsce. Sto lat to kupa czasu, wiesz? No, ale widzę, że na ciebie nie mam co liczyć. Smoczątko też na chętnego nie wygląda. Przynajmniej nie na mnie. – Zaśmiała się głośno, bo Yasa zacisnął usta jeszcze mocniej. – To naprawdę dobre. Właśnie zrozumiałam, po co kobietom przyjaciółki. Szkoda, że nie mam z kim się podzielić...

– Odpuść, Wereno – warknął ponownie Yasa, a potem pochylił się nad czarownicą i dodał cicho: – Na tej polanie jest miejsce na jeszcze jedno drzewo.

Uśmiech błyskawicznie zamarł na twarzy kobiety.

– Ech, nie umiesz się bawić, Pierwotny – fuknęła obrażona i odeszła.

Zły na siebie mag wbił spojrzenie w Likal i Pyriego. Młodzi stali pod drzewem i rozmawiali. Smok rzeczywiście wyglądał jak Yh, a jednocześnie bardzo przypominał Deidghe. I nie przez zielone oczy z dziesiątkami złotych drobin. Mnóstwo smoków z Itru miało takie oczy. Ten jednak posiadał tę jedyną w świecie pewność siebie królewskiego rodu, przekonanie o własnej boskości. I jeszcze marzenia o zezarciu Pierwotnego. Nikt inny by o tym nie pomyślał. A jeśli już, ukryłby tę myśl bardzo, bardzo głęboko. Tak, chłopak z całą pewnością był spokrewniony z Deidghe, i to właśnie przede wszystkim niepokoiło maga. Nikt nie przekonałby go, że jest inaczej.

– To jak, panie Yasa? Chyba zostaniemy w tak miłej gościnie do rana? – zapytał Sodi, przerywając rozmyślenia Pierwotnego. – Bo jak tak, to wiecie, człek by po tak zacnym jadle odpocząć chciał. Noc już idzie, to chyba ni ma co dupy ruszać i po ćmoku okolicy zwiedzać, nie? Taka miła gospodyni to i pewnie znajdzie dla was przy sobie jaki mi miły kącik, nie?

Stojąca obok smoka Likal spojrzała gniewnie na Sodiego, a potem na Yasę. Pierwotny westchnął, nie po raz pierwszy zastanawiając się, za co bogowie go karzą.

– Jeśli pozwolisz, Wereno, przenocujemy w jednej z chat – poprosił.

– Cóż, jeśli się upierasz – mrugnęła czarownica. – Nie wolałbyś...?

– Nie.

– Szkoda. Skoro jednak psujesz mi zabawę, mogę to sobie wynagrodzić? – Wskazała na skrzępowanego Feriona.

Mag wzruszył ramionami.

– Nie! – krzyknął Sodi. – Noż, magia jaka... Łby nam wszystkim w dupy pozamieniało czy jak? – mamrotał, odsuwając Kytę i drepcząc do elfa. – Wy se go tutaj w jakie badyłki pozmieniacie albo i insze zabawki do ostrej pochedźki, a nam, kurwa, bezużyteczna skrzyneczka zostanie, co nie? A spytał kto ostrouchego dupodajca, jak się ówże magiczny przedmiocik uruchamia? Ano, nikt nie spytał. Wszystkie się babami... albo i innymi zajmowali. I żebym to ja! JA! Musiał łbem za wszystkich, a nie dupą myśleć. Się porobiło. Porobiło jak nic. Gadaj no, ostrouchy, jak puzderko otworzyć, coby magię czarownikowi gwizdnąć? Gdzie jaki kluczyk czy zakłatko jakie, ha?

Zapomniany od dłuższego czasu Ferion uśmiechnął się złośliwie.

– I tak mnie zabijecie, więc po co?

– Nikt nikogo tu nie zabije – wtrąciła się Likal, stając między kokonem z pnączy a czarownicą. – Nikt!

Werena spojrzała na nią, a potem na Pierwotnego i kiedy ten przytaknął, przewróciła oczyma.

– Dobrze, nikt nikogo nie zabije. Wszyscy psują mi dzisiaj zabawę. – Westchnęła. – Ale i tak ukarać mogę cię na różne sposoby, więc bądź tak miły i odpowiedz panu Yudherthardere.

Ferion milczał. Czarownica spojrzała na Yasę.

– Poczekamy czy użyjemy... perswazji?

– Odsuń się, Likal – łagodnie polecił Yasa.

– Ale...

– Już.

Dziewczyna usłuchała niechętnie.

Pojedyncze ogniki zatańczyły na powierzchni kłaczy. Małe i ruchliwe jak żywe stworzonka przez chwilę biegały na zewnątrz, by wreszcie wsunąć się pomiędzy splątane gałązki. Jeden po drugim przemykały pomiędzy pnączami, błyskając światłem. Małe złośliwe chochliki, jak ich twórczyni, mrugały radośnie do widzów, by wkrótce zniknąć pod ścianą korzeni. I zapłonąć.

Ferion krzyknął poparzony przez magię. Płomienie raniły i przestawały, przemiennie, ale z każdą chwilą silniej. Pnącza trzymały mocno i wszelkie próby uwolnienia czy choćby rozluźnienia były daremne. Elf krzyknął ponownie, głośniejszym głosem, a potem już nie przestawał krzyczeć.

Likal oddychała coraz szybciej. Zamknęła oczy i odwróciła się, ale to nie pomogło. Kiedy krzyk nabrzmiał bólem, by w końcu przejść w rozpaczliwy wrzask, dziewczyna nie wytrzymała. Odskokczyła i klasnęła w dłonie, jednym uderzeniem gasząc płomień Wereny.

Czarownica skrzywiła się i zrobiła krok ku Likal, ale na drodze stanął jej Yasa, a zaraz obok Pyri.

– Miękką ta twoja dziewczyna, Pierwotny – warknęła Werena. – Za miękką dla ciebie.

Yasa tylko patrzył.

– Nic wam nie da – wycharczał naraz Ferion – że powiem. Szkatułki nie można otworzyć.

Spojrzeni na niego jednocześnie.

– Artefakt ze Złotego Dębu ma dwie części. Jedną wam dałem. Druga zaginęła. Kiedy dopadliśmy Oriana na szczytach Delghartu, zabraliśmy szkatułkę. Zanim Zakonni zdążyli odzyskać klucz, Orian skoczył. Leciał w przepaść ze śmiechem. Długo słyszałem ten śmiech, a kiedy ucichł, wciąż o nim śniłem. Klucz spadł wraz z nim, ale skoro Orian żyje, to zapewne wciąż go ma. Myślałem, że Pierwotny wie... A tak, nie było go wtedy z nami – pokiwał głową bardziej do siebie niż do słuchaczy.

Zapadła cisza przerywana ciężkim oddechem elfa.

– No, kurwa, tośmy się nałazili tam i nazad, czasu natracili, a dostaliśmy ślicznie puzderko z krwawym kamykiem, co? – filozoficznie podsumował Sodi. – To elfi rubin? Kiedyś żem słyszał, że taki kamyk jest, co to się na czerwono błyska, jak go elf pomaca. Zdaje się, że siostrzyczka czarnoelfiego królika taki nosi. To ten? Coś przynajmniej wart, żeby nam mordęgę wynagrodzić?

Yasa zmarszczył brwi. Kolejny raz pożałował, że nie może czytać w elfich myślach. W twarzy więźnia dojrzał jednak wśród bólu i rezygnacji również szczerą. Tym razem Ferion nie kłamał.

– Cholera – westchnął Pierwotny. – Uwolnij go, Wereno. W tym stanie uciec nie zdoła.

– Może jeszcze po medyka mam posłać? – warknęła wściekle czarownica, zastanawiając się, kiedy przestała być panią we własnym lesie. Wiedziała jednak, że odzyskała władzę dzięki Pierwotnemu. Nierozsądnie mu się przeciwstawiać. Poza tym

Yasa kiedyś wyjedzie, a ona była cierpliwą czarownicą. Sięgnęła więc ponownie do złotego warkocza.

Rozplotła go niemal do połowy, aż pnącza odsłoniły poparzoną pierś jasnowłosego, i naraz przestała.

– Skoro artefakt jest niepełny – powiedziała słodko – musieliście rozpocząć modły, by stworzyć kolejny, prawda? Obowiązek leśnych elfów.

Ferion uciekł spojrzeniem.

– Nie słyszałaś? Złoty Dąb spłonął.

– Ferionie, mój drogi, a ty nie słyszałeś? To mój las. Mój. – Zaplotła ponownie warkocz, na nowo więżąc elfa. – Chodź, Yaso. Gdybyś nie był taki miękki, nie musiałabym myśleć za ciebie.

Las gęstniał z każdym krokiem. Ścieżka już dawno znikła wśród płataniny krzewów. Chociaż jednak przez przytulone do siebie pnie niezwykle trudno było się przecisnąć, dotyk leśnej czarownicy otwierał nowe przejścia, rozsuwał splątane korzenie, wydeptywał nieistniejące ścieżki. Aż dotarli do serca lasu. Do jasnej, rozświetlonej polany, na środku której starożytni bogowie posadzili Złoty Dąb.

– On zawsze odrasta – wyszeptała Werena. – Zawsze.

Pod młodym, ale już całkiem potężnym dębem klęczały dwie elfki i spoglądały ku szczytowi drzewa. Promienie słońca przemykały po złotych liściach, pozostawiając w półmroku jeden po drugim. Kiedy dotarły do ostatniego, elfki rozpoczęły modlitwę. Zaśpiew zatrzymał światło. Migotało i skrzyło się, póki kobiety powtarzały słowa. I zgasło, kiedy zamilkły.

XIII

Kluc

Blask księżycyca wpadał przez otwarte okno i kładł się cieniami na pościeli. Chłopiec spał niespokojnie. Rzucał się we śnie. Czasami siadał i, otwierając oczy, wodził nieprzytomnym, przerażonym spojrzeniem po pokoju. Woskowa skóra i duże, pociemniałe strachem oczy przydawały ładnej twarzy Kaliena nieco przerażającego wyrazu. Wyglądał trochę jak duch... gdyby duchy istniały.

Orian przyglądał się synowi, stojąc przy uchylonych drzwiach. Nie wolno było ich zamknąć, tak jak okno musiało być nieustannie otwarte, mimo że na zewnątrz zima jeszcze nie odeszła i do pokoju wpadało lodowate powietrze. Każda próba zamknięcia kończyła się krzykiem lub rzuceniem niszczącego czaru. Kalien zdążył zrujnować kilka pomieszczeń, nim jego ojciec zrozumiał, o co chodzi.

Chłopak miał moc. O tak, miał moc, potężniejszą, niż Orian mógł marzyć. Był jednak przy tym... Był przy tym kompletnie szalony.

Orian zacisnął palce na framudze aż do bólu. Nie tak to sobie wymarzył. Nie tak to miało wyglądać.

Chłopiec wrzasnął przerażająco i, wywijając kończynami, zrzucił okrycie. Mężczyzna odetchnął, uspakajając wściekłość, która już skrzyła magię demonów na końcach palców. Odetchnął kilka razy, a gdy moc ucichła, wszedł do sypialni syna i ponownie przykrył śpiącego.

W świetle księżycyca cienie pod oczami chłopca były jeszcze głębsze, a skóra ciaśniej opinała kości policzkowe. Zbyt długie włosy posklejane potem przylgnęły do czoła i wciskały się w oczy. Orian pochylił się i delikatnie je poprawił. Palce musnęły skórę Kaliena...

Magia wciąż drżała na opuszkach mężczyzny, kiedy opuszczał pokój.

Sodi bezskutecznie próbował zasnąć, wtulony w miękkie krągłości Kyty. Dziewczyna oddychała równo, uśmiechając się przez sen. W normalnych okolicznościach krasnolud pouśmiechałby się do siebie z dumą – cóż, akurat nikogo, z kim ową dumą podzielić by się mógł, nie było – i wreszcie ukołysany słodką melodią oddechów i chrząknięć kochanki pogrążyłby się w słodkiej niemocy. W normalnych okolicznościach spałby

już jak zabity od dłuższego czasu, a nie tępo wpatrywał się w powałę ciasnej elfie chaty. Niestety, coś mu na to nie pozwalało. Było to o tyle irytujące, że nie bardzo wiedział, co to też może być. Płatało się tuż na granicy wspomnień, bliskie i wiadome, a jednak niezdefiniowane. Coś z całą pewnością ważnego.

Przekręcił się nerwowo raz i drugi. Przez chwilę nawet zastanawiał się nad obudzeniem dziewczyny, ale porzucił ten pomysł. Skoro on nie wiedział, co go dręczy, tym bardziej Kyta wiedzieć nie będzie, a pochedóżka, acz przyjemna i zawsze mile widziana, w rozwiązaniu akurat tego problemu mu nie pomoże.

Ponownie wlepił wzrok w powałę i przez chwilę obserwował pająka tkającego w kącie sieć. Oż, szczęśliwe bożátko, zrobi, co ma zrobić, i nic mu się po łbie kotłować nie będzie. Żadna niewypowiedziana myśl nie wciśnie się jak drzazga pod paznokiec, co to ją już prawie człek by wyrwał, a ona w tejże chwili głębiej włazi.

Pajączek tkął powoli, z namaszczeniem. Pajęczyna rosła, coraz okazalsza, a Yudherthardere wciąż wiercił się obok śpiącej elfki, ni lichy nie mogąc sobie przypomnieć, cóż też powinien pamiętać.

Uwolniony z pęt Leśny Pan leżał wsparty o samotną sosnę na polanie i rozmyślał, jak błyskawicznie jego los się odmienił. Od czasu do czasu odrywał wzrok od dogasającego ogniska i przenosił go na siedzących przy żarze. Szczególnie intensywnie przyglądał się młodej czarownicy tak podobnej, a tak innej od dawnego kochanka Feriona. Zawdzięczał dziewczynie życie. Walczyła o niego zaciekle, a przecież nic nie była mu winna. Kiedy na nią patrzył, wróciły wspomnienia. Czy to możliwe, że aż tak się zmienił, że nie wiedział, co dobre, a co złe... że stał się jak on, jak Orian?

Zadrzał na tę myśl i rozejrzał się nerwowo. Wiedział, że Złodziej Magii przyjdzie, może już jest w pobliżu, może ich obserwuje. Gdzieś blisko, może między konarami, niewidzialny dla wszystkich... Elf drgnął niespokojnie, a poparzona skóra gwałtownie zapiekła. Ból przywrócił na chwilę rozsądek. Przecież nie jest sam. Tam, na ławie, siedzi Pierwotny, a obok niego leśna wiedźma, potężna mocą drzew i krzewów. I smok, królewski smok z Itru.

No i ona. Jasnowłose dziecko Oriana, z mocą równą Pierwotnemu.

Niech więc Złodziej Magii przyjdzie.

– Wiesz, Yaso, gdybyś nie był odporny na smocze spojrzenie, zostałby z ciebie skwarek – Werena zachichotała, przenosząc wzrok z Pyriego na towarzyszącego jej maga. Poprawiła odruchowo jedwabną poduchę, na której siedziała, i nieustannie

radosna kontynuowała: – I odwrotnie, gdybyś mógł zabijać wzrokiem, młody rozkładałby się już wśród mchów.

– Umieję zabijać wzrokiem, Wereno. – Yasa uśmiechnął się chłodno.

– Ach, więc to po prostu solidarność rodzinna?

– Rodzinna?

– Chodzą słuchy, że zrobiłeś dziecko Deidghe. Nie wypada w takim razie zabijać mu wujka.

Yasa skupił naraz uwagę na czarownicy i, zmarszczywszy brwi, zapytał:

– Skąd wiesz?

– Że Deidghe urodziła chłopca o czarnych oczach Pierwotnego? Mój drogi, do Itru dwa dni drogi, a narodziny w królewskiej rodzinie to wyjątkowa rzadkość. Ostatnie smocze szczenię przyszło na świat... dawno. Bardzo dawno. To zdaje się być ten twój przyszy... ekhm... zięć – zachichotała ponownie. – Och, nie patrz tak. Zepsuliście mi z tą twoją panną dzisiaj całą zabawę. Daj mi choć trochę pokpić.

– Niewystarczająco ubawił cię fakt, że będę musiał poczekać na artefakt do przesilenia letniego?

Kobieta machnęła ręką.

– To akurat nie jest zabawne. No, chyba żebyście czekali u mnie. Wszyscy. Tak, to byłoby śmieszne. Ty z tym twoim: ach, nie wiem, co czuję. Ona z problemem nadmiaru dobra i smok z chęcią zmiany diety na... bardziej magiczną. Chociaż i on też może mieć... ekhm... rodzinne uprzedzenia. Patrzenie, jak kisicie się we własnym sosie „nie wiem, nie mogę, nie wypada”... Ach! Pomarzyć!

Yasa milczał.

– Bo nie zostaniecie, prawda? Nie aż tak długo.

– Do Itru, jak powiedziałaś, dwa dni drogi – odrzekł spokojnie mag.

– A tam, nie dość, że mały Yasa, to jeszcze potężne osłony magiczne. Orian was nie dosięgnie.

Pierwotny nie odpowiedział. Uśmiechnął się odruchowo i wstał. Siedzący obok Likal smok zauważył ruch Yasy i też się podniósł, a obserwująca ich leśna czarownica aż westchnęła z przyjemnością.

– Lubię taką demonstrację siły. Bogowie, jak mi tego brakowało.

Pyri skinął głową. Yasa również. Jednocześnie ruszyli między drzewa i jednocześnie stanęli. Na tyle daleko, by nikt nie słyszał ich rozmowy, na tyle blisko, by widzieć Likal.

– Jestem ci winien wdzięczność – zaczął Pierwotny.

– Nic mi nie jesteś winien. Ratowałem Likal. Jej podziękuj.

– Bo gdyby nie ona, zeżarłbyś mnie?

– Na pewno bym spróbował.

Spojrzeli na młodą czarownicę. Siedziała z pochyloną głową, niezwykle skupiona na dogasającym ognisku.

– Słucha nas? – domyślnie zapytał Pyri.

Yasa uśmiechnął się.

– Raczej tak.

– Powinienem być miły?

Pierwotny nie odpowiedział. Przez chwilę milczeli. Likal podniosła głowę i zerknęła na nich, ale zaraz ponownie skupiła się na ognisku. Leśna czarownica tymczasem, najwyraźniej znudzona faktem, że mężczyźni jednak nie wzięli się za łby, ziewnęła ostentacyjnie i wstała. Tron, na którym siedziała, zniknął, a kobieta, z niejakim żalem pomachawszy Yasie, poszła w kierunku chat.

– Co słyszeć u Deidghe? – przerwał ciszę Pierwotny.

– Czeka na ciebie.

Mag skinął głową.

– Orian... Złodziej Magii... – zaczął Pyri. – Z takim przydomkiem zapewne nie jest miłym człowiekiem, kochającym tatą, szlachetnym i dzielnym?

– Nie jest.

– Nie interesował się nią przez lata, dlaczego teraz?

– Chyba nie wiedział, że przeżyła. Dopiero kiedy weszła do chaty...

– Kiedy ją tam zaniósłem.

– Kiedy ją zaniósłeś do chaty, uruchomiliście zakłęcie namierzające. – Zamiast dalej mówić, przysunął się do smoka i wszedł w jego myśli, na tyle, by chłopak go usłyszał, bo dalej nie miał wstępu. – Nie wiem, czy Orian chce odzyskać córkę, czy potrzebuje przybocznej – wyszeptał w umyśle smoka – ale w obu przypadkach nie chcę, by mu się udało. Każdy czarodziej w Krainie, gwardia Króla Królów, Zakon... każdy będzie wtedy ścigał Likal. Nie tak powinno wyglądać jej życie. Rozumiesz?

Pyri skinął głową.

– Nieważne, ty czy ja. Któryś z nas mu przeszkodzi – pomyślał.

Yasa potaknął bez słowa. Kiedy odwrócił się, żeby wrócić do ogniska, Pyri powiedział cicho:

– Dała mu na imię Lunas.

Mag wstrzymał oddech. Nie zapytał, nawet nie spojrzał na chłopca, ale podziękował skinieniem głowy.

Rubin na wieczku skrzyneczki odbijał skry strzelające z ogniska. Gasnące krople ognia rozświetlały kamień i zamierały w jego wnętrzu. Likal przesuwając palcami po powierzchni drewnianego pudełka, nie zauważając piękna przedmiotu, delikatnych wypukłości żłobień czy subtelnych run. Niepełny artefakt nie miał żadnego uroku. O tak, przeszło jej przez myśl, że dzięki tej skrzyneczce człowiek, którego nie chciała nazywać ojcem, pozbawił życia pięcioro czarodziejów, że być może, gdyby nie ten kawałek złotego drewna, nie przyszedłaby na świat. Ostatecznie Orian był tylko człowiekiem i bez magii Złotego Dębu umarłby dziesiątki lat wcześniej. Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę, ale nie poświęciła im zbytnej uwagi.

– Kiedy wziąłem ją pierwszy raz do ręki, zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

Dziewczyna podskoczyła nerwowo. Porcelanowy człowiek siedział obok niej, w tym samym miejscu, z którego przed chwilą wstał Pyri.

– Ręce mi drżały, a serce waliło jak oszalałe. Byliśmy sobie przeznaczeni. Ja i ona. Klucz zginął dawno temu, więc teraz to już tylko bezużyteczny przedmiot, ale wtedy...

– mówił dalej Orian, wpatrzony w artefakt.

Likal rozejrzała się nerwowo. Yasa i Pyri wciąż rozmawiali, patrząc na nią. Żaden nie zwrócił uwagi na nieoczekiwanego gościa. Z drugiej strony, wsparty o sosnę Ferion też nawet nie drgnął.

– Tylko ty mnie widzisz, córeczko. Nie martw się. Nie ma mnie tu. To nurt myśli. Otworzyłem go dla ciebie. Musiałem zostać z Kalieniem. Twój brat, Likal... Twój brat jest bardzo chory. Potrzebuje nas. Obojga. Razem może zdołamy go uleczyć. Mnie się nie udało. Proszę, Likal, chodź ze mną. Powiedz tylko, że się zgadzasz, a otworzę most i zabiorę cię stąd. Proszę...

Dziewczyna milczała.

– Wiem, że słyszałaś o mnie straszne rzeczy – kontynuował Orian. – Część jest prawdziwa. Nie jestem ojcem, jakiego mogłabyś sobie wymarzyć. Nie jestem. Ale Kalien nie zasłużył na to, co go spotkało. Jest niewinny jak ty. I potrzebuje nas. On tak strasznie cierpi, Likal. Krzyczy całymi nocami. Nic nie może go ukoić. Ty i ja, razem... Likal. Ty i ja, jeśli połączymy siły, tylko wtedy może uda się ulżyć Kalienowi, ochronić go... – Widząc, że dziewczyna kręci głową, dodał szybko: – Nie ufasz mi, prawda? Nie, nie ufasz. Rozumiem to. Nie znasz mnie... Ale tym razem nie kłamię. Sama możesz sprawdzić. Poczuj jego ból, Likal. Dzieliliście łono matki, macie tę samą moc... Jeśli odpowiednio się skupisz, poczujesz to, co Kalien. I wtedy mi uwierzysz.

Znikł, nim zdołała odpowiedzieć. W jednej chwili czuła jego obecność, by zaraz zostać sama na tej niepasującej do lasu, wyścielonej jedwabiami ławie. Szkatułka trzymana w dłoniach drżała lekko, więc Likal ją odłożyła. Tylko po to, żeby zobaczyć,

że to nie artefakt ożył, ale ręce dygoczą jak w gorączce. Zacisnęła pięści na materiale sukni i odetchnęła głęboko.

Nie, nie ufała Orianowi, lecz nie mogła zignorować jego słów. Kiedy zamknęła oczy, wróciło wspomnienie chudego chłopaka stojącego nad Yasą, zaszczutego jak dzikie zwierzątko. Kto wie, czy i ona by tak nie skończyła, gdyby dwa lata temu Pierwotny i Yudherthardere nie zabrali jej z Jofty. Miała ich opiekę, czułość, wsparcie. On nie miał nic.

– Kalien – wyszeptała pierwszy raz imię brata, ot tak, po prostu, żeby usłyszeć, jak brzmi. – Kalien...

Zmrużyła oczy, zacisnęła usta, wciągnęła głęboko powietrze... Było wilgotne, ciężkie zapachem ogniska, płonących drew i nadchodzącej nocy... A potem powoli odetchnęła.

– Kaaaalieeen – zaśpiewała cichuteńko, tak jak podpowiadała jej moc. – Kaaaaliesen – powtórzyła, zamykając oczy. Pozwoliła magii otulić zmysły, zatonęła w niej i, odciawszy się od otoczenia, w ciszy myśli powtarzała imię brata, jakby pukała do drzwi jego duszy. Minęło kilka uderzeń serca, aż w końcu połączenie uniosło zmysły Likal i wrzuciło w piekło umysłu brata.

Pajęczek skończył tkać i schował się za belką powały, a Sodi westchnął ciężko. Sen wciąż nie nadchodził, a nieznane nieustannie dręczyło krasnoluda. Prawie je czuł. Chwilami zdawało mu się, że jeśli otworzy usta, to, co powinien pamiętać, samo wyskoczy wraz z wiązką przekleństw. Niestety wiązanka wypływała samotnie.

– Pospałby człek – wymamrotał Yudherthardere cicho, żeby nie budzić elfki – a zamiast tego skacze po legowisku, jakby pchły go po fistaszkach żarły. Ni ma co, trza dupę ruszyć do najmilejszego czarodzieja. Przecie po to się za nim po Krainie włóczę, coby czasami pomógł, jak niemoc bierze. – Wstał z łóżka i naraz zmarł. – A zem, kurwa, słowa dobrał. Tfu, tfu, jeszcze, co nie dajcie bogowie, zapeszy człek i nieszczęście gotowe. Gdzie tam niemoc. Tam, gdzie trza, siła jeszcze fajczy, jak w delghartowskich piecach. – Uśmiechnął się szeroko do śpiącej dziewczyny, ale że ta nie zareagowała, westchnął ponownie i zaczął się ubierać. Wciskając spodnie, a potem koszulę, marszczył straszliwie brwi, nieustannie głowiąc się, czego też nie pamięta. – No jak nic, kurwa, pierwsze oznaki starości. Zara będę jako ten dziadulo, co żeśmy go z gówniarą po całym Orth prowadzili, bo se bidulek pomnać nie mógł, gdzie to dom jego ukochanej. Insza sprawa, że pamięć miał chłopina nietęgą, ale inne rzeczy działały jak ta lala, bo jakeśmy już babcię znaleźli, to się od razu do rzeczy wzięli. Ech, taka

starość zła by nie była. Oj, nie. – Sięgnął do kurtki, wsunął rękę do jednego z rękawów...

I naraz, jak błysk pioruna albo jakby wskoczył pomiędzy inne ten kawałek dziadulowej układanki, co to ją całkiem niedawno wspominał, Sodi pojął, co go nieustannie dręczyło. Powoli sięgnął do kieszeni i wyjął z niej sakiewkę. Z sakiewki zaś błyszczący złoty kluczyk, podarunek od spalonej Likalowej matuli.

Pyri i Yasa równocześnie skoczyli ku Likal, kiedy dziewczyna spadła z ławy. Leżała na ziemi, z zamkniętymi oczami i rozkrzyżowanymi ramionami, a jej ciało trzęsło się jak w gorączce.

– Likal! – Pyri odrzucił ławę i przykląkł przy młodej czarownicy. – Likal!

Yasa również przyskoczył do nieprzytomnej. Dziewczyna zeszywniała gwałtownie, by zaraz ponownie zacząć straszliwie drżeć. Pierwotny dotknął policzka podopiecznej i raptownie wciągnął powietrze.

– To połączenie – powiedział. – Trzeba ją wyciągnąć. Pomóż!

Przerażony Pyri patrzył, nie rozumiejąc.

– Wzmocnienie! Dotknij mnie! Już! – krzyknął Yasa. Smok natychmiast usłuchał.

Palce Likal darły ziemię. Pięty uderzały w jakimś szalonym rytmie. Oddech się rwał... aż naraz ustał.

– Likal! – krzyknął mag. Zacisnął dłonie na ramionach dziewczyny i wyszeptał zaklęcie. Poczł smoczą siłę płynącą żyłami. Moc królewskiego rodu z Itru złączona z pierwotną magią uderzyła w zaklęcie połączenia. Ciało młodej czarownicy zwiotczało. Jedno uderzenie serca, drugie... i wreszcie Likal odetchnęła słabiutko. Rzęsy zadrżały i uniosły się powoli.

Mag poderwał dziewczynę z ziemi i przytulił. Milczał, ale drżał prawie tak mocno jak jego podopieczna przed chwilą.

– Cholera, dziewczyno – powiedział, kiedy poczuł, że bezwładne dopiero co ciało napina się w jego ramionach, a palce młodej czarownicy zaciskają na materiale kurtki.

– Z kim się połączyłaś?

Likal, wtulona w pierś Yasy, załkała cicho. Kiedy mag próbował ją odsunąć, zaprotestowała i przylgnęła do niego ciaśniej. Przez chwilę trwali tak połączeni we trójkę, bo Pyri nadal trzymał rękę na ramieniu Pierwotnego. Zazdrość, którą do tej pory czuł przy mężczyźnie, wyparł strach o Likal.

– Z kim się połączyłaś? – powoził pytanie Yasa już spokojniejszym tonem.

– Z Kalieniem – pociągnęła nosem, ale nie odsunęła się. – Z moim bratem.

– Co ci przyszło do głowy? Uczyłem cię... nie wolno łączyć jaźni z nieznanym.

– To mój brat.

– Którego widziałas raz w życiu. Nie znasz go. Mogłaś... – odetchnął, nie kończąc. Tym razem udało mu się ją odsunąć, acz niewiele, o tyle, by spojrzeć Likal w oczy. – To było głupie, Likal. Cholernie głupie. Gdyby Pyri nie pomógł... mogłem cię nie wyciągnąć.

Dziewczyna zadrżała.

– Musiałam – wyszeptała. – Musiałam się przekonać, czy on mówi prawdę. Musiałam poczuć... Panie Yasa, musiałam.

– Czy kto mówi prawdę? – zapytał Pyri.

Młoda czarownica zacisnęła usta.

– Rozmawiałaś z Orianem? – bardziej stwierdził, niż zapytał Yasa.

Pokiwała niechętnie głową.

– Namówił cię na połączenie? – bardzo cicho zapytał Pierwotny. Bał się, że jeśli choć trochę podniesie głos, zacznie krzyczeć i nie przestanie.

– Powiedział, że mówi prawdę i że mu uwierzę, kiedy poczuję... – Likal znów pociągnęła nosem. Łzy spływały po bladych policzkach, więc ocierała je nerwowo. – Nie kłamał, panie Yasa. Kalien cierpi. Strasznie cierpi. Ma takie obłąkane myśli. I tyle bólu. Tak strasznie dużo. On ledwie oddycha, tak bardzo cierpi. Pamiętacie, panie Yasa, kiedy w Bertho... Ten cały ból, gniew, strach... Kalien ma tak cały czas. Nikt mu nie pomógł – mówiła coraz szybciej, szarpiąc odruchowo kurtkę nauczyciela. – Nikt nie zabrał bólu. Wszyscy go krzywdzili i teraz cierpi. Boi się zamknięcia, boi się wody. I ciągle krzyczy. Bo on, panie Yasa, nie miał was, nie miał pana Sodiego... Nikt go nigdy nie kochał.

Yasa spojrział na Pyriego. Chłopak puścił go już i teraz stał, wpatrując się w pozostałą dwójkę z mieszaniną żalu i zazdrości, świadomy, że do tego świata nie będzie miał wstępu.

– Więc musiałam. – Likal wytarła nos i też zerknęła na smoka. Westchnęła i odsunęła się od Yasy. – Nie chciałam was wystraszyć.

– Wystraszyć? – podniósł głos Pyri. – Wystraszyć to mnie może piorun, kiedy trzaśnie zniecka. A ty nas śmiertelnie przeraziłaś. Cholera, przestałaś oddychać! Zupełnie!

– No, niezupełnie to się chyba nie da – szepnęła dziewczyna.

– Likal!

Yasa uśmiechnął się pod nosem. Znaczący nie tylko jego bogowie pokarali. Wstał i podał rękę podopiecznej.

– Jutro rano wyruszamy do Itru – powiedział spokojnie, kiedy dziewczyna wstała. – Polecisz z Pyrim. Jeśli się zgodzisz, oczywiście – zwrócił się do smoka, a ten skinął

głową. – Z nim będziesz najbezpieczniejsza. Itruańskich osłon magicznych nawet Orian nie zdoła pokonać.

Dziewczyna spojrzała na Pyriego, potem na Yasę i pokręciła głową.

– Wiem, że wołałabyś... – zaczął mag.

– Nie – przerwała mu. – Nie mogę go zostawić. Nie kiedy tak cierpi.

– Likal...

– Nie! Nie zasłużył na to. To nie jego wina, że Orian jest jego ojcem. Nie jego, że nikt go nie chciał. Teraz ma mnie. Nie zostawię go. – Odskoczyła, gdy Yasa znów wyciągnął rękę. – Nie! Będziecie mnie namawiać. Może nawet uspicie. O, widzę, że już próbujecie.

Mag zmarszczył brwi, bo rzeczywiście rzucił czar. Bez skutku.

– Nie mogę go opuścić – powtórzyła dziewczyna. – Wszyscy go zawsze odrzucali. Ja nie!

– Dobrze – podniósł ręce Pierwotny – rozumiem. Chcesz pomóc bratu. Obaj rozumiemy, prawda? – Smok potaknął w milczeniu. – Ale nie puścimy cię samej. Pójdziemy z tobą. Obaj. Powiem Yudherthardere...

– Nic nie rozumiecie. – Likal pokręciła głową, a potem złożyła dłonie. Szybciej, niż Yasa zdążył wypowiedzieć zaklęcie ochronne. – Nie pozwolę żadnemu z was wejść ze mną w Most do Kaliena. Ja będę tam bezpieczna. Wy nie.

– Lik...

Młoda czarownica jednym ruchem ustawiła barierę wokół Yasy i Pyriego, a chociaż obaj mężczyźni władali potężną magią, w tej chwili nie mogli nawet drgnąć.

– Nie możecie iść ze mną, więc zostaniecie. Wróć szybko. – Uśmiechnęła się trochę nerwowo. – Najszybciej jak się da. – Przymknęła oczy, odetchnęła i dodała cicho: – Będę o was myśleć. Nieustannie.

Yasa szarpnął się, ale czar trzymał mocno.

– Nie idź, panienko – wyszeptał Ferion, podnosząc się powoli. – To zły człowiek.

Likal tylko pokręciła głową, a potem, wpatrzona w unieruchomionych mężczyzn, otworzyła Most.

Sodi wbiegł na polanę w chwili, w której portal zaczął się jarzyć. Dojrzał Yasę za magiczną barierą rozmazującą kontury Pierwotnego i smoczego młodzieńca bezskutecznie próbującego przemiany. Tropiciel pod skórą krasnoluda był przeraźliwie, ale Yudherthardere biegł dalej, przekonany, że portal otworzył Orian. Rodzący się Most rozblęsnął w złotym kluczyku dzierzonym przez Sodiego. Mężczyzna zacisnął pięść. Tropiciel szarpał i gryzł.

– Likal! – wrzasnął Sodi.

Dziewczyna obejrzała się. Drgnęła i przygryzła usta, a potem zrobiła krok w stronę Mostu.

– Niedoczekanie, kurwa! Nie zabierzesz nam gówniary! – Krasnolud dopadł szkatułki. Kluczyk zamigotał, kiedy Sodi złapał artefakt i nerwowo zaczął szukać zamka.

Naraz złoty drobiazg wyrwał się spomiędzy krasnoludzkich palców i wtopił w szkatułkę. Świat zamarł. Jeszcze przed momentem w oddali śpiewały ptaki, dogorywające ognisko strzelało skrami, gdzieś w okolicy pomrukiwały dzikie zwierzęta... wszystko ucichło w jednej chwili. Jedynym dźwiękiem był cichuteńki zgrzyt otwierającej się szkatułki.

Najpierw zapadł mrok. Most zgasł tuż przed Likal. Zaskoczona dziewczyna nie zdążyła nawet pomyśleć, by ponownie go rozpiąć. W ciemności błysnęła oślepiająca światłość. Wystrzeliła z artefaktu jak dziesiątki piorunów i uderzyła w młodą czarownicę. Jasność owinęła się wokół Likal i poderwała ją. Czarownica zawisała między niebem a ziemią, rozświetlona tak swoim blaskiem, jak i mocą przedwiecznej kreacji bogów. Biała niczym śniegi Delghartu, jedyna iluminacja w mroku.

Yudherthardere upuścił skrzyneczkę, ale ta żyła już własnym życiem. Wciąż rozwarta przemknęła pod stopy uniesionej dziewczyny. Światło Likal błyskawicznie spłynęło do artefaktu.

Unieruchamiająca bariera stworzona przez podopieczną Yasy zgasła o uderzenie serca wcześniej niż blask jej twórczyni. Pierwotny i smok rzucili się ku dziewczynie w chwili, w której wieko szkatułki opadło, pograżając polanę w ciemności.

Likal uderzyła w ziemię niczym szmaciana lalka.

Czarownica
Copyright © Małgorzata Lisińska
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Robert Rajszcak
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-217-5
epub ISBN 978-83-7995-218-2
mobi ISBN 978-83-7995-219-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Małgorzata Maksymowicz
Korekta: Małgorzata Tarnowska
Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Robert Rajszcak
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl